

**Debbie Macomber**

**Ogród Susanny**

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Vivian Leary stała bez ruchu na rogu ulicy z rozbieganymi na wszystkie strony oczami. Nie miała pojęcia, gdzie jest ani dlaczego pomyliła drogę, mimo że mieszkała w Colville przez całe życie. Powinna przecież znać każdy zaułek miasta. Nie pamiętała nic prócz tego, że wyszła kilka godzin temu odebrać pocztę.

Budynków również nie rozpoznawała. Nigdzie w zasięgu wzroku nie dostrzegła domu Hendersonów na rogu ulic Chesnut Avenue i Elm, który stanowił doskonały znak rozpoznawczy ze względu na ciemnozielone okiennice na tle białych ścian. Gdzież on może być? - myślała w popłochu. będzie się martwił.

O nie! Przecież George zmarł. Ogarnął ją wielki smutek, przygniatał, ciążył, dręczył. Ukochany mąż odszedł zaledwie kilka miesięcy wcześniej, tuż przed sześćdziesiątą rocznicą ślubu. To wszystko nastąpiło tak niespodziewanie. W ubiegłym roku w listopadzie wyszedł, żeby rozgrzać silnik samochodu przed wyjazdem do kościoła. Kilka minut później znalazła go martwego na podjeździe. Zabił go rozległy zawał serca. Młody lekarz z pogotowia wyjaśnił, że zmarł, zanim upadł na chodnik. Chyba próbował ją w ten sposób pocieszyć. Daremnie. Tego ranka nic nie mogło jej przynieść ukojenia po straszliwym szoku.

Vivian zamruwała powiekami. Chociaż maj we wschodniej części stanu Waszyngton na ogół bywa ciepły, chłodny powiew wiatru owiał jej nagie ramiona. Za wszelką cenę usiłowała zapanować nad lękiem. Nadal nie potrafiła odnaleźć drogi do domu.

Susanna z całą pewnością by jej pomogła. Dopiero po chwili uprzytomniła sobie, że córka od dawna nie mieszka w Colville. No tak, powinna pamiętać, że posiada własny dom, bodajże w Seattle. Tak, z całą pewnością. Jej mąż ma na imię Joe. A dzieci? Widziała ich twarze tak dokładnie, jakby oglądała fotografie. Czemu więc nie mogła sobie przypomnieć imion wnuków, swej radości i dumy?

Nagle doznała olśnienia. Wnuczka, Chrissie, pierwsza przyszła na świat. Trzy lata później urodził się jej brat, Brian. A może cztery? Nieważne. Grunt, że przypomniała sobie imiona.

Potrzebowała już tylko chwili koncentracji, żeby ustalić swoje położenie i trasę powrotu. Zapadał zmierzch. Nie mogła błąkać się w nieskończoność po ciemnych ulicach. Gdyby spotkała jakiegoś przechodnia, zapytałaby o drogę na Woods Road. Nie, tam mieszkała w dzieciństwie, jeszcze przed wojną. A teraz? Do wszystkich diabłów, powinna znać własny adres!

Coś jej nie pasowało. Szukała domu, który kupili z George'em czterdzieści pięć lat temu, gdzie wychowała dzieci. Ogarnął ją strach, zmieszany ze wstydem. Gdyby George wiedział, że jego osiemdziesięcioletnia żona nie umie trafić do domu, wpadłby w gniew. Tylko że nigdy się o tym nie dowie, co jeszcze bardziej ją przygnębiało. Zabrakło go akurat wtedy, kiedy najbardziej potrzebowała jego pomocy.

Załamana ręce z rozpacz. Ruszyła na oślep przed siebie, w nadziei że podczas wędrówki wróci jej pamięć. Szybko jednak opadła z sił. Dlatego też ucieszył ją widok ładnej drewnianej ławeczki przy

alejce. Nie rozumiała, po co władze miejskie kazały ustawić ją w przypadkowym miejscu, z dala nawet od przystanku autobusowego. George nazwałby taką rozrzutność trwonieniem pieniędzy podatników. Ten człowiek z zasadami i charakterem spędził całe dorosłe życie w służbie publicznej jako sędzia, co napawało ją dumą. Często rzucał gromy na władze miejskie za marnowanie środków, lecz ona nie zawsze podzielała jego poglądy.

Doświadczenie nauczyło ją jednak, że lepiej nie wyrażać przy nim głośno odmiennych opinii. Ilekroć na początku małżeństwa sprzeciwiała mu się, argumentował niestrudzenie, póki nie dała za wygraną, znużona trwającą w nieskończoność dyskusją. Lecz teraz, kiedy nie groziła jej utarczka z upartym mężem, otwarcie podziwiała przenikliwość projektanta, który zapewnił jej wygodne miejsce wypoczynku.

Usiadłszy, rozejrzała się dookoła w poszukiwaniu jakiegoś charakterystycznego punktu odniesienia. Ulica była wyjątkowo ruchliwa. Mimo że ogłuszał ją hałas, oślepiały reflektory licznych samochodów, chwila odpoczynku przyniosła jej nieco ukojenia. Potrzebowała spokoju, by zebrać myśli. Od dnia śmierci George'a niepokoiło ją, że zapomina tak podstawowych danych jak własny adres, numer telefonu, nazwiska znajomych.

Przymknęła oczy, żeby odświeżyć pamięć, zanim strach uniemożliwi myślenie. Słońce już zaszło. Na dworze zapanował chłód. Żałowała, że nie wzięła swetra, ale kiedy pracowała w ogrodzie, dokuczał jej upał. Irysy pięknie rozkwitły tej wiosny, nawet

jeżeli reszta przedstawiała smutny widok. Przez całe lata ogród przynosił jej chlubę.

Teraz też z oddaniem pielęgnowała rośliny, ale mimo wszelkich wysiłków niewiele zdołała zdziałać. Grządki wymagały odchwaszczenia, należało skopać i posadzić rośliny jednoroczne. Po obiedzie, podczas podlewania, uświadomiła sobie, że nie odebrała poczty. Przerwała pracę, wyszła do pobliskiej skrzynki. A potem zginęła. Siedziała teraz na ławce przy obcej ulicy, zdezorientowana i przerażona.

Nagle wyczuła czyjaś obecność w pobliżu. Otworzyła oczy. Serce podskoczyło jej z radości, chociaż nie była pewna, czy wzrok jej nie myli.

- George!

Obok, w cieniu pobliskiej latarni, stał jej mąż. Wyglądał na pięćdziesiąt kilka lat. Jego ciepły uśmiech rozgrzał jej duszę. Wyprostowała plecy. Chłonęła jego widok szeroko otwartymi oczami w obawie, że zaraz zniknie. George pospieszył z zaświatów na ratunek!

- To ty, prawda?

Mimo że nie odpowiedział, rozpoznała go bez trudu. Podziwiała szerokie ramiona, imponującą postawę. Zawsze był przystojny. Znała go całe życie. Zostali parą już w liceum. Gdy poprosił ją o rękę, uważała się za najszczęśliwszą dziewczynę na świecie. Wojna w Europie rozdzieliła ich na trzy lata. Później wrócił na uniwersytet, żeby uzyskać dyplom na wydziale prawa. Jego żołnierskie zasługi

zostały docenione. Po kilku latach prywatnej praktyki zaproponowano mu stanowisko w sądzie. Był jedyną miłością jej życia. Gdy zmarł, tęskniła za nim rozpaczliwie. Teraz pospieszył z pomocą w potrzebie.

- Zgubiłam drogę - wyznała. - Nie gniewaj się, ale nie umiem trafić do domu.

Na widok jego serdecznego uśmiechu odetchnęła z ulgą, że nie ma do niej pretensji. Za życia złościło go, gdy czegoś zapominała. Chociaż starannie ukrywał zniecierpliwienie, wyczuwała jego zdenerwowanie. Przestała gotować, ponieważ nie pamiętała przepisów. Te z książek kucharskich uznała za zbyt skomplikowane. Przyrządzenie jakiegokolwiek potrawy na ich podstawie przekraczało jej możliwości. George nigdy nie narzekał. Sam zaczął gotować zupy.

Vivian doszła do wniosku, że najwyższy czas wyjaśnić, w jaki sposób zgubiła drogę. Zrobiła to natychmiast.

- Mógłbyś mnie odprowadzić? - szepnęła na koniec, okropnie zawstydzona własną bezradnością.

George bez słowa wyciągnął do niej rękę. Pomógł wstać. Z początku zdziwiło ją jego milczenie, ale nie znała zwyczajów zmarłych. Przypuszczała, że z jakichś powodów nie mogą rozmawiać z żywymi. Nie miało to zresztą większego znaczenia, póki przy niej był. Choć od jego śmierci minęło zaledwie pół roku, dla niej stanowiło to wieczność.

- Tak się cieszę, że mnie odwiedziłeś, George. Bardzo za tobą tęsknię - wyznała drżącym ze wzruszenia głosem.

Później opowiedziała o ogrodzie. George zwykle ganił ją za nadmierne gadulstwo, lecz Vivian, niepomna jego kąśliwych uwag, przeskakiwała z tematu na temat w obawie, że zaraz odejdzie.

- Wiesz, podejrzewam, że Martha kradnie. Mimo że deptę jej po piętach, ciągle mi coś ginie po każdym sprzątaniu. Sama nie wiem, jak postąpić. Szkoda mi ją zwolnić po tylu latach, ale z drugiej strony, nie zamierzam pozwolić się oszukiwać. Powiedz, co robić? - spytała bezradnie, chociaż nie oczekiwała odpowiedzi.

Zgodnie z przewidywaniami nie otrzymała jej.

Wtem ujrzała swój dom na Chesnut Avenue. Mieszkała tam od 1961 roku. Mozolnie, krok za krokiem, weszła po schodach, trzymając się poręczy. Gdy odwróciła głowę, żeby podziękować mężowi, już go nie było.

- Wróć do mnie, George - załkała. - Bardzo cię proszę, wróć.

## **ROZDZIAŁ DRUGI**

Susanna Nelson schowała resztę sałatki z brokułów do lodówki. Następnie z zupełnie niepotrzebnym rozmachem zatrzasnęła drzwiczki. Jej siedemnastoletni syn w równie tajemniczy jak irytujący sposób zniknął tuż po kolacji, zostawiając ją ze stertą naczyń do zmywania. Właściwie nie powinno jej to dziwić. Co wieczór znajdował jakąś wygodną wymówkę, żeby wykręcić się od obowiązków. Mąż, siedzący obok, w salonie, opuścił nieco gazetę tak, że widziała ciemne brwi ponad okularami do czytania. Popatrzył na nią z troską.

- Coś cię trapi?
- Brian już trzeci dzień z rzędu nie umył naczyń.
- Ja to zrobię - zaproponował Joe.
- To ani mój, ani twój obowiązek.
- Odnoszę wrażenie, że nie tylko zachowanie Briana cię martwi.
- To prawda. Inne rzeczy też mnie denerwują - przyznała, chociaż nie potrafiła dokładnie określić ich natury.

Od paru tygodni odczuwała nieokreślony niepokój. Na domiar złego ostatniej nocy po raz kolejny przyśnił jej się Jake, jej chłopak ze szkoły średniej, co do reszty wyprowadziło ją z równowagi. Od wielu lat była szczęśliwą mężatką. Przetrwali wzloty i upadki, jakie przeżywa każde udane stadło. Dzieci dorastały. Córka studiowała. Brian dostał pracę na lato w firmie budowlanej. Obiecano mu na tyle wysoką pensję, że mógł bez trudu opłacić ubezpieczenie własnego samochodu.

Następnego dnia kończył się rok szkolny. Susanne czekało siedem tygodni wolnego. Wszystko układało się jak najlepiej. Nie istniał żaden powód, by wracać pamięcią do miłości ze szkolnej ławy. Tymczasem, z niewiadomych powodów, od trzech tygodni ukochany sprzed lat nawiedzał ją we snach każdej nocy, przypominając o nagłym, niespodziewanym rozstaniu.

- Od jutra wakacje. To powinno cię pocieszyć - przypomniał Joe.

Rzeczywiście powinno, tylko że wcale nie poprawiło jej nastroju. Po ostatnich lekcjach cała piąta klasa szalała z radości. Susanna z równą niecierpliwością oczekiwała zasłużonego odpoczynku.



Potrzebowała zmiany, lecz nie potrafiła określić, jakiego rodzaju. Postanowiła odłożyć rozważenie tej kwestii na bliżej nieokreśloną przyszłość, nie później jednak niż pojutrze po południu, po rozdaniu świadectw, gdy zakończy uzupełnianie dokumentacji.

Joe popatrzył na nią badawczo znad gazety.

- Od śmierci ojca nie odzyskałaś równowagi. Może powinnaś zasięgnąć porady?

- Psychologa? - odburknęła z niechęcią.

Prawdę mówiąc, nie brakowało jej ojca, chociaż fakt, że odszedł na zawsze, napawał ją smutkiem. Przeżyła wstrząs, ale nie nazwałaby swego stanu żałobą. Nigdy nie znalazła z nim wspólnego języka. Z trudem tolerowali się nawzajem. Susanna uważała go za aroganckiego despotę. Ledwie osiągnęła pełnoletność, wyprowadziła się z domu najdalej, jak mogła.

- Przypuszczam, że najbardziej martwi cię to, że straciłaś raz na zawsze możliwość osiągnięcia porozumienia - zasugerował Joe taktownie.

- Nie, moje zdenerwowanie nie ma z nim żadnego związku. - Nie przeczyła, że wzajemne stosunki były mocno skomplikowane, ale dawno się z tym pogodziła.

Joe już otwierał usta, żeby zaprotestować, ale nie dała mu dojść do słowa.

- Zmarł wprawdzie nagle, lecz miał osiemdziesiąt trzy lata. Dorosły człowiek zdaje sobie sprawę, że nikt nie żyje wiecznie - oświadczyła zdecydowanym tonem.

W gruncie rzeczy dawno straciła kontakt z ojcem. Rzadko rozmawiali ze sobą, co mu wcale nie przeszkadzało. Susanna od czasu do czasu próbowała zasypać tę przepaść, lecz jej wysiłki spełzały na niczym. Podczas każdej wizyty w rodzinnym domu rozmawiała wyłącznie z matką. Mimo wszelkich pretensji musiała przyznać, że George Leary był wspaniałym dziadkiem. Chrissie i Brian świata za nim nie widzieli. Wołała nie wspominać, jak namieszał w jej życiu, zwłaszcza we wczesnej młodości.

Oczywiście żałowała go, jak każdego zmarłego, ale przede wszystkim natrętne myśli o Jake'u nie dawały jej spokoju, czego z oczywistych względów nie mogła wyznać swemu dobremu mężowi. Przy całej jego tolerancji wiadomość, że myśli o innym, sprawiłaby mu wielką przykrość. Jak na złość zatroskany Joe za wszelką cenę usiłował postawić diagnozę.

- Trudno uwierzyć. Pamiętasz, jak cierpiałaś, gdy odeszli moi rodzice - nie dawał za wygraną.

Oczywiście, pamiętała. Bolesnie przeżyła śmierć teścia, a dziesięć miesięcy później teściowej. Bardzo jej ich brakowało. Zawsze zazdrościła Joemu silnych więzi rodzinnych.

- Przeżyłam wstrząs, ale nie załamanie - sprostowała z ociąganiem.

- Ja określiłbym twój stan jako depresję - poprawił Joe.

- Nieprawda - zaprotestowała wbrew własnym odczuciom.

- W takim razie co? - zapytał, unosząc wysoko brwi.

Nie umiała odpowiedzieć. Nie rozumiała, czemu zasypia przy mężu każdej nocy, wspominając byłego chłopaka. Joe był silnym, odpowiedzialnym mężczyzną z poczuciem honoru. Po dwudziestu czterech latach małżeństwa tworzyli tak zgodny duet, że wybierali te same dania w restauracji, czytali te same książki, głosowali na tych samych kandydatów. Do tej pory ani razu nawet nie spojrziała na innego. Popęłiłaby szaleństwo, gdyby spróbowała odszukać człowieka, którego w wieku siedemnastu lat obdarzyła młodzieńczym uczuciem. Nie widziała go od ponad trzydziestu trzech lat.

Joe przetarł szkła okularów o koszulę. Gdy założył je na nos, ponownie skupił wzrok na żonie.

- Wiele przeszłaś w ciągu ostatnich sześciu miesięcy. Straciłaś ojca, skończyłaś pięćdziesiąt lat, ciężko pracowałaś - przypomniał to, co i bez niego wiedziała.

Prawdopodobnie częściowo miał rację. Przywołane przez niego wydarzenia ożywiły wspomnienia z młodości. Tyle że w normalnych warunkach wystarczyłoby popracować w ogrodzie, żeby o nich zapomnieć. Tymczasem nawet ulubione zajęcie nie przynosiło jej ukojenia. Nic jej nie cieszyło. Odczuwała przemożną potrzebę wyjaśnienia dawnych niedopowiedzeń, zbadania ścieżki, na którą niegdyś nie dano jej wkroczyć w celu dopisania ostatnich stron do niedokończonego rozdziału książki własnej młodości.

Albowiem nikt inny jak tylko George Leary, jej rodzony ojciec, doprowadził do rozpadu związku z Jakiem. Zamknął jej drogę do szczęścia z typowym dla siebie przekonaniem o własnej

nieomyślności. Za dnia pracował w sądzie, a wieczorem rozciągał swą władzę na domowników. Ferował wyroki zgodnie z własnym sumieniem, nie pytając nikogo o zdanie. Mimo że Susanna przez cały dzień usiłowała przegnać smutne wspomnienia, wciąż powracały jak wyrzucony bumerang.

- Może jeśli spędzisz kilka tygodni z mamą, uporządkujesz myśli, łatwiej dojdiesz do równowagi - zasugerował Joe.

- Może - powtórzyła bez przekonania.

Już wcześniej ustalili, że odwiedzi ją po zakończeniu roku szkolnego.

Zadzwonił telefon. Żadne z małżonków nie pospieszyło odebrać. Nie musieli. Mieli przecież nastolatka w domu. Brian wystawił głowę przez drzwi sypialni.

- Mamo, do ciebie! - ryknął tak głośno, że mury zadrżały.

Zanim Susanna zdążyła zapytać, kto dzwoni, zamknął za sobą drzwi. Podniosła słuchawkę w kuchni, odczekała, aż syn odłoży swoją. Po drugiej stronie powitał ją znajomy kobiecy głos. Nie od razu skojarzyła czyj.

- Tu Martha West - przedstawiła się rozmówczyni. - Przepraszam, jeśli przeszkodziłam.

- Nie, wcale nie - zapewniła Susanna ze ściśniętym sercem. Ogarnął ją lęk o matkę. Ostatni raz jej gosposia zatelefonowała, żeby poinformować o śmierci ojca. - Co z mamą?

- Ze zdrowiem nie najgorzej, ale od śmierci męża ma kłopoty z psychiką. Czasami jej nie poznaję. Niełatwo mi o tym mówić, ale dziś

po południu oskarżyła mnie o kradzież łyżeczek do herbaty - oznajmiła Martha, ogromnie zażenowana. - Wyobraża pani to sobie?! Gdybym miała coś wziąć, to przecież nie pojedyncze łyżeczki z kompletu! Przekopałam cały dom. Nie znalazłam ich, ale słowo honoru, że ich nie zabrałam.

- Ależ to oczywiste! - wykrzyknęła Susanna.

Ufała Marcie bezgranicznie. Doskonale знаła jej uczciwość.

- Później narzekała, że schowałam jej torebkę - ciągnęła rozżalona gospoia. - Gdy po godzinie poszukiwań wygrzebałam ją spod poduszek na sofie, oskarżyła mnie, że sama ją tam włożyłam. Wspominała coś o swoich podejrzeniach?

- Nie - odrzekła Susanna, tylko częściowo zgodnie z prawdą.

Podczas ostatniej rozmowy telefonicznej Vivian zapowiedziała, że przy najbliższej okazji muszą porozmawiać o Marcie. Susanna niczego wtedy nie podejrzewała. Sądziła, że niemłoda już gospoia pragnie przejść na emeryturę. W ostatnich czasach przychodziła sprzątać zaledwie dwa razy w tygodniu.

- Jeżeli jej pani nie przekona o mojej uczciwości, poszukam sobie nowej posady.

- Proszę nie podejmować pochopnej decyzji. Spróbuję doprowadzić do porozumienia. Gdy tylko przyjadę, skontaktuję się z panią.

- Zgoda - odrzekła Martha już znacznie spokojniej.

Po kilkakrotnych zapewnieniach o swojej niewinności odłożyła słuchawkę.

- O co chodzi? - spytał Joe, składając gazetę, gdy Susanna odeszła od telefonu.

Przedstawiła mu problem.

- Dzwonię do niej prawie codziennie. Zauważyłam, że wielokrotnie powtarza to samo, ale nie sądziłam, że aż tak źle z jej pamięcią. Sprawa wygląda naprawdę poważnie - zakończyła z troską.

- Może zasięgnęłabyś jeszcze informacji u sąsiadów? - poradził Joe.

Podszedł do żony, stanął naprzeciwko, położył jej ręce na ramionach i poważnie zajrzał w oczy.

- Dobra myśl. Zadzwoń do pani Henderson. Mieszka obok mamy od lat. - Natychmiast wprowadziła swój zamiar w czyn. Zapytała sąsiadkę o stan matki.

- Nie powinnam wtykać nosa w nie swoje sprawy, ale moim zdaniem, coś z nią ostatnio nie tak. Przekonałam się o tym wczoraj wieczorem - odrzekła sąsiadka z wahaniem. - Chyba nie doszła do siebie po śmierci George'a. Widuję ją przecież codziennie w ogrodzie, aczkolwiek efekty jej starań określiłabym jako mizerne.

- Tak, wiem - przyznała Susanna.

Już wcześniej dostrzegła niepokojące zmiany w psychice Vivian. Nagła śmierć męża kompletnie ją załamała. Bardzo go jej brakowało. Nieustannie go wspominała. Podczas ferii wiosennych Susanna pokonała długą drogę przez góry, żeby dotrzymać jej towarzystwa. Vivian przyłgnęła do niej, nie chciała wypuścić, nalegała, żeby została dłużej. Niestety, ponieważ podróż w obie strony zajęła jej dwa dni,

pozostały jedynie cztery na pobyt w Colville i jeden na przygotowanie lekcji.

Usiłowała namówić matkę na przeprowadzkę do Seattle, lecz ta uparcie odmawiała opuszczenia rodzinnego miasteczka, sto kilometrów na północ od Spokane. Teraz wszystko wskazywało na to, że Susanna zostanie ją w jeszcze gorszym stanie. Nie wiedziała, co robić. Niezbyt konkretna wzmianka o wydarzeniach poprzedniego wieczoru obudziła jej czujność.

- Co zaszło wczoraj wieczorem? - spytała z duszą na ramieniu.

Joe podszedł bliżej. Nalał sobie kawy, nie spuszczać z żony zatroskanego spojrzenia.

- Pewnie przeżyje pani wstrząs, ale Vivian po prosiła, żebym pomogła jej odszukać męża - wyznała pani Henderson po chwili wahania.

- Co takiego? Nie pamięta, że zmarł?! - wykrzyknęła Susanna, rzucając mężowi znaczące spojrzenie.

- Przysięga, że go widziała. Zauważyłam, że wędruje po ulicy kompletnie zagubiona, więc podążyłam za nią. Poczęstowała mnie nieprawdopodobną historią o tym, jak George odprowadził ją pod dom, a potem zniknął. Zastanawiające, prawda? Kiedy pani ją ostatnio widziała?

- W marcu - wyznała Susanna ze wstydem. Dręczyły ją wyrzuty sumienia, że częściej nie bywa w Colville. Praca w szkole, działalność społeczna, odległość oraz treningi Briana uniemożliwiały częstsze wizyty. Od wiosny nie wygospodarowała ani jednego wolnego

weekendu. - Planuję wyjazd do Colville zaraz po zakończeniu roku szkolnego. Zostanę z nią kilka tygodni.

- Mądra decyzja - pochwaliła pani Henderson. - Ostatnio bardzo schudła. Chyba w ogóle nie gotuje.

Ostatnia wiadomość bardzo zmartwiła Susannę. W marcu Vivian ważyła zaledwie pięćdziesiąt pięć kilo. Wtedy codziennie prosiła córkę o gotowanie obiadu, co jej bardzo odpowiadało. Ponieważ zastała pełną spiżarnię, niczego nie podejrzewała. Zwróciła tylko uwagę na pewien nadmiar towarów delikatesowych, jakich Vivian wcześniej nie kupowała, jak kilka gatunków musztardy ziołowej czy pesto z suszonymi pomidorami, które Susanna wykorzystała na sos do makaronu. Wyglądało na to, że matka nie radzi sobie z podstawowymi zadaniami domowymi.

- Sądzi pani, że nie dojada? - spytała dla pewności.

- Nie zaglądam nikomu w garnki, ale przypuszczam, że straciła apetyt. Często zapraszam ją na kolację. Zawsze odmawia. Prawie nie opuszcza domu. Wychodzi tylko do ogrodu.

- Ale dlaczego? Z tego, co mówi, wynika, że widuje sąsiadów - zaprotestowała Susanna. Vivian zawsze lubiła towarzystwo, zapraszała gości, wydawała przyjęcia.

- Owszem, przez płot, ale przysięgłabym... - Urwała. - Nie mam pewności, czy w ogóle mnie poznaje - dokończyła po chwili wahania.

- O nie! - jęknęła Susanna.



Pani Henderson potwierdziła jej najgorsze obawy. Vivian w zastraszającym tempie traciła pamięć, najwyraźniej nie tylko z powodu związanej z wiekiem sklerozy.

- Jeszcze jedno - dodała pani Henderson niepewnie. - Któregoś dnia wpadłam, żeby zobaczyć, jak się miewa. Siedziała w domu w całkowitych ciemnościach. Z wielkim zażenowaniem przyznała, że zapomniała zapłacić za prąd. Pomogłam jej uregulować dług. Ponownie włączyli jej światło. Prosiła, żebym jej przed panią nie zdradziła, ale uznałam za swój obowiązek poinformować panią o jej kłopotach. Zamierzałam poczekać do pani przyjazdu, ale te urojenia na temat ducha zaniepokoiły mnie w najwyższym stopniu.

Susanna cierpiała męki. Tego się właśnie najbardziej obawiała: niezapłaconych rachunków, niewyłączonego gazu. Żałowała, że sąsiadka nie zaalarmowała jej natychmiast, gdy wynikły kłopoty z elektrownią.

- Próbowałam namówić mamę na przeprowadzkę do domu opieki, ale zdecydowanie odmówiła.

- Okropnie narzekała, że proponowała jej pani opuszczenie rodzinnego domu. Do tej pory żywi urazę. Ja jednak przyznaję pani rację. Zdecydowanie nie powinna pozostawać bez opieki - dodała pani Henderson.

- Naprawdę uważa mnie za potwora? - jęknęła Susanna przerażona, że matka psuje jej opinię w rodzinnym mieście.

Zarzucała sobie, że w marcu nie zadziałała w bardziej zdecydowany sposób. Wtedy jednak nie miała sumienia narażać jej na kolejny wstrząs zaraz po utracie męża.

- Najlepiej, żeby przyjechała pani jak najszybciej. Zawiadomiłabym panią wcześniej, ale Al zabronił mi się wtrącać w cudze sprawy. Chyba jednak dobrze, że powiedziałam prawdę? - spytała z wyraźnym niepokojem.

- Oczywiście. Przyjadę najszybciej, jak to możliwe. Jestem pani bardzo wdzięczna.

Joe przez cały czas stał naprzeciwko z kubkiem kawy w ręku, nie odrywając oczu od twarzy żony. Gdy odłożyła słuchawkę, powtórzyła mu relację sąsiadki. Joe aż gwizdnął ze zdumienia przy wzmiance o spotkaniu z duchem.

- Czy to znaczy, że zamierzasz zaraz wyjechać?

- Tak. Planowałam zaczekać do końca tygodnia, ale nie mam wyjścia. Muszę umieścić ją jak najszybciej w domu opieki - westchnęła, w pełni świadoma, że czeka ją ciężka batalia.

- Racja. Chcesz, żebym ci towarzyszył? We dwoje łatwiej byśmy ją przekonali.

Susanna pokręciła głową.

- Jesteś pewna? Chciałbym jakoś pomóc. Wspierałaś mnie z wielkim oddaniem po śmierci rodziców. Byłaś dla mnie bardzo dobra.

- Nie, poradzę sobie sama - odrzekła, bliska płaczu. - Zostanę trochę dłużej w Colville.

Przemilczała, że dojrzała do odnalezienia byłego ukochanego. Chciała go zapytać o przyczynę rozstania, chociaż dałaby głowę, że doprowadził do niego jej ojciec. Nie знаła tylko szczegółów. Liczyła na to, że gdy pozna całą prawdę, zamknie raz na zawsze niedokończony rozdział młodości, co pozwoli jej odzyskać spokój.

- No dobrze - westchnął ciężko Joe. - Weź tylko pod uwagę, że gdy już ją namówisz, musisz podjąć decyzje dotyczące domu. Jak długo tam zostaniesz?

- Trzy tygodnie chyba wystarczą. No, może miesiąc - mruknęła niepewnie jak winowajczyni, unikając kontaktu wzrokowego. Dopiero teraz w pełni uświadomiła sobie, jak wiele trudnych zadań ją czeka.

- Czemu tak długo?

- Podejrzewam, że nieprędko przełamie jej opory. Potrzebuję też trochę czasu na znalezienie dla niej odpowiedniego miejsca, wysprzątanie domu, niezależnie od tego, czy postanowię go wynająć, czy sprzedać.

- Pomógłbym ci. Brian też.

- Dziękuję, dam sobie radę. Wystarczy, że mnie odwiedzicie w weekend - dodała tylko dla pozorów, żeby nie wyglądało, że nie życzy sobie towarzystwa najbliższych.

Prawdę mówiąc, ich obecność tylko by jej przeszkodziła w zrealizowaniu przemilczanego zamysłu. Rozdarta między przeszłością a teraźniejszością, przeżywałaby jeszcze większe rozterki. Dlatego było jej na rękę, że mąż, dentysta, nie mógł z dnia na dzień odwołać umówionych pacjentów.

- Wprawdzie zaplanowaliśmy z Brianem wyjazd na ryby w przyszłym tygodniu, ale możemy zmienić plany.

- Ależ jedźcie, wy też potrzebujecie wytchnienia - zaprotestowała, zadowolona, że ojciec i syn znaleźli wreszcie czas na wspólny wypoczynek, co zwykle nie przychodziło im łatwo.

- Dobrze, odwiedzimy cię kiedy indziej. - Joe odstawił kubek na stół. Posłał jej nieśmiały uśmiech. - Przeczuwam, że podczas tych wakacji dowiesz się różnych zaskakujących rzeczy.

Zapewne miał rację.

## **ROZDZIAŁ TRZECI**

Po zapakowaniu ostatniej sztuki odzieży Chrissie Nelson wyrzała nerwowo przez okno akademika w Eugene, gdzie studiowała na Uniwersytecie Stanu Oregon. Jason się spóźniał. Obiecał przyjechać o dziesiątej, żeby odwiedzić ją na lotnisko. Po zakończeniu roku akademickiego dom studencki opustoszał. Podczas gdy przyjaciółki niecierpliwie oczekiwały wakacji, perspektywa powrotu do rodzinnego Seattle wcale nie cieszyła Chrissie. Czekano ją rozstanie z chłopakiem, a potem długie, nudne miesiące bez żadnych rozrywek.

Z ciężkim westchnieniem odrzuciła długie, jasne włosy na plecy. Jej koleżanka z pokoju, Katie Robertson, podobnie jak inne dziewczęta, wyjechała już wczoraj. Jason odwiózł ją na lotnisko. Później zabrał Chrissie po raz ostatni do kawiarni. Obiecał przyjechać po nią następnego dnia. Jej samolot odlatywał o jedenastej trzydzieści. Katie odwiózł dwie godziny wcześniej, w dodatku poczekał, aż

wsiądzie, co Chrissie uznała za zbytek uprzejmości. Mimo że Jason do tej pory nie dał jej powodów do zazdrości, zirytowała ją ta nadgorliwość. Wy tłumaczyła sobie, że nie zrobił nic złego, po prostu wykazał dobrą wolę.

Zamknęła walizkę. Aż jęknęła z wysiłku, przenosząc ją na podłogę. Najgorsze, że nie załatwiła sobie pracy sezonowej. Podejrzewała, że u progu lata nie znajdzie nic ciekawego. Drażniło ją, że w wieku prawie dwudziestu lat pozostanie zależna finansowo od rodziców. Wolałaby zostać w Eugene niż siedzieć w domu osiem lub dziesięć tygodni, prosząc o pieniądze na każdy wydatek. W trakcie nauki dorabiała na część etatu w miasteczku akademickim, ale teraz i tu nie byłaby potrzebna.

Obiecała sobie, że w przyszłym roku zorganizuje sobie coś wcześniej. Była już przecież dorosła, tęskniła za niezależnością. Przede wszystkim na trzecim roku zamierzała wyprowadzić się z akademika. Dwie koleżanki zaproponowały, żeby zamieszkała z nimi w wynajętym domu. Postanowiła zaraz po przyjeździe przekonać rodziców, że jeśli podzielią czynsz na trzy osoby, zapłacą znacznie mniej niż za wynajem pokoju w domu studenckim. Przewidywała, że ojciec przyzna jej rację. Gorzej z mamą.

Usłyszała za oknem warkot hondy civic. Pomachała Jasonowi przez okno. Wsiadł, popatrzył w okno, uniósł rękę w powitalnym geście.

- Zaraz przyjdę! - krzyknął.

Chrissie była wdzięczna losowi, że postawił na jej drodze tego troskliwego, dobrze wychowanego młodzieńca. Od pierwszego wejrzenia zrobił na niej doskonałe wrażenie. Mimo ogromnych różnic charakteru wiele ich łączyło. Jason robił specjalizację z prawa podatkowego. Zdyscyplinowany, solidny tradycjonalista, wybrał sobie odpowiedni do osobowości zawód. Zdobywał najlepsze oceny.

Lekkomyślna, beztroska Chrissie uwielbiała dobrą zabawę. W nauce osiągała najlepsze efekty pod presją czasu. Prace semestralne pisała zwykle ostatniej nocy przed terminem. Tym, którzy krytykowali ją za brak systematyczności, tłumaczyła zwykle, że od tygodni układała w głowie plan działania i gromadziła niezbędne dane. Gdyby zaczęła wcześniej, nie uzyskałaby lepszego efektu.

Nie miała poczucia winy. Jej oceny nie odbiegały na studiach od tych, które uzyskiwała w szkole. Prawdę mówiąc, oscylowały wokół dostatecznych. Nauka nie stanowiła jej pasji. Ponieważ wszyscy oczekiwali, że zdobędzie wyższe wykształcenie, poszła na studia wzorem koleżanek. Zresztą nie wymyśliła sobie żadnego lepszego zajęcia. Zamieszkała w akademiku przede wszystkim ze względu na bujne życie towarzyskie, obfitość imprez i chłopców.

Jason przeciwnie, niczego nie odkładał na ostatnią chwilę. Chociaż drażniła go jej taktyka działania na zwłokę, przynajmniej nie prawił kazań, jak rodzice. Próbował czasami wychowywać swoją dziewczynę (i vice versa), lecz mimo ogromnych różnic charakteru przepadali za sobą. Dzięki barczystej sylwetce wyglądał na piłkarza, lecz sport wcale go nie interesował. Na zajęcia wkładał oficjalne

stroje, jak do biura. Zimą nosił swetry i marynarskie spodnie, latem - koszule z krótkimi rękawami. Strzygł włosy w tradycyjny sposób, po męsku, powyżej ucha.

Uosabiał marzenie każdej matki panny na wydaniu. Jej też, chociaż nigdy nie sądziła, że pokocha kogoś takiego jak on. Na pierwszej randce usiłowała odnaleźć w nim chociaż odrobinę fantazji. Daremnie. Mimo wszystko nie wątpiła, że pod układną powłoką odkryje kiedyś niegrzecznego chłopca, którego chciała w nim widzieć. Jednak ceniła sobie wysoko jego niezawodność. Jemu zaś odpowiadały jej spontaniczność i beztroska. Może właśnie dlatego, że różnili się w poglądach praktycznie na wszystko, od polityki po filmy, zażarte dyskusje, zawsze zakończone bardzo miłym pojednaniem, sprawiały im wielką przyjemność.

Rodzice Chrissie wprost za nim przepadali. Nic dziwnego. Lepszej partii dla córki nie mogli sobie wymarzyć. Chrissie zaprosiła Jasona na Wielkanoc. Spędził trzy dni z jej rodziną. Natychmiast podbił serca państwa Nelsonów. Do tej pory nie rozmawiali wprawdzie jeszcze o wspólnej przyszłości, lecz Chrissie nie byłaby zaskoczona, gdyby dostała od Jasona na Gwiazdkę pierścienek zaręczynowy.

Jason wszedł do pokoju. Stękając i sapiąc, wytaszczył ciężką walizę po schodach. W akademiku nie było windy. Chrissie niosła tylko plecak i torebkę. Już na dole posłała mu zbolale spojrzenie.

- Bardzo żałuję, że wyjeżdżam - jęknęła.

- Będzie dobrze - mruknął od niechcienia, nie patrząc na nią, może dlatego, że właśnie pakował walizkę do bagażnika.

Mimo wszystko zdawkowa uwaga sprawiła jej przykrość.

- Będę za tobą tęsknił, ale lato szybko minie - dodał na pocieszenie w swym zwykłym, szarmanckim stylu, co ją jeszcze bardziej zaniepokoiło.

Nie odnalazła w jego oczach cienia smutku, choć intensywnie szukała. Nie chciała jednak okazać, jak jej przykro. Z wysiłkiem przybrała pogodny wyraz twarzy, sprzeczny z prawdziwymi uczuciami.

- Racja. Mogę cię przecież odwiedzić Czwartego Lipca.

- Naprawdę?

- Czemu nie?

- Chociażby ze względu na koszty podróży. Nie zależy ci na tym, żeby trochę zaoszczędzić w wakacje?

Chrissie wzruszyła ramionami. Kwestie finansowe nie miały dla niej większego znaczenia. Oczekiwała szczerego entuzjazmu, jednak propozycja najwyraźniej nie zachwyciła ukochanego. Ku jej zdumieniu, wkrótce pochwycił ją w ramiona. Wycisnął na jej ustach długi, zachłanny pocałunek. Z rozkoszą chłonęła jego słodycz. Nie poznawała Jasona. Do tej pory nigdy nie okazywał uczuć w miejscach publicznych.

- Następnego lata znajdę sposób, aby zostać w Oregonie - oznajmiła.



- Doskonale - pochwalił, jakby mimochodem, umieszczając plecak obok torby. Po zamknięciu bagażnika otworzył przed nią drzwi.

- Wszystko w swoim czasie - dodała Chrissie. - Najpierw muszę przekonać mamę, że lepiej, abym zamieszkała na stacji.

- Obawiasz się jej reakcji?

- Skądże! Co ty sobie wyobrażasz? - zaprotestowała nieco zbyt gwałtownie, urażona do żywego. Nie chciała kłótni, ale ją zirytował.

- Nic, wyciągam tylko wnioski. Na pierwszy rzut oka widać, że nie cieszy cię perspektywa spotkania. Moim zdaniem to typowy konflikt po między matką a córką. O ojcu nie wspomniałaś ani razu.

- Bo z nim o wiele łatwiej dojść do porozumienia - odrzekła chłodno, zamykając za sobą drzwi auta.

Jason włożył kluczyk do stacyjki, zapalił silnik.

- Odnoszę wrażenie, że żywicie do siebie jakieś skrywane urazy - wrócił do tematu, gdy wyruszyli w drogę.

- Szukasz powodu do kłótni? - Nie chciała rozstawać się z nim w gniewie. - Wygląda na to, że nie będziesz za mną za bardzo tęsknił - dodała bez zastanowienia.

Natychmiast pożałowała tych słów. Świadczyły o niepewności, a przecież ufała mu bezgranicznie, przynajmniej do tej pory.

- Czy myślisz tak dlatego, że nie zaprosiłem cię na Dzień Niepodległości? Weź pod uwagę, że bilety lotnicze drogo kosztują. Poza tym obiecałem odwiedzić rodziców.

- Cieszysz się, że wyjeżdżam z Eugene? - drażyla dalej Chrissie mimo woli.

Nie umknęło bowiem jej uwagi, że wizyty u rodziców również nie zaproponował. Mieszkali w Grand Pass, zaledwie kilka godzin drogi od miasteczka akademickiego, gdzie Jason zostawał na całe lato. Dopisało mu szczęście. Dostał pełny etat w dużej kancelarii prawniczej. Po ostatnim zdaniu westchnął ciężko, jakby zameczał go nieznośny brzdąc.

- Czemu jesteś ostatnio taka przewrażliwiona? - spytał, zaciskając obie ręce na kierownicy.

- Pewnie dlatego, że wolałabym zostać z tobą niż siedzieć w Seattle z mamą przez sześć tygodni. Niewiele ją obchodzę. Żyje we własnym świecie - wyjaśniła lakonicznie.

- Niemożliwe. Moim zdaniem twoi rodzice to wspaniali ludzie.

- Niby tak, ale mama zamieni moje życie w piekło, ponieważ nie znalazłam sobie zajęcia na wakacje. Oczywiście nie powie wprost, co ją naprawdę denerwuje, ale znajdzie tysiąc powodów do krytyki.

- Podobno zamierzałaś szukać pracy w okresie ferii wiosennych?

- No nie, teraz ty zaczynasz! Rzeczywiście zamierzałam, ale byłam okropnie zajęta. Czas jakoś przeciekł mi między palcami. Przestań mnie męczyć, i tak czeka mnie koszmar.

- Przesadzasz.

- Pozwól, że podam ci przykład oparty na smutnych doświadczeniach. Jeśli posprzątam łazienkę na jej prośbę, nie zarzuci mi otwarcie niedbalstwa, tylko za parę minut ponownie wyszoruje

zlew, żeby mi pokazać, że nie spełniam jej wymagań. Już z pięćdziesiąt razy zdążyła mi przypomnieć, że Brian znalazł sobie wspaniałą pracę na lato w firmie budowlanej. Uważa mnie za lenia. Z całą pewnością usłyszę, że gdybym pomyślała wcześniej, znalazła bym coś ciekawego. Myśli, że to takie łatwe jak dawniej. Nawet do fast foodów nie przyjmują już zbyt chętnie. Swoją drogą wcale mnie nie pociąga sprzedawanie frytek przez całe lato - dodała na koniec z goryczą. Przewidywała, że mama poszuka dla niej posady niańki, co Chrissie uważała za szczyt okrucieństwa, zważywszy, że niedługo skończy dwadzieścia lat. - Jak znam życie, tata zaraz pospieszy z pomocą. Zaoferuje mi stanowisko rejestratorki w swoim gabinecie, za marne grosze. Tak czy inaczej czeka mnie rola posługaczki. Zgroza! - westchnęła ciężko.

- Zobaczysz, na pewno nie będzie tak źle - odparł półgębkiem Jason, najwyraźniej znudzony tematem.

W głowie Chrissie zadźwięczał dzwonek alarmowy. Zmarszczyła brwi. Zachowanie Jasona świadczyło o tym, że jej kłopoty niewiele go obchodzą. Popatrzyła na niego badawczo. Od momentu jego przyjazdu czuła, że stracił zainteresowanie jej osobą. Nigdy wcześniej nie spóźnił się na umówione spotkanie.

- Słuchaj, czy coś się zmieniło między nami?

- Skądże, co ci przyszło do głowy?

- Wczoraj odwiozłeś Katie na lotnisko.

- No to co?

Niby nic, gdyby nie to, że usłyszawszy ostatnie zdanie, zacisnęła mocniej ręce na kierownicy. Chrissie miała im towarzyszyć, ale rozliczne bagaże zajęły mnóstwo miejsca w samochodzie. Teraz żałowała, że została w akademiku. Popęłniła błąd. Jason pozostał z jej koleżanką aż do odlotu. Usiłowała odgadnąć, co między nimi zaszło. Z całą pewnością nic - odpowiedziała sama sobie. Jason nie zrobiłby jej świństwa, najlepsza przyjaciółka też nie. Planowały przecież razem zamieszkać.

Reszta drogi upłynęła w kłopotliwym milczeniu. Chrissie na siłę przekonywała samą siebie, że nie grozi jej porzucenie. Ledwie dojechali na lotnisko, wysiadła bez słowa z samochodu. Jason w milczeniu wystawił bagaże na chodnik.

- Wakacje szybko miną. Tylko patrzeć, jak wrócisz - rzucił od niechcienia, niemalże radośnie.

- Jasne - odrzekła równie beztrosko, choć wychwyciła w jego słowach fałszywą nutę. Podniosła z ziemi torbę.

- Zadzwoń do ciebie. Życzę udanych wakacji.

- Nawzajem.

Jason pocałował ją na pożegnanie jakoś niedbale, krócej niż zwykle. Czowała, że go traci. Ruszyła w kierunku hali odlotów.

## **ROZDZIAŁ CZWARTY**

Susanne niespecjalnie pociągała perspektywa wyjazdu do Colville. W miarę zbliżania się do celu napięcie rosło. Gdy dotarła do

przedmieść, włączyła płytę Rolling Stonesów, żeby je nieco rozładować. Nie umknęły jej uwagi zamknięte drzwi restauracji Burger King, pewnie jedynej w całej sieci, która nie pracowała. Następny lokal zachwalał jako specjalność zakładu dwa jajka, grzanek i kawę za 2,99 dolara, to samo, co w czasach jej dzieciństwa, tylko o dolara drożej. Następnie minęła kostnicę, niegdyś własność dawno zmarłego stryja Henry'ego.

Wzrastała wśród licznej gromady kuzynów. Żaden z nich nie widział powodu, by zostać w rodzinnym mieście. Podobnie jak ona, wszyscy opuścili tę zapadłą dziurę. Na głównej ulicy strach zjeżył jej włosy na głowie, przede wszystkim na myśl o nieuniknionej batalii z matką. Ale nie tylko. Wprawdzie odkąd wyjechała na studia, wracała tu czasami, jednak nigdy nie zabawiła dłużej. Każda wizyta przywoływała bolesne wspomnienia.

Brat zginął w wypadku samochodowym, gdy skończyła osiemnaście lat. Mieszkała wtedy w internacie we Francji, gdzie kończyła liceum. Ojciec zadzwonił w samym środku dnia, co zważywszy różnicę czasu, nie wróżyło nic dobrego. Trzy lata starszy brat stracił życie na niebezpiecznym zakręcie za miastem, gdzie od niepamiętnych czasów dochodziło do katastrof samochodowych. Jakby nie dość było nieszczęść, ojciec nie zezwolił jej przylecieć na pogrzeb. Nigdy mu tego nie wybaczyła. Przecież to on zmusił ją do pobierania nauk za oceanem.

Rodzice nigdy nie otrząsnęli się po śmierci Douga. Zostawił po sobie taką pustkę, jakby wraz z nim złożyli do grobu własne

szczęście, a nawet zdolność do odczuwania drobnych, codziennych radości. Matka nie przyznawała tego otwarcie, ale gdyby przemocą nie stłumiła bólu, nie mogłaby chyba dłużej zostać przy mężu ze względu na jego postępowanie w obliczu życiowego dramatu.

Susanna z niechęcią wróciła po maturze do rodzinnego domu. Wyjeżdżając na studia, w ogóle nie brała pod uwagę możliwości powrotu do Colville. Do tej pory ciążyły jej tamte wspomnienia. Zresztą nie tylko one. Znajome otoczenie przypominało wbrew woli o dawnym ukochanym, Jake'u Presleyu. Dawniej również często myślała, jak potoczyły się jego losy, jednak ostatnio jego obraz prześladował ją zarówno we śnie, jak i na jawie.

Nie ulegało wątpliwości, że to właśnie ojciec zniszczył jej pierwszą miłość. Pragnęła wierzyć, że Jake został mężem, ojcem, wiedzie szczęśliwe życie, jakkolwiek nim pokierował. Minęło wiele lat, nim przeszła do porządku dziennego nad rozstaniem, albo raczej nim zdołała to sobie wmówić.

Potrząsnęła gwałtownie głową, żeby odpędzić złe myśli. Zwolniła do przepisowych pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Minęła motel Benny'ego, później supersam Safeway, gdzie matka robiła zakupy od pięćdziesięciu lat. Za nimi znajdował się park miejski, jeszcze dalej restauracja Ole King Cole, dokąd ojciec zabierał żonę w Dzień Matki, o ile nie zapraszał jej do Acorna.

Susanna zabroniła sobie wracać myślą do przeszłości. Musiała skupić uwagę na bieżącym zadaniu. Na głównej ulicy wjechała pod górę w kierunku Chesnut Avenue, przy której stał jej rodzinny dom.

Zahamowała na podjeździe. Chociaż nie minęła jeszcze piąta, a słońce jasno świeciło, w oknach paliło się światło. Zastała otwarte drzwi wejściowe, jakby matka czekała tuż za progiem na jej przybycie.

Dom należał kiedyś do najokazalszych w mieście. Zbudowano go z cegieł w 1960 roku w stylu farmerskim z salonem, piwnicą, pralnią oraz czterema sypialniami, z których jedna służyła matce za pracownię. No i z ogrodem, z ukochanym ogrodem mamy. Vivian chętnie przesiadywała tam w rześkim powietrzu wieczoru z książką lub robótką w ręku. Mąż specjalnie dla niej zamontował oświetlenie w jej ulubionym zakątku.

Ledwie Susanna wysiadła, Vivian wyszła jej na spotkanie z otwartymi ramionami. Idąc po schodach, Susanna zauważyła, że matka bardzo schudła od jej ostatniej wizyty. Pani Henderson miała rację.

Vivian wyglądała, jakby od marca przybyło jej dziesięć lat. Ubrania na niej wisiały. Pończochy też. Gdyby nie ścisnęła spódnicy pasem, pewnie by z niej spadła. Susannę dręczyły wyrzuty sumienia, że wcześniej nie zadbała o matkę. Postanowiła to nadrobić. Uznała, że zarówno Joe, jak i dzieci doskonale sobie bez niej poradzą przez najbliższych kilka tygodni.

- Tak się cieszę, że mnie odwiedziłaś! - wykrzyknęła Vivian na powitanie.

- Ja też - szepnęła.

- Wejdz do środka. Zrobiłam mrożoną herbatę.

Susanna otoczyła ramieniem szczupłą talię matki.

Zanim przekroczyła próg, zwróciła uwagę na stertę czasopism na schodach. Leżały jeszcze w plastikowych torebkach, tak jak zostawił je listonosz, co ją bardzo zaskoczyło, bo Vivian zawsze bardzo dbała o porządek. W pokoju zastała wszystko na swoim miejscu, nawet szydełkową serwetkę, przypiętą do oparcia fotela, w którym ojciec oglądał telewizję.

Gdy przeszedł na emeryturę, nigdy nie włączał odbiornika przed wiadomościami o piątej. Żona nie łamała ustanowionych przez niego reguł. Susanna miała ochotę zapytać, czy teraz, gdy owdowiała, ogląda wcześniejsze programy. Stare nawyki niełatwo wykorzenić.

W kuchni zobaczyła zastawiony sztućcami i naczyniami stół.

- Nie gotowałaś obiadu? - zapytała.

- Przecież sama mi zabroniłaś - wypomniała Vivian ze zmarszczonymi brwiami.

- Postanowiłam cię zabrać do restauracji, którą sama wybierzesz.

- To dobrze. Już myślałam, że coś pokręciłam.

- Ależ skąd - zaprzeczyła zdjęta współczuciem Susanna.

Vivian robiła wrażenie kompletnie zagubionej po śmierci męża. Susanna winiła go za to, że całkowicie uzależnił ją od siebie.

- Usiądź, opowiedz trochę o dzieciach - poprosiła matka.

Odsunęła dla niej krzesło, równie staromodne jak kuchenny stół. Napelniła filiżanki przy blacie. Następnie usiadła. Posłała córce wyczekujące spojrzenie.

Susanna upiła łyk herbaty.

- Brian znalazł pracę w firmie budowlanej. Dobrze zarobi.



Vivian uśmiechnęła się z aprobatą.

- A Chrissie?

- Joe odbierze ją z lotniska dziś po południu.

- Dokąd wyjechała? - dociekała matka, najwyraźniej zbита z tropu.

Uśmiech zgasł na jej ustach.

- Na studia. Wraca do domu na wakacje.

- Znalazła jakieś zajęcie na lato?

- Jeszcze nie. Pewnie coś sobie załatwi - odrzekła Susanna.

Bardzo sobie tego życzyła.

- Nie wątpię. Jest taka śliczna.

Susanna zerknęła na półkę z rodzinnymi fotografiami. Jedna z nich przedstawiała Chrissie zaraz po maturze, z uśmiechem na ustach, z długimi, jasnymi włosami, odrzuconymi na plecy. Obok stało maturalne zdjęcie Susanny. Wtedy również była blondynką. Także nosiła rozpuszczone włosy, tylko trochę krótsze. Z czasem nieco ściemniały. Obecnie obcinała je krótko i modelowała. Pozowała w birecie i todze. W ręku trzymała świadectwo dojrzałości, zrolowane na jednym rogu na podobieństwo kartusza. Wszystko na pokaz.

- Jest bardzo podobna do ciebie. Zwłaszcza oczy - zauważyła matka.

Susanna ponownie zerknęła na fotografię. Z żalem stwierdziła, że nie widzi podobieństwa ani w wyglądzie, ani w usposobieniu. Przez ostatni rok oddaliły się od siebie, nie z powodu otwartego konfliktu, lecz jakoś stopniowo, niepostrzeżenie. Zdaniem Susanny w wieku dwudziestu lat Chrissie zachowała psychikę dziecka.

Bardzo martwiło ją niepoważne podejście córki do obowiązków. Wkładała zbyt mało wysiłku w naukę, marnowała całe godziny przed telewizorem albo na pogawędkach z przyjaciółmi, sypiała do południa. Nie zadała sobie nawet trudu, by w czasie ferii poszukać pracy na lato. Jak zwykle liczyła na to, że manna spadnie z nieba na życzenie.

- W jej wieku miałaś takie same jasne włosy - ciągnęła Vivian.

Susanna przemilczała, że córka uzyskała swój złocisty odcień w drogim salonie fryzjerskim.

- Gdy matka Joego po raz pierwszy zobaczyła maleństwo, stwierdziła, że najbardziej przypomina jej ciocię Louise - przypomniała. (Gdy Joe to usłyszał, wywrócił oczy ze zgrozy, lecz Susanna po latach przyznawała rację teściowej).

- Chodzi jeszcze do szkoły?

- Nie, studiuje. Przyjeżdża na wakacje do domu - powtórzyła cierpliwie.

- Prawda, już to mówiłaś. Czasami zapominam pewnych rzeczy.

- Jak my wszyscy - pocieszyła Susanna. Wstała. - Przyniosę walizkę.

- Zostaniesz tym razem dłużej niż dzień czy dwa, prawda?

- Tak.

Puste oczy Vivian nagle nabrały blasku.

- O, jak dobrze. Liczyłam na to. Po śmierci George'a jestem taka zagubiona. Na domiar złego Martha też mnie opuściła. - Wyciągnęła z kieszeni chusteczkę, otarła zwilgotniałe oczy.

Ostatnie zdanie przeraziło Susannę. Gospościa spełniła swą groźbę. Idąc do samochodu po bagaż, omal nie jęknęła z rozpacz. Przewidując dłuższy pobyt, zapakowała znacznie więcej rzeczy niż zwykle. Wniosła walizki do swej dawnej sypialni. Zastała ją niezmienną od szkolnych czasów: te same błękitne, teraz już spłowiałe zasłony, okropnie przetarty dywan w nieco jaśniejszym odcieniu, a nawet biurko i krzesło do odrabiania lekcji.

Nie rozumiała, czemu rodzice przez trzydzieści lat nie dokonali żadnych zmian, jakby usiłowali zatrzymać czas. Z całą pewnością nie brakowało im pieniędzy na remont. Vivian stanęła w drzwiach. Przez chwilę obserwowała, jak córka rozpakowuje bagaże.

- Spotkałam ostatnio twoją koleżankę.

- Którą?

Susanna nie miała wielu przyjaciół. Ostatni raz widziała ich z okazji dziesiątej rocznicy rozpoczęcia nauki w liceum. Była wtedy od trzech lat żoną Joego. Ponieważ wcześniej nie utrzymywała kontaktów z kolegami ze szkoły, czuła się obco, nie na miejscu. Nawet nie zdawała z nimi matury, gdyż ostatni rok nauki spędziła za granicą. W kolejnych zjazdach koleżeńskich już nie uczestniczyła.

- Chwileczkę, niech sobie przypomnę - wymamrotała Vivian. Zamknęła oczy. - Już wiem, Carolyn, Carolyn Bronson! - wykrzyknęła z triumfem po dość długim namyśle. - Prosiła, żebyś do niej zadzwoniła. Przyjaźniłyście się, prawda?

- Tak, ale nie widziałam jej od lat.

Carolyn, najbogatsza dziewczyna w Colville, była jej najlepszą przyjaciółką. Mieszkały razem w internacie we Francji. Jej ojciec miał tartak - największy zakład, który swojego czasu zatrudniał prawie czterdzieści procent mieszkańców miasta. Susanna nie wiedziała, jak obecnie prosperuje w obliczu powszechnych zmian w przemyśle. Przez dłuższy czas pisały do siebie, później rozdzieliła je odległość i czas. W końcu ograniczyły korespondencję do świątecznych życzeń.

Wreszcie, przed dwudziestu pięciu laty, pocztówka Susanny wróciła z pieczętką: „Adresat zmienił miejsce zamieszkania. Obecny adres nieznan”. Od tamtej pory nie otrzymała od Carolyn żadnej wiadomości. Jedynie matka, która regularnie czytywała nekrologi, przekazała jej informację o śmierci obojga rodziców Carolyn. Susanna nie wiedziała, że przyjaciółka wróciła do rodzinnego miasteczka.

- Carolyn bardzo się ucieszyła, że przyjeżdżasz. Koniecznie chce cię zobaczyć.

- Nie wspomniała przypadkiem, czy ma męża?

- Nie. - Vivian z namysłem pokręciła głową.

- Gdyby miała, chyba mi powiedziała, nie sądzisz?

Carolyn wyszła za mąż zaraz po studiach. Małżeństwo przetrwało zaledwie rok. Dopóki utrzymywały kontakt, nie spróbowała ponownie szczęścia, prawdopodobnie zrażona uczuciową porażką.

- Jej matka zawsze zadzierała nosa - wycedziła Vivian przez zaciśnięte zęby.

Matka Carolyn, rodowita paryżanka, wyszła za mąż podczas wojny. Nigdy nie zaakceptowała obyczajów amerykańskiej prowincji.

To ona postanowiła wysłać jedynaczkę do liceum we Francji. Carolyn i Susanna pisały do siebie, z początku często, później, w miarę zdobywania nowych przyjaciół, coraz rzadziej, nieregularnie. Aż wreszcie, gdy ojciec Susanny zdecydował wysłać córkę do tej samej szkoły, ich przyjaźń ponownie odżyła. Carolyn wspierała Susannę w najtrudniejszych chwilach, płakała razem z nią po śmierci Douga. Bez bratniej duszy nie przeżyłaby tego koszmarnego roku.

Po powrocie do Stanów Zjednoczonych utrzymywały kontakt, mimo że studiowały na różnych uczelniach. Więzy między nimi przetrwała dłużej niż nieudane małżeństwo Carolyn. Później Susanna poznała Joego. Kiedy za niego wyszła, kontakty stopniowo się rozluźniły.

- Dała mi swój numer telefonu. Zastrzeżony. - Vivian przez dłuższą chwilę szukała jakiejś informacji w zakamarkach pamięci, następnie odetchnęła z ulgą. - O, przypomniałam sobie. Włożyłam do torebki, żeby nie zgubić.

- Kiedy wróciła do Colville?

- Nie wiem. Nie pamiętam nawet, czy o tym wspominała - odrzekła matka powoli, z przerwami, po dłuższym namyśle. Zupełnie nieoczekiwanie wskazała komodę, wyraźnie zakłopotana. - Chyba trzeba opróżnić szuflady, żebyś miała gdzie schować rzeczy. Twój ojciec trzymał tam różne rupiecie.

- Poradzę sobie.

Vivian skinęła głową. Wyszła do swojego pokoju, by zmienić ubranie.

Susanna rozpakowała bagaże. Następnie usiadła na brzegu łóżka i zadzwoniła do domu. Odebrał syn.

- Jak babcia?

- W porządku. Tata w domu?

- Tak. Chrissie też. Już mnie opieprzyła, że za długo wiszę na telefonie. Chyba Jason puścił ją w trąbę, bo od rana wyładowuje na mnie złość. Warczy o byle co jak wściekła suka - dokończył zdławionym głosem, jakby zakrywał słuchawkę ręką.

- Stop! - przerwała Susanna.

W ten sposób powstrzymywała uczniów, gdy używali wulgaryzmów albo robili błędy gramatyczne. Dawała dziecku możliwość ponownego sformułowania myśli w poprawnej, przyzwoitej formie. Pewnie syn i córka uważali jej metody za okropnie staroświeckie, ale nie widziała powodu, żeby je zmieniać tylko po to, by przypodobać się młodzieży.

- No doooobra, ofuknęła. Co ja poradzę, że naprawdę warczała, jak... sama wiesz co - odburknął Brian z niechęcią.

Susanna westchnęła ciężko.

- Zawołaj ojca.

- Tato! Mama dzwoni! - ryknął Brian tak głośno, że na pewno szyby w oknach zadrżały.

- Mamo! Myślałam, że zastanę cię w domu! - wrzasnęła do słuchawki Chrissie, która dopadła telefonu przed ojcem.

- Przykro mi, że cię rozczarowałam, ale babcia mnie potrzebuje.

- Ja też. Czemu mnie nie uprzedziłaś? Tata mi nie pomoże.

- Jason cię porzucił?

- Oho, mój braciszek już zdążył wypaplać - warknęła Chrissie. - Do oficjalnego zerwania nie doszło, ale sama nie wiem, na czym stoję. Czuję, że interesuje go ktoś inny. Obiecał zadzwonić i nic. Cisza.

- Daj mu trochę czasu. Ledwie zdążyłaś dojechać do domu. Wiem, że ci ciężko, ale na razie nie pozostaje ci nic innego, jak tylko cierpliwie czekać. Idź spać, odpocznij, a rano spojrzysz na sprawę w bardziej optymistyczny sposób.

- Polubiłaś go?

- Bardzo - przyznała Susanna.

Lepszego zięcia nie mogła sobie wymarzyć. Bardzo pragnęła, żeby w przyszłości poprosił o rękę Chrissie.

- Szkoda, że na mnie nie poczekałaś. Kocham babcię. Chętnie spędziłabym u niej wakacje.

- Musiałam jak najszybciej przyjechać do Colville - usprawiedliwiała się udęczona Susanna. Nie dość, że praca w szkole kompletnie ją wyczerpała, to jeszcze Chrissie obudziła w niej poczucie winy.

- Ojciec kazał mi gotować obiady. Robi ze mnie niewolnicę - burknęła niezadowolona Chrissie.

- Ależ dziecko, trudno nazwać przygotowanie jednego posiłku dziennie niewolniczą pracą.

- Miałam inne plany.

- Poproś tatę - westchnęła ciężko Susanna, wdzięczna losowi, że uciekła choć na trochę od domowych dramatów.

- Dobrze. Powiedz mu, żeby mnie nie wykorzystywał.

Pół minuty później Joe przejął słuchawkę. Na wstępie zapytał, jak minęła podróż.

- Przez całą drogę słuchałam muzyki.

- Pomogło?

- Trochę - westchnęła. - Za tydzień lub dwa dojdę do siebie - odpowiedziała bez większego przekonania na niezadane pytanie, które usłyszała między wierszami.

- Odwiedzisz grób ojca? - Zmienił temat.

- Niby po co? - odburknęła. - Przecież doskonale znasz moje uczucia.

- Tylko spokojnie. Mam nadzieję, że w Colville znajdziesz rozwiązanie wielu zagadek z przeszłości.

- Niewykluczone - mruknęła. Na szczęście nie wiedział, jakie wątpliwości ją nurtują ani jakich odpowiedzi szuka. - Muszę kończyć, mama mnie woła - powiedziała, żeby przerwać kłopotliwą rozmowę.

Vivian już stała w drzwiach w płaszczu i odświętnym kapeluszu. Z dumną miną wyciągnęła w jej kierunku jakąś kartkę.

- Znalazłam numer Carolyn.

- Będzie ci za gorąco, mamusiu. Na dworze jest dwadzieścia dziewięć stopni. Przejeżdżając przez miasto, odczytałam temperaturę z elektronicznego zegara nad budynkiem banku.

Pomogła matce zdjąć płaszcz. Zauważyła, że Vivian nie zmieniła sukienki.

- Dokąd pójdziemy na obiad?



- Dokąd chcesz.

- Może do Benny'ego - zaproponowała Vivian po dłuższym namyśle.

Wyglądało na to, że przywołanie z pamięci jakiegokolwiek nazwy kosztowało ją wiele wysiłku.

- Albo do Acorna - podsunęła Susanna. Pamiętała, że ojciec zawsze ją tam zabierał.

Twarz Vivian rozjaśnił promienny uśmiech.

- Świetnie. Podają tam doskonale ostrygi, najlepsze w mieście. A po powrocie zadzwonisz do Carolyn.

- Oczywiście.

## **ROZDZIAŁ PIĄTY**

Telefon od Susanny Leary, obecnie Nelson, bardzo ucieszył Carolyn Bronson. Podała wprawdzie numer jej matce, ale z bliżej nieokreślonych powodów nie miała wielkiej nadziei, że przyjaciółka ze szkolnej ławy nawiąże z nią kontakt. Ostatni raz rozmawiały przed co najmniej dwudziestu pięciu laty. Miały sobie tak wiele do powiedzenia, że po pół godzinie z wielkim ociąganiem odłożyła słuchawkę.

Wsiadła do samochodu i ruszyła w kierunku ulubionej tawerny swoich pracowników, około półtora kilometra od tartaku. Telefon od Susanny tak bardzo ją zaskoczył, że nic innego nie przyszło jej na poczekaniu do głowy. Zresztą uznała stary, przerobiony na pub zajazd

za najlepsze miejsce na spotkanie po latach. Mimo że wróciła w rodzinne strony przed pięciu laty, nie przekroczyła jeszcze progu najpopularniejszego lokalu w całej okolicy. Choć jechała powoli, z emocji omal nie przeoczyła szyldu. Rozbawiła ją nowa, jej zdaniem całkiem pomysłowa nazwa: Tu Go Nie Ma.

Aczkolwiek Carolyn często odwiedzała rodziców za ich życia, nie utrzymywała kontaktów z kolegami ze szkolnej ławy. Na życzenie swej francuskiej mamy ukończyła liceum we Francji. Podejrzewała, że ją rozczarowała. Brigitte usiłowała nauczyć córkę dobrych manier, wdzięku, sztuki bycia kobietą, lecz Carolyn zawiodła pod każdym względem, z wyjątkiem doskonałych wyników w nauce. Nie urodziła się damą. Przypominała krewnych ze strony ojca, proletariuszy w każdym calu.

Nigdy nie zrozumiała, czemu tak niedobrana para jak rodzice podjęła decyzję o małżeństwie. Poznali się i pobrali podczas wojny. Carolyn przypuszczała, że matka z całego serca żałowała, że utknęła na całe życie w prowincjonalnym, amerykańskim miasteczku. Pasowała tu jak orchidea do pola buraków.

Carolyn bez trudu znalazła miejsce na parkingu. Wnętrze tawerny było słabo oświetlone. Wyteżyła wzrok w obawie, że nie pozna dawno niewidzianej koleżanki. Sama nie zmieniła fryzury. Brązowe, obecnie lekko przyprószone siwizną włosy splatała nadal w długi warkocz jak w latach szkolnych. Włożyła te same dzinsy i przewiewną bluzę, które nosiła w pracy. Rzadko wkładała bardziej kobiece stroje.

Ledwie usiadła na wypolerowanej, drewnianej ławie, Susanna stanęła w drzwiach. Spozrzęła ją natychmiast. Bez wahania ruszyła w jej kierunku. Carolyn rozpoznałaby ją na końcu świata, chociaż przybyło jej parę kilo, a krótkie obecnie włosy nieco pociemniały. Poza tym w jej wyglądzie nie zaszły poważniejsze zmiany. Miała na sobie białe, lniane spodnie i letni sweterek z dużym, kwiatowym wzorem z przodu. Zajęła miejsce naprzeciwko.

- Miło cię widzieć, świetnie wyglądasz - zagadnęła na powitanie.

- Ty też - odparła Carolyn. Zawsze żałowała, że straciły kontakt. -  
Co z mamą?

- Gorzej, niż przypuszczałam - westchnęła ciężko Susanna. -  
Podczas obiadu wciąż myliła mnie ze zmarłą piętnaście lat temu ciocią Jean.

- Jakże mi przykro! - zawołała Carolyn ze współczuciem.

- Jest kochana, ale kompletnie zagubiona po śmierci ojca. Ale nie po to przyszłam, żeby zamęczać cię swoimi problemami. Lepiej powiedz, jak to się stało, że straciłyśmy kontakt.

- Sama nie wiem, chyba z powodu rodzinnych kłopotów - mruknęła Carolyn z ociąganiem, wzruszając ramionami. Nie miała najmniejszej ochoty rozpamiętywać błędów przeszłości, zwłaszcza ostatnich paru lat. - Tata ciężko chorował, potem zmarł. Interesy podupadły. Odziedziczyłam majątek w oplakany stanie. Włożyłam mnóstwo pracy w odbudowanie rodzinnego przedsiębiorstwa. Nie starczało czasu na życie towarzyskie.

- A jak ci idzie teraz? Wiadomość, że zostałam szefową przedsiębiorstwa, zrobiła na mnie wielkie wrażenie.

- Rozwijam interes, jestem wypłacalna - odrzekła Carolyn lakonicznie. Skromnie przemilczała, że jej firma rozkwitała, podczas gdy wiele innych bankrutowało. Dzięki mądrym inwestycjom na wielu rynkach zagranicznych wyprowadziła Bronson Mills z finansowej zapaści. Obecnie jej tartak należał do najbardziej dochodowych w całym stanie. - A co u ciebie? Często odwiedzałaś rodzinne miasto?

Zanim Susanna zdążyła odpowiedzieć, nadeszła kelnerka. Zamówiły dietetyczną colę.

- Nie. Przez ostatnich pięć lat byłam tu zaledwie dwa czy trzy razy. Na ogół to rodzice do mnie przyjeżdżali. Tata zmarł w ubiegłym roku, w listopadzie.

Mimo dość lekkiego tonu Carolyn wyczuła w jej głosie napięcie. Sama straciła ojca przed paru laty, ale nadal odczuwała boleśnie tę stratę.

- Twoja mama nie żyje, prawda? - spytała Susanna.

- Tak, zmarła na raka dwa lata temu. - Chociaż Carolyn bardzo cierpiała, zdawała sobie sprawę, że matka z niecierpliwością wyczekiwała końca. Życie ją rozczarowało, młodzińcze marzenia pozostały niespełnione. Gdy mąż odszedł na zawsze, nic już jej nie trzymało na tym świecie. Nie zyskała wielu przyjaciół, nie rozwinęła jakichś szczególnych zainteresowań. - Tatę zabiła przewlekła niewydolność mięśnia sercowego - dodała Carolyn.

- Współczuję.

- Rzeczywiście, bardzo mi go brakuje. Ogromnie go kochałam. Podczas ostatnich miesięcy choroby jeszcze bardziej zbliżyliśmy się do siebie. Właśnie wtedy zrozumiałam, że tu jest moje miejsce, mój dom - wyznała Carolyn.

Z początku zamierzała sprzedać tartak, ale po powrocie do Colville postanowiła, że nie wolno jej zaprzepaścić dziedzictwa trzech pokoleń. Później odkryła, że pozycja właścicielki przedsiębiorstwa niesie ze sobą więcej obowiązków niż przywilejów.

- Lubisz to zajęcie?

- Uwielbiam - oświadczyła z uśmiechem zażenowania. - Studiowałam nauki humanistyczne tylko po to, by sprawić tacie przyjemność. Zaraz po uzyskaniu dyplomu podjęłam pracę w firmie Techtronics. Dawała mi wiele satysfakcji. Szybko awansowałam. Moje zaangażowanie zostało docenione. Właśnie zaproponowano mi kierownicze stanowisko, kiedy złożony chorobą ojciec wezwał mnie do domu. Przez całe życie o nic mnie nie prosił, ale wtedy naprawdę mnie potrzebował. Bez wahania złożyłam wymówienie następnego dnia, spakowałam manatki i ruszyłam w drogę - zakończyła Carolyn.

Nie wspomniała, że prośba ojca tak bardzo ją poruszyła, ponieważ kochał ją taką, jaka była, bezwarunkowo, w przeciwieństwie do matki, która wciąż stawiała wygórowane wymagania.

Kelnerka przyniosła napoje. Przyjaciółki zamilkły na chwilę.

- Chciałabym pomóc mamie, ale nie wiem, jak ją przekonać do przeprowadzki - westchnęła Susanna.

- Co zamierzasz zrobić z domem? - spytała Carolyn, w pełni świadoma, jak trudne zadanie czeka przyjaciółkę.

- Gdy już umieszczę mamę w jakimś dobrym miejscu, muszę go sprzedać, a potem jak najszybciej korzystnie zainwestować pieniądze. Przeprowadziłam kilka rozmów telefonicznych. Nie miałam pojęcia, że pobyt w domu opieki tak drogo kosztuje. Tata ją zabezpieczył, ale to nie wystarczy.

- Myślałaś o tym, żeby przenieść ją gdzieś w okolice Seattle?

- Wykluczone. Twierdzi, że nie opuści rodzinnego miasta ani przyjaciół. Poza tym po tej stronie gór ceny są znacznie rozsądniejsze.

- Najważniejsze, że żyje - usiłowała ją pocieszyć Carolyn. - Kiedy straciłam matkę, poczułam się straszliwie osamotniona, niezdolna do samodzielnego życia, chociaż wkrótce skończę pięćdziesiąt lat. Dziecinne, prawda?

- Wcale nie. Doskonale cię rozumiem. Nie mogę odżałować, że nie wspiera mnie Doug. Powinien tu ze mną być. Zginął trzydzieści dwa lata temu, a nadal mi go brakuje, jakbym straciła go wczoraj - wyznała Susanna.

Carolyn pochyliła głowę, żeby przyjaciółka nie dostrzegła bólu na jej twarzy. Śmierć Douga dotknęła ją osobiście. Nie chciała jednak kontynuować bolesnego tematu.

- Ty przynajmniej nadal jesteś mężatką. Wiem o tym od twojej mamy - powiedziała na pocieszenie.

- Tak. Od dwudziestu pięciu lat. Mamy dwoje prawie dorosłych dzieci. Joe jest dentystą, a ja uczę piątą klasę.

- Zawsze myślałam, że wyjdiesz za Jake'a - stwierdziła Carolyn.

Doskonale pamiętała, jak Susanna tęskniła za nim w internacie, jak czekała na listy. Z początku pisał, jednak po kilku miesiącach przestał. Na domiar złego w tym samym czasie Doug zginął w wypadku.

Susanna przeżyła załamanie nerwowe. Wypytywała o ukochanego wszystkich znajomych, ale zniknął bez śladu. Carolyn nigdy mu nie wybaczyła, że porzucił swoją dziewczynę, kiedy go najbardziej potrzebowała.

- Ja też w to wierzyłam. - Susanna wzruszyła ramionami ze smutkiem w oczach. - Wymykałam się po kryjomu do ogrodu. Siadywaliśmy na kamiennej ławeczce za szpalerem. Pewnego wieczora Jake poprosił, żebym z nim uciekła, ale zabrakło mi odwagi. Odmówiłam. Miałam dopiero siedemnaście lat. Następnego ranka rodzice zawieźli mnie na lotnisko w Spokane, na samolot do Francji. Nigdy go więcej nie zobaczyłam. Wyprowadził się z miasta, zanim wróciłam z Francji. Nie wiem dlaczego. Szukałam go, ale nie znalazłam - zakończyła, patrząc przyjaciółce w oczy.

- Podjęłaś słuszną decyzję. Spróbuj sobie wyobrazić, co byś czuła, gdyby twoja siedemnastoletnia córka nagle znikła.

- Taaak - uśmiechnęła się Susanna. - To rzeczywiście pozwala spojrzeć na sprawę z innego punktu widzenia, zwłaszcza że Chrissie jest znacznie bardziej uparta ode mnie. Niedługo skończy dwadzieścia lat. Uważa się za dorosłą, a postępuje jak dziecko. - Susanna wyciągnęła rodzinne fotografie.

Carolyn uznała zarówno jej męża, jak i dzieci za bardzo atrakcyjne osoby. Chociaż nigdy nie poznała Joego osobiście, czuła, że przyjaciółka dobrze trafiła. Sama chciałaby założyć rodzinę, urodzić dzieci. Rozwód kompletnie ją załamał. Długo leczyła rany. Zaangażowała całą energię w pracę, żeby zapomnieć o uczuciowej porażce. W ten sposób dożyła w samotności czterdziestki. A potem zachorował ojciec.

Z perspektywy czasu nie żałowała jednak obranej przez siebie drogi. Nieustanna szarpanina z niewiernym małżonkiem odebrała jej resztki wiary w siebie. Wołała nie ryzykować kolejnego zawodu. Nigdy zresztą nie przełamała nieśmiałości. Rekompensowała sobie osobiste niepowodzenia zawodowymi sukcesami. Postronny obserwator nigdy by nie odgadł, jak trudno jej nawiązać kontakt z mężczyzną.

Susanna schowała zdjęcia. Popatrzyła badawczo na Carolyn.

- Wyglądasz na szczęśliwą.

Carolyn ze zdziwieniem przyznała jej w duchu rację. Niedawno przyłapała się na śpiewaniu przed wyjściem do pracy, mimo że nie oczekiwała żadnych fascynujących wydarzeń. Po prostu cieszyła się tym, co zostało jej dane. Gdyby ojciec wiedział, do jakiego rozkwitu doprowadziła rodzinne przedsiębiorstwo, byłby z niej dumny. Tartak nadal dawał zatrudnienie większości mieszkańców Colville. Mogła bez fałszywej skromności powiedzieć, że własnymi rękami wykuła nie tylko swój sukces, ale i własną tożsamość.

- A ty? Jesteś szczęśliwa? - spytała.



- Oczywiście - odrzekła Susanna, nieco zbyt pospiesznie, sięgając po swoją torebkę. - Prawdę mówiąc, przez ostatnie trzy miesiące dręczyła mnie chandra. Joe twierdzi, że z powodu śmierci ojca, ale... - zerknęła niepewnie na Carolyn - w rzeczywistości zbyt często ostatnio myślę o Jake'u. Wspomnienia spadły na mnie nagle, bez powodu, jak grom z jasnego nieba. Ostatnio prawie co noc widuję go we śnie.

Carolyn dość długo rozważała w milczeniu jej słowa.

- Zdaję sobie sprawę, że igram z ogniem, ale bardzo mi zależy, by go odnaleźć.

- I co dalej?

- Trudno powiedzieć. - Susanna zmarszczyła brwi. - Pewnie zapytałabym, czemu przestał pisać po śmierci Douga, dlaczego wyjechał bez pożegnania, nie podając adresu. Ciągle mnie nurtuje, jak wyglądałoby moje życie, gdybym z nim uciekła tamtej nocy.

- Prawdopodobnie nieciekawie - odpowiedziała Carolyn, jedynie w myślach. Uznała, że Susanna z pewnością sama doszła do identycznych wniosków.

- Nie słyszałaś przypadkiem, czy zamieszkał gdzieś w tych stronach? - zapytała Susanna z błyskiem nadziei w oczach.

- Nie, ale też nie znam tu zbyt wielu ludzi.

- Nie wspomniałam o tym Joemu, ponieważ dręczą mnie wyrzuty sumienia, chociaż nie zrobiłam nic niestosownego - przyznała Susanna z zażenowaniem. Odgarnęła włosy z czoła. - Wystarczyłoby mi kilka minut rozmowy telefonicznej. Nic więcej. Nie ryzykowałabym przecież małżeńskiego szczęścia dla mrzonki. Pragnę

go zapewnić, że jestem szczęśliwa, czego i jemu życzę. Czy to grzech? - dodała na koniec, patrząc niepewnie na przyjaciółkę.

- Nie - odrzekła lakonicznie Carolyn.

W głębi duszy podzielała pogląd Joego, że to wstrząs po śmierci ojca wzbudził w Susannie potrzebę powrotu do przeszłości.

- Zawsze byłaś moją najlepszą przyjaciółką. Bez ciebie nie przetrwałabym pobytu we Francji, zwłaszcza tych koszmarnych ostatnich pięciu miesięcy.

- Tak. Byłyśmy ze sobą bardzo zżyte - potwierdziła Carolyn. Nie musiała dodawać, że pragnie, by tak pozostało.

Podeszła kelnerka. Zamówiły po jeszcze jednej szklaneczce napoju.

- Powinnam wracać do mamy, ale żal mi cię opuszczać. Uciszyłaś moje wyrzuty sumienia. Dziękuję z całego serca.

- Jak długo zamierzasz zostać w Colville? - zapytała Carolyn w nadziei na następne spotkanie.

Nie miała wielu przyjaciół, praktycznie nie udzielała się towarzysko. Pracowała pięćdziesiąt do sześćdziesięciu godzin w tygodniu. W wolnym czasie plewiła ogródek, karmiła dzikie zwierzęta, które odwiedzały jej posiadłość, trochę haftowała. I na tym koniec.

- Dwa do trzech tygodni - oznajmiła Susanna. - Zależy, jak pójdzie z mamą.

- Jeśli znajdziesz czas, wstąp do mnie. Chętnie oprowadzę cię po zakładzie - zaproponowała Carolyn. Miała ochotę zaprezentować

zmiany, jakich dokonała w tartaku, nawet jeśli Susanna nie doceniała cudów nowoczesnej techniki.

Przez następnych piętnaście minut rozmawiały na prośbę Susanny po francusku. Chciała sprawdzić, czy nie zapomniała języka. Poszło jej zupełnie nieźle.

- Pamiętam, że im więcej wina wypiałam, tym więcej słówek sobie przypominałam - roześmiała się Susanna.

- Ja od najmłodszych lat byłam dwujęzyczna. Mama od dziecka zmuszała mnie do nauki. W ostatnich latach rozmawiała ze mną wyłącznie w ojczystym języku - powiedziała Carolyn. Chociaż obecnie nie wykorzystywała swych umiejętności, nie żałowała, że je nabyła.

- Wróciłaś jeszcze do Paryża po ukończeniu studiów? - zapytała Susanna.

- Kilka razy. Dziadkowie zmarli po wojnie. Została mi tam tylko jedna, niezamężna ciocia. Odwiedzałam ją czasami. Mamie bardzo zależało, żebym nie straciła kontaktu z dziedzictwem przodków. Nie żałuję spędzonych tam lat, ale moje miejsce jest tu, w Colville.

Matka Carolyn nalegała, żeby studiowała we Francji. Liczyła na to, że pozna, pokocha i poślubi jakiegoś miłego Francuza. Nie zdawała sobie sprawy, że zakonnice w internacie bardzo pilnowały podopiecznych. Dziewczęta nie miały najmniejszej szansy poznania kogokolwiek czy to w klasztorze, czy poza jego murami.

Susanna zerknęła na zegarek.

- Już dziesiąta. Czas na mnie, mama czeka. - Wzięła głęboki oddech. - Jutro zamierzam zabrać ją na zwiedzanie kilku domów opieki.

- Wie o twoich planach?

- Na razie nie. Chciałam ją przygotować podczas kolacji, ale była tak uszczęśliwiona, że ją zaprosiłam do restauracji, że nie miałam sumienia psuć jej nastroju.

- Chyba bardzo brakuje jej męża?

- Okropnie cierpi, ale to zrozumiałe. Spędziła z nim całe życie. Dzisiaj poinformowała mnie, że odwiedził ją na początku tygodnia. Rzekomo od prowadził ją do domu, spędzili razem ponad pół godziny. Już wcześniej sąsiadka zaalarmowała mnie, że mama ma urojenia. Mimo wszystko kiedy usłyszałam to od niej samej, przeżyłam wstrząs.

Carolyn nie znalazła słów pocieszenia, każde zabrzmiałoby w tej sytuacji fałszywie.

## **ROZDZIAŁ SZÓSTY**

Następnego ranka Susanna wyszła na spacer po ogrodzie, żeby zebrać myśli. U siebie, w Seattle również często wędrowała latem wśród rabatek, sprawdzała stan roślin, wdychała zapach kwiatów, układając w głowie plan dnia. Zaskoczyły ją zadbane grządki Vivian.

Gdy wróciła do kuchni na kawę, otworzyła lodówkę w poszukiwaniu mleka. Tu czekała ją kolejna, tym razem przykra

niespodzianka. Ser spleśniał, pomidor zgnił, na półkach zalegały resztki co najmniej sprzed kilku dni, jeśli nie tygodni. Nawet nie sprawdzała zawartości małych, zawiniętych w folię pakiecików. Po zapachu poznała, że zawierają nieświeże wędliny.

W drzwiach lodówki znalazła dwanaście rodzajów musztardy - znacznie więcej niż potrzebowała samotna, starsza pani. Od marca przybyło co najmniej osiem słoiczków. Zanim zdążyła dokończyć przeglądu, weszła Vivian, ciężko powłócząc nogami. Stawiała drobne, niepewne kroki, jakby w ciągu kilku miesięcy przybyło jej parę lat.

W ciasno obwiązany pasek szlafroku wyglądała bardzo mizernie.

- Dzień dobry - powitała ją Susanna wesoło, choć żal ścisnął jej serce.

- Szukasz czegoś? - Vivian wskazała ruchem głowy lodówkę.

- Mleka - odparła Susanna, zawstydzona, że zostawiła otwarte drzwiczki. Ojciec ją zawsze za to karmił.

- Niedawno kupiłam całe mnóstwo - oznajmiła Vivian z wyraźną dezaprobatą.

Susanna powyciągała niezliczone plastikowe pudełka. Za nimi, przy samej tylnej ścianie, rzeczywiście stał karton mleka. Kiedy go otworzyła, żeby wlać sobie do kawy, zaalarmował ją ohydny odór. Sprawdziła datę ważności. Minęła miesiąc wcześniej. Wylała zawartość do zlewu, po czym spłukała wodą.

- Co ci nie pasowało?

- Zepsuło się.

Staruszka zacięła usta. Popatrzyła na córkę z wyrzutem jak w dzieciństwie, kiedy coś spsociła.

- Trzeba złożyć reklamację w Safewayu. Te wielkie sieci handlowe popełnią każdą podłość dla zysku. Tylko patrzą, żeby oszukać samotną wdowę. Nie pozwolę na takie lekceważenie klientów!

- Szkoda nerwów na takie głupstwa, mamusiu. Na razie spokojnie wypij kawę. Później zastanowimy się, co zrobić - uspokajała Susanna, licząc na to, że do momentu wyjazdu matka zapomni o całej sprawie. Była bowiem pewna, że przeterminowany produkt stał kilka tygodni nie w sklepie, lecz w jej własnej lodówce.

Gdy Vivian nalewała kawy z cennego, srebrnego dzbanka, drżała jej ręka. Zdjęta współczuciem Susanna z trudem powstrzymała pokusę, żeby jej pomóc. Matka zasiadła do stołu z triumfalną miną, najwyraźniej dumna, że nie rozlała ani kropli.

- Widziałam się z Carolyn Bronson - oznajmiła Susanna.

- Z kim?

- Z Carolyn Bronson, najlepszą przyjaciółką z liceum, tą, która podała ci numer telefonu. Posiedziałyśmy w pubie, tam gdzie dawniej był zajazd. Prosiła, by cię pozdrowić.

- Ach tak... Co słyhać u jej rodziców?

- Nie wiem - skłamała Susanna, żeby jej nie załamywać. Zresztą miała ważniejsze tematy do omówienia.

- Jaka ta Brigitte Bronson śmieszna! Zadziera nosa tylko dlatego, że pochodzi z Francji. Usiłowałam ją traktować najuprzejmiej, jak to

możliwe, ale zawsze patrzyła na mnie z góry. Uznała mnie za niegodną swego znakomitego towarzystwa. Za to Carolyn była uroczą dziewczynką. W niczym nie przypominała matki. - Vivian drżącą ręką uniosła filiżankę do ust.

Susanna nie odpowiedziała. Ona również odnosiła wrażenie, że pani Bronson nie akceptowała jej przyjaźni z córką. Nieudane życie osobiste uczyniło z niej osobę zgorzkniałą, chłodną, obrażoną na cały świat. Susanna nie wracała do tematu. Przeczynała, że czeka ją trudna batalia.

- Nie czujesz się tu samotna? - zaczęła dyplomatycznie.

- Już nie, odkąd George mnie odwiedził - odparła Vivian z łagodnym uśmiechem.

Susanna otworzyła usta, żeby zaprotestować, ale zaraz je zamknęła. Zagryzła wargi. Nie miała sumienia pozbawiać matki złudzeń. Przewidywała zresztą, że nie przekonałaby jej. Najwyraźniej straciła kontakt z rzeczywistością. Susanna gorączkowo szukała odpowiednich słów, żeby w jak najmniej drastyczny sposób przedstawić jej swój pomysł.

- Nie przeniosłabyś się do Seattle? - zaproponowała, chociaż nie miała nadziei, że matka zaakceptuje najprostsze z możliwych rozwiązań.

Vivian przez chwilę rozważała jej słowa.

- O nie - odparła po namyśle. - Nie opuszczę Colville ani mojego domu. Pochowałam tu ojca i Douga, mam tu przyjaciół.

Większość z nich nie żyje albo wkrótce umrze - pomyślała Susanna z goryczą. Nie wypowiedziała jednak głośno tej przygnębiającej uwagi.

- W Seattle mogłabym cię częściej odwiedzać - podsunęła.

Vivian upiła łyk kawy, po czym zastygła w bezruchu z filiżanką przy ustach, jakby ponownie rozpatrywała propozycję. Po namyśle pokręciła głową.

- Wybacz, wolę zostać tutaj. W wielkim mieście czułabym się zagubiona.

- Nie poradzisz sobie sama w tym domu. Trudno go utrzymać, a Martha odeszła. Kto odśnieży zimą chodnik?

- Wynajmę chłopaka z sąsiedztwa – odparowała Vivian niespodziewanie szorstkim tonem.

- A jak pięknie rura?

- Hydraulików też nie brakuje. Przestań mnożyć trudności.

Susanna taktownie nie wypomniała, kto naprawdę robi trudności. Uświadomiła sobie, ilu niełatwym wyzwaniom musi sprostać samotna osoba z zanikami pamięci, jednak perspektywy realizacji planu nie wyglądały obiecująco. Mimo wszystko nie dała za wygraną.

- Myślę, że najwyższy czas sprzedać dom.

- Co takiego?! - wykrzyknęła Vivian. Gwałtownie odstawiła filiżankę na spodek. - Nie ma mowy! Jak śmiesz żądać tego ode mnie?

- Wstała, wstawiła spodek do zlewu, po czym wyszła do sypialni, mamrocząc pod nosem słowa oburzenia.



Susanna wsparła łokcie na stole, zamknęła oczy, ukryła twarz w dłoniach. Modliła się o znalezienie sposobu, by przekonać matkę.

Vivian wróciła do kuchni, już przebrana. Całkowicie ignorując obecność córki, zaczęła szykować narzędzia ogrodnicze. Przygotowała sobie koszyk, zabrała sekator.

Wzdłuż białego, drewnianego ogrodzenia rozkwitały właśnie irysy i róże - ulubione kwiaty Susanny. Odurzający zapach bzów wnikał przez otwarte okno. Zaskoczył ją ich doskonały stan. Były starannie przystrzyżone. Musiała przyznać, że mimo kłopotów z pamięcią matka dbała o ukochane rośliny. Tylko plot pochylił się niebezpiecznie ku ziemi, farba zaczęła odpadać. Ojciec nie zostawiłby go w takim stanie nawet jeden dzień. Był pedantem, zarówno w życiu zawodowym, jak i w domu. Susanna spróbowała jakoś załagodzić konflikt:

- Myślę, że powinnam posprzątać w lodówce - zaproponowała pojednawczym tonem.

Vivian wyprostowała plecy. Włożyła gumowe rękawice.

- Proszę bardzo, jeśli masz ochotę.

- A potem pogadamy. Muszę cię umieścić w bezpiecznym miejscu.

- Nie rozumiem, czemu tak nalegasz. Uważam temat za zamknięty. Z dnia na dzień wracają mi siły - oświadczyła zdecydowanym tonem. Następnie wyszła, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

Susanna westchnęła ciężko. Nie spodziewała się aż tak stanowczego oporu. Porządki w lodówce zajęły jej prawie godzinę. Znalazła zepsutą rybę, spleśniały wiejski ser, zgniłe owoce i warzywa. Zawartości niektórych opakowań nie sposób było rozpoznać. Matka skrupulatnie gromadziła wszystkie resztki. Susanna pospiesznie wyniosła cuchnące produkty w plastikowym worku do kontenera przy garażu.

Po powrocie sprawdziła zawartość kredensu. Na półkach zalegały setki pustych opakowań, między innymi mnóstwo tacek z folii aluminiowej, starannie poskładanych, najwyraźniej nie w celu segregacji odpadów, lecz na bliżej nieokreśloną czarną godzinę. Vivian, typowa mieszkanka terenu zagrożonego powodzią, oszczędzała wszystko, łącznie z rulonami po papierze toaletowym.

- Po co ci to wszystko? - spytała Susanna w drodze na śmietnik.

Vivian zastygła w bezruchu z węzłem do podlewania w dłoni.

- Schowałam. W tej chwili nie pamiętam po co - dodała po dość długim namyśle. - Zresztą nie twoja sprawa. Ja nie szperam w twoim domu, nie wypytuję o zawartość szaf - mruknęła na koniec z urazą.

Susanna wróciła do kuchni, umyła wszystkie blaty. Musiała przyznać, że matka rzeczywiście nigdy nie grzebała w jej rzeczach. Nie miało to jednak większego znaczenia. Nie tak wyobrażała sobie tę wizytę. Nie mogła jednak odkładać w nieskończoność tego, co nieuniknione.

- Nie pojechałabyś ze mną do sklepu spożywczego? - spytała, gdy matka wróciła do domu.

Vivian umieściła czerwoną różę w wazonie na stole.

- Sałata pięknie rośnie. Zioła też. Najbardziej lubię rozmaryn.

- Po zakupach chętnie zabrałabym cię na przejażdżkę po mieście -  
kusiała dalej Susanna tak radosnym tonem, jak tylko potrafiła.

Vivian milczała przez chwilę, jakby nie wybaczyła jej  
wcześniejszej sprzeczki.

- Byłoby miło - stwierdziła w końcu.

Pojechały razem do supermarketu Safeway.

W drodze z parkingu Vivian ujęła córkę pod ramię,  
prawdopodobnie nie tylko po to, by nie stracić równowagi, lecz  
również na znak pojednania. Susanna zakupiła mnóstwo smakołyków,  
żeby pobudzić apetyt matki. Wybrała jej ulubiony makaron, szparagi,  
krakersy oraz inne lubiane przez nią specjały. Dyskretnie odłożyła na  
półkę rosyjską musztardę, którą Vivian zapakowała do wózka,  
zatrzymała za to oliwki.

Gdy opuściły klimatyzowane pomieszczenie, na dworze prażyło  
słońce. Już o dziesiątej było dwadzieścia cztery stopnie. Vivian  
posłała jej nieśmiały uśmiech.

- Wybacz, jeśli cię rozczarowałam, ale nie opuszczę rodzinnego  
miasta.

- Rozumiem twoje obawy, mamusiu. Uwierz, że nie zamierzam  
cię skrzywdzić. Chcę dla ciebie jak najlepiej.

- Sama wiem, co dla mnie dobre.

- Ależ oczywiście. Dom opieki nie oznacza utraty niezależności.

- Co takiego?! - wykrzyknęła Vivian z oburzeniem, wsiadając do samochodu.

- To było do przewidzenia - mruknęła Susanna do siebie. Zamknęła bagażnik, odprowadziła wózek. - Co ci szkodzi obejrzeć parę placówek? - rzuciła możliwie lekkim tonem po powrocie do auta.

Odpowiedziała jej cisza.

- Nie bądź taka uparta, mamusiu.

Vivian ostentacyjnie odwróciła głowę ku oknu. Zawsze uступliwa, chyba po raz pierwszy w życiu wykazała nieugięty upór. Mężowi nigdy się nie sprzeciwiała. George Leary niepodzielnie rządził domem i rodziną. Ustalał reguły, a każde jego życzenie było dla domowników rozkazem. Dopiero po głębszym zastanowieniu Susanna doszła do wniosku, że wbrew pozorom Vivian bardzo często przeprowadzała swoją wolę po cichu, okreśną drogą. Była mistrzynią manipulacji.

Teraz to ona potrzebowała talentów dyplomatycznych. Znając namiętność Vivian do zakupów, zaproponowała jej obejrzenie nowo wybudowanego sklepu sieci Wal-Mart. Nareszcie przywołała uśmiech na jej twarz. Zamiast zostawić po drodze zakupy, przejechała okreśną trasą koło nowoczesnego domu opieki, z którym uprzednio nawiązała kontakt. Przypominał elegancki hotel z balkonami i okrągłym podjazdem z fontanną.

- Niedobrze z tobą, pomyliłaś drogę. Lepiej wracajmy, inaczej znów nam mleko skwaśnieje - rzuciła Vivian cierpkim tonem, najwyraźniej w pełni świadoma ukrytych intencji córki.

Pięć minut później Susanna zaparkowała przed domem. Pospiesznie umieściła jedzenie w lodówce. Resztę toreb pozostawiła bez rozpakowywania na kuchennym stole w obawie, że matka się rozmyśli.

- Jesteś gotowa?

- Na co? - spytała Vivian niepewnie.

- Na wyprawę do sklepu.

Vivian podejrzliwie obserwowała jej twarz. Kiedy po długim namyśle wyraziła zgodę, Susanna z trudem ukryła uśmiech triumfu. Po wyjściu z samochodu na przepełnionym parkingu Vivian nie przytrzymała się jej ramienia. Dopiero po kilku krokach ujęła ją pod łokieć.

- Nie widziałam takich tłumów od Czwartego Lipca - zauważyła Susanna.

- Dzisiaj dzień wypłaty w tartaku.

Susannę bardzo ucieszyła ta wiadomość, świadcząca o doskonałej kondycji zakładu przyjaciółki. Pozwoliła matce pchać wózek, co pomagało jej utrzymać równowagę. Ledwie ruszyły w kierunku drzwi, Susanna usłyszała, że ktoś z tyłu zawołał ją po imieniu. Odwróciła głowę. Ujrzała wysoką kobietę z niewielką nadwagą. Nie od razu ją poznała.

- Sandy? Sandy Thomas? - zapytała dla pewności.

- Susanna Leary? Nie widziałam cię całe wieki! - wykrzyknęła tamta.

Obydwie roześmiały się serdecznie. Susanna zawsze lubiła wesołą koleżankę o optymistycznym nastawieniu do świata. Po maturze nadal utrzymywały kontakt. Susanna była druzną na jej ślubie z synem miejscowego aptekarza, Russelem Giddingsem.

- Nie wiedziałam, że mieszkasz w Colville.
- Wróciliśmy z Russelem w rodzinne strony wiele lat temu.
- Pamiętasz moją mamę?
- Oczywiście. Dzień dobry, pani Leary.
- Dzień dobry. Byłaś jej przyjaciółką, prawda?

Sandy skinęła głową.

- Wyobraź sobie, że moja jedyna córka usiłuje mnie pozbawić domu - oświadczyła Vivian tak głośno, że kilka osób odwróciło głowy.

- Ależ mamusiu!
- Prawda w oczy kole - stwierdziła Vivian z kwaśną miną.
- Moja mama mieszka w Altamirze - pospieszyła na ratunek Sandy. - Uwielbia to miejsce. Żałuje, że tak długo zwlekała z przeprowadzką.

Susanna posłała jej uśmiech wdzięczności. Vivian natomiast skrzyżowała ręce w obronnym geście.

- Nie opuszczę mojego domu. Za nic w świecie.
- Chciałabym się z tobą zobaczyć w najbliższym czasie - zaproponowała Sandy.
- Chętnie, ale...

- Znajdziesz mnie w książce telefonicznej - przerwała Sandy. Dyskretnie ścisnęła ramię Susanny na znak współczucia.

Susanna dałaby wiele za to, żeby rzeczywiście spotkanie doszło do skutku. Nawiązały bliższy kontakt po wyjeździe Carolyn do Europy. Sandy była z nią tej nocy na balu w sali gimnastycznej liceum po meczu piłkarskim, gdy Jake po raz pierwszy poprosił ją do tańca. Poczowała ciepło w okolicy serca, jakby wyprowadził ją na parkiet zaledwie wczoraj.

Przyszedł na mecz z Sharon, dziewczyną z jej klasy. Zdał już maturę, podczas gdy Susanna dopiero zaczynała naukę w liceum. Pracował w tartaku. Na balu stał z boku, już bez partnerki. Gawędził z kolegami z drużyny piłkarskiej, w której grał jako obrońca. Kilka dziewcząt ze starszych klas dosłownie wychodziło ze skóry, żeby zwrócić na nie uwagę. Susanna uważała go za najcudowniejszego chłopaka na świecie. Uznała, że nie ma u niego żadnych szans. Skończyła zaledwie szesnaście lat.

Gdy przeszedł przez salę gimnastyczną i wyciągnął ku niej rękę, omal nie zemdląła z wrażenia. Bez słowa poprowadził ją na parkiet. Kołysał ją w ramionach w rytm wolnej melodii. Kiedy muzyka umilkła, zajrzał jej w oczy, uśmiechnął się łagodnie, dotknął jej policzka opuszką palca. Następnie odszedł, nie wypowiedziawszy ani jednego słowa. Gdyby Sandy po nią nie przyszła, stałaby jak słup soli wśród tańczących par do końca zabawy.

Teraz pragnęła ponownie spotkać Sandy, nie tylko po to, by wspominać byłego chłopaka.

- To jest nawet tanie - głos Vivian wyrwał ją z zamyślenia.

- Owszem - odrzekła automatycznie, nie wiedząc, o jaki towar chodzi.

Nagle zatrzymała spojrzenie na matce. Uświadomiła sobie, że żadna z nich nie wymieniła imienia Jake'a od ponad trzydziestu lat. Uznała, że najwyższa pora spróbować uzyskać odpowiedź na nurtujące ją pytania.

- Czy wiesz może, mamusiu, co się stało z Jakiem Presleyem?

- Tym piosenkarzem? Chyba nie żyje.

- Nie, tamten to Elvis. Pytam o mojego chłopca z liceum. Mieszkał w Colville, nie pamiętasz?

- Co robił jego ojciec? - spytała Vivian po długim namyśle.

- Pracował w tartaku.

Susanna wyteżyła umysł, usiłując sobie przypomnieć, jak miał na imię. Na próżno.

- Jake był jedynakiem. Ojciec wychowywał go sam. Żona uciekła od niego, gdy chłopiec miał cztery lub pięć lat.

Po kilku sekundach Vivian pokręciła głową ze skrucą.

- Przykro mi, nie pamiętam nikogo o tym nazwisku.

- Trudno - odpowiedziała Susanna możliwie lekkim tonem, starannie ukrywając rozczarowanie. - To nieistotne - dodała wbrew prawdziwym odczuciom.



## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Vivian nastawiła program kulinarny „Gotuj z nami”. Zasiadła przed telewizorem z notatnikiem w ręku. Ku zaskoczeniu Susanny skrupulatnie notowała wszystkie przepisy, mimo że od miesiący nie przygotowała żadnej potrawy. Susanna od rana nie wróciła do tematu przeprowadzki, a czas naglił. Należało działać bez zwłoki. Wstała z kanapy.

- Zadzwoń do Joego i dzieci.
- Dobrze - mruknęła Vivian, nie odrywając wzroku od ekranu.

Susanna usiadła w kuchni z telefonem komórkowym. Wybrała numer. Chrissie podeszła dopiero po trzecim sygnale. Powitała ją w znacznie weselszym tonie niż poprzednio. Natychmiast zapytała o zdrowie babci.

- Nie najgorzej. A co u ciebie?
- Jakoś leci.
- Nie zabrzmiało to zbyt entuzjastycznie.
- Nic dziwnego. Ojciec znów mnie zmusza do gotowania.

Zabronił mi korzystać z gotowych dań.

- No i bardzo dobrze. Obydwoje przywiązujemy wagę do zdrowego odżywiania.

- Kazał mi uzgadniać z nim jadłospis. Wyobrażasz sobie? Znowu spędziłam dzisiaj dwie godziny w kuchni. Zamiast korzystać z wakacji, siedzę uwiązana w domu. Nudzę się jak mops.

Susanna wolała nie wypominać, że gdyby odpowiednio wcześniej zaczęła szukać pracy, spędzałaby lato w znacznie ciekawszy sposób.

- W dodatku Jason nie dzwoni. Nic dziwnego, że nie mógł się doczekać mojego wyjazdu. Wiedziałałam, że coś nie tak od chwili, kiedy po mnie przyjechał. Kobiety wyczuwają takie rzeczy. Czuję, że pomiędzy nim a Katie iskrzy już od jakiegoś czasu, co mnie doprowadza do rozpacz.

- To się okaże. Miejmy nadzieję, że nie będzie aż tak źle - usiłowała ją pocieszyć Susanna. Nie znalazła jednak żadnych przekonujących argumentów.

- Aha, z całą pewnością - warknęła Chrissie z przekąsem. - Ciebie to niewiele obchodzi. Wyjechałaś sobie sama do babci, a ja tu tkwię jak niewolnica. Wielkie dzięki, mamusiu.

Minutę później Joe przejął słuchawkę.

- Co słychać w Colville? - zapytał na powitanie.

- Ostatnio zaszło tak wiele zmian, że nie poznałam miasta. Zabrałam mamę do Wal-Martu. Wykupiła pół stoiska z butami.

- Dziwne, że ty nie wzięłaś drugiej połowy - zażartował Joe, znając namiętność żony do kupowania obuwia. - A co z mamą?

- Niedobrze. - Susanna opisała, w jaki sposób matka skompromitowała ją przed Sandy, jak nerwowo reagowała na każdą wzmiankę o domu opieki. Wspomniała też o kąśliwych uwagach podczas przejażdżki. Opór Vivian załamał ją do reszty. Na własne oczy widziała, że matka zupełnie opadła z sił. Co kilka kroków odpoczywała, zapadła w drzemkę na kanapie w sklepie meblowym. -

Zastanawiałam się, czy nie poprosić o pomoc pani Henderson. Może razem łatwiej byśmy ją przekonali.

- Lepiej nie próbuj. Nabierze podejrzeń, że ją napuściłaś. Nic dziwnego, że się boi. Na jej miejscu podobnie byś reagowała.

- Nie poznaję jej. Zawsze była taka łagodna, uległa. I nagle... -  
Przerwała.

Kątem oka dostrzegła bowiem, że Vivian podsłuchuje w korytarzu. Podejrzewała, że stoi tam od dość dawna. Zawołała ją. Vivian weszła do kuchni, wyraźnie zakłopotana.

- Mama podsłuchiwała, Joe.

- Nie zmusisz mnie do opuszczenia mojego własnego domu -  
oświadczyła Vivian głośno, z naciskiem.

- Zadzwoń później - powiedziała Susanna, po czym pospiesznie odłożyła słuchawkę.

Zawołała matkę, która właśnie szykowała się do opuszczenia kuchni. Najłagodniej jak potrafiła poprosiła, by poświęciła jej parę minut.

- Nie mam najmniejszej ochoty rozmawiać na wiadomy temat -  
oświadczyła Vivian z kwaśną miną.

- Nie interesuje cię, dlaczego przyjechałam wcześniej, niż planowałam?

- Odrobinę - przyznała matka po chwili wahania. - Ale teraz chcę obejrzeć swój ulubiony program.

- Powtarzają go rano. Zanim zgłosisz obiekcje, pragnę cię zapewnić, że oglądanie telewizji przed południem to nie grzech.

Ponieważ Vivian posłała jej urażone spojrzenie, Susanna spuściła z tonu:

- Zadzwoiła do mnie Martha - zaczęła ostrożnie. - Rozmawiałam też z panią Henderson.

- Ciekawe, co też Rachel wygaduje o mnie za plecami - odburknęła matka. - Zazdrości mi kwiatów. Ani jej mieczyki, ani lilie nie dorównują moim. O różach nawet nie warto wspominać.

Susanna pozostawiła te uwagi bez komentarza, żeby nie wysłuchiwać sprawozdania z kolejnej „wojny róż”.

- Pani Henderson martwi się o ciebie. Martha też. Obydwie dobrze ci życzą.

- Akurat! Rozpowszechniają tylko złośliwe plotki. Każda z nich byłaby równie zagubiona, gdyby straciła męża po pięćdziesięciu dziewięciu latach pożycia. A już Marcie z całą pewnością nie można ufać. Zostawcie mnie w spokoju. To mój dom, moje miejsce. Tu umrę.

- Doktor Bethel również uważa, że powinnaś pozostawać pod stałą opieką - argumentowała Susanna.

Przed wyjazdem zadzwoniła do domowego lekarza matki, by uzyskać wsparcie najwyższego autorytetu.

- Nie do wiary! - prychnęła Vivian.

- Proszę, nie rób trudności. Umówiłam się na jutro na obejrzenie Altamiry i Szumiących Wierzb.

- No to jedź sama. Mnie w to nie mieszaj.

Vivian nie mogła usnąć. Leżała kilka godzin, słuchając monotonnego tykania zegara prawie do świtu. Wszyscy, którym ufała, zawiedli ją, łącznie z własną córką. Żałowała, że nie może zasięgnąć rady George'a. On wiedziałby, jak należy postąpić. Chociaż nie miała wielkiej nadziei, że drugi raz ją odwiedzi, wyszła do ogrodu. Siedziała tam dość długo z opadającymi powiekami, zgnębiona, bezradna, rozpamiętując wszystkie nieszczęścia, jakie ją spotkały.

Pochowała męża i syna. Została jej jedyna córka, w dodatku zdrajczyni. Usiłowała ją pozbawić domu, ukochanych mebli, obrazów, kryształowego wazonu, który jeszcze babcia przywiozła z Polski. Uwielbiała go. W niezwykły sposób podkreślał piękno ciętych kwiatów z ogrodu, którego za żadne skarby nie chciała opuścić. Nie umiałaby dalej żyć bez tych kolorów, aromatów, bujnej zieleni.

Łzy pociekły jej z oczu. Zawzięty wyraz twarzy Susanny nie wróżył nic dobrego. Przeczuwała, że córka nie ustąpi. Widziała błysk determinacji w jej oczach. Już jako dziecko doprowadzała ojca do pasji swoim oślim uporem. A teraz odziera matkę ze wszystkiego, co jej pozostało, rzekomo dla jej własnego dobra. W końcu zasnęła, wyczerpana przygnębiającymi rozważaniami.

Nagle usłyszała z daleka ludzki głos. Ktoś wołał ją po imieniu. Na jawie czy we śnie? Nastawiła uszu. Tak, nie ulegało wątpliwości, że to George. Podjął dla niej trud przekroczenia bariery między tym a tamtym światem. Pospieszył na pomoc w potrzebie. Otworzyła oczy.

- Tak, George, jestem tutaj! - zawołała. - Potrzebuję twojej pomocy. Susanna chce mnie oddać do domu opieki. Co mam robić?

Na próżno czekała na odpowiedź. Poprosiła jeszcze raz:

- Błagam, George, poradź, jak mam postąpić?

Odpowiedziała jej cisza. Mimo że wyteżyła wzrok, nie dostrzegła nikogo nawet w najdalszych zakątkach. Załkała. Zaczęła się kiwać w tył i w przód jak opuszczone dziecko, dotknięte chorobą sierocą. Właśnie wtedy usłyszała jedno jedyne słowo, wypowiedziane szeptem. Słowo, które odmieniło jej życie, pokazało dalszą drogę. George udzielił jej rady. Kazał iść.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Chrissie Nelson po raz setny przekleła milczący telefon. Patrzyła w niego jak sroka w kość. Żaden ze znajomych nie dał znaku życia. Wszyscy wycoczywali albo pracowali, podczas gdy ona siedziała uwięziona w domu. Podjęcie byle jakiej pracy nie rozwiązywało problemu. Nawet ojciec nie zaproponował jej posady w rejestracji, co akurat zbytnio jej nie martwiło. Już próbowała w ubiegłym roku. Poszło fatalnie. Pewnie do tej pory żywił urazę, że czasami znikwała po przerwie obiadowej na całe popołudnie. Prawdę mówiąc, dała mu trochę powodów do zdenerwowania, ale mógłby zatrudnić ją chociaż na pół etatu. Zamiast tego kazał jej sprzątać i gotować. Obiecał pensję. Śmiechu warte!

Jej zdaniem taka mordega była warta więcej, niż w ogóle posiadał na koncie. Zdecydowanie wolałaby jechać do babci, którą bardzo kochała. Nie widziała jej od pogrzebu dziadka. Była bardzo dzielna, gdy krewni wyjechali, z mokrymi od łez policzkami patrzyła na

odjeżdżający samochód. Chrissie też płakała. Ciężko jej było zostawić staruszkę samą. Tęskniła za nią.

Już wiedziała, co robi. Pojedzie do babci Vivian, tam gdzie powinna być, gdzie jej serce dyktuje. Wybrała jej numer w Colville. Po czterech dzwonekach doszła do wniosku, że nikogo nie ma w domu. Zanim zdążyła odłożyć słuchawkę, odebrała matka. Chrissie powitała ją sztucznie radosnym głosem. Podczas wymiany powitalnych grzeczności gorączkowo szukała dyplomatycznego sposobu przedstawienia sprawy.

- Dobrze, że mnie złapałaś. Właśnie podlewałam ogród - poinformowała Susanna. - Niedawno wróciłyśmy. Oglądałyśmy domy opieki.

- Czy babcia pojechała z własnej woli? - spytała Chrissie, wychwyciwszy niespokojną nutę w głosie matki.

- Dopiero dzisiaj przełamała opory. Nie było jej łatwo. Nie wiem, czemu zawdzięczam tę nagłą zmianę, ale grunt, że nabrała rozsądku.

- Mam pomysł - zaczęła Chrissie ostrożnie.

Drażniło ją, że dąży do celu okrężną drogą w obawie przed odmową, jak dziecko, zanim poprosi o ciastko przed obiadem.

- Jaki?

- Tata wspominał, że zamierzasz sprzedać albo wynająć dom.

Tak - przyznała Susanna z ociąganiem. - Skłaniam się raczej ku sprzedaży. To jeden z najładniejszych domów w mieście. Nie mam odwagi wpuścić tu obcych. Mieszkamy za daleko, a na lokatorów lepiej mieć oko - myślała głośno.

- W każdym razie trzeba wszystko spakować, prawda?

- Racja.

- Nie potrzebujesz pomocy?

Susanna w milczeniu rozważała pytanie, jakby usiłowała dociec, do czego córka zmierza. W końcu Chrissie uznała, że nie warto owijać w bawełnę.

- Mogłabym przyjechać do Colville - oświadczyła prosto z mostu, choć z duszą na ramieniu. Dość długo czekała na decyzję, lecz z drugiej strony nie padło ani jedno słowo. W końcu nie wytrzymała napięcia. - A więc mnie nie chcesz? - podsumowała.

- Nie o to chodzi.

- No to o co? Wszyscy korzystają z wakacji, wypoczywają lub pracują w ciekawych miejscach. Tylko ja myję ubikacje jak więzień - oświadczyła z rozgoryczeniem, w pełni świadoma, że nieco przesadza.

- Nie sądzisz, że najwyższa pora zatrudnić gosposię?

- Właśnie twój tata to zrobił - odparła matka łagodnym tonem.

- Bardzo śmieszne! Bardzo! - odburknęła Chrissie.

- Jesteś mu potrzebna.

- Wcale nie. Ani nikomu innemu. Nie chcę tracić lata. Wolę dołączyć do was - dokończyła przez ściśnięte gardło, z trudem opanowując drżenie głosu.

- Po co? Tu też nic zabawnego cię nie czeka. Należy wszystko posortować, zdecydować, co zatrzymać, co sprzedać, a co wydać. Mama nie jest w stanie podjąć tego typu decyzji. Poza tym trzeba jej



zorganizować przeprowadzkę. To nie rozrywka, to ciężka praca - tłumaczyła Susanna zmęczonym głosem.

- Tym bardziej się przydam. Wyobrażasz sobie, że wolę oglądać cały dzień telewizję niż wesprzeć najbliższych w potrzebie? - odparowała Chrissie, urażona do żywego, że matka uważa ją za próżniaka.

- Nie miałam pojęcia, jak trudno będzie zrealizować mój zamysł - wyznała Susanna niepewnie po chwili milczenia.

- No to co? Zapraszasz mnie? - drażyła Chrissie, już znacznie śmieiej, zapominając o zasadach dyplomacji.

- Pozwól, że najpierw przedyskutuję sprawę z ojcem.

Chrissie zacisnęła zęby. Nie potrzebowała zdolności jasnowidzenia, żeby przewidzieć, co ją czeka. Ojciec zmusi ją do pozostania w Seattle. Nie mogła na to pozwolić. Oszalałaby, tkwiąc całe lato w domu z nim i braciszkiem.

Może jakoś by przetrwała, gdyby nie świadomość, że mama i babcia naprawdę potrzebują wsparcia z jej strony. Tęskniła za nimi. Nie, niedoczekanie, nie zostanie w Seattle, za skarby świata! Decyzja zapadła. Postanowiła ją zrealizować, z pozwoleniem czy bez pozwolenia.

## **ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY**

Susanna zasiadła przed telewizorem. W domu panowała absolutna cisza. Po wielu dniach przygotowań przeniosła wreszcie matkę do domu opieki. Zamówiona ekipa przyjechała rano po meble. Zanim

wszystko zostało przewiezione do apartamentu o powierzchni czterdziestu metrów kwadratowych, matka była wyczerpana, podobnie jak Susanna. Dzięki życzliwości pracowników Altamiry szybko załatwiły formalności. Doktor Bethel dał na piśmie informację o stanie zdrowia pacjentki. Od kiedy Vivian wyraziła zgodę na przeprowadzkę, Susanna nie napotkała żadnych przeszkód. Całe szczęście, że bez trudu znalazła wolne miejsce, co uznała za znak, że podjęła właściwą decyzję.

Chociaż minęła dziesiąta wieczór, Susanna nie poszła spać. Wiedziała, że nie uśnie. Umysł nadal pracował na wysokich obrotach. W domu panował niesamowity rozgardiasz: wszystkie szuflady i szafki pozostały otwarte. Na podłodze zalegały całe stosy pozostałości po dawnym życiu matki. I jej.

Przeżywała równocześnie wiele rodzajów emocji. Powinna najpierw zadzwonić do rodziny, a potem iść do łóżka. Zamiast tego wędrowała bez celu z pokoju do pokoju, przygnieciona nawałem czekającej ją pracy. Lecz za bardzo bolały ją zarówno plecy, jak i serce, by mogła cokolwiek przedsięwziąć. Podjęła wprawdzie słuszną, a jednak bolesną decyzję. Wciąż dręczyły ją wyrzuty sumienia.

Zadzwonił telefon. Patrzyła w aparat, niezdecydowana, czy powinna odebrać. Ponieważ ojciec uważał automatyczną sekretarkę za zbędny luksus, gdyby nie podniosła słuchawki, czekały ją całonocne spekulacje, kto też szukał z nią kontaktu o tak późnej porze. Z drugiej strony, jeżeli to Chrissie, brakowało jej sił, by wysłuchiwać kolejnej litanii narzekań. W końcu zdecydowała się nie odpowiadać. Jednak w

ostatniej chwili zmieniła decyzję. Pod wpływem impulsu sięgnęła po słuchawkę.

- Tu Carolyn - usłyszała z drugiej strony. - Wybacz, że niepokoję cię po nocy, ale chciałabym wiedzieć, jak ci poszło.

Susanna wsparła plecy o ścianę, owinęła sobie długi sznur wokół łokcia. Ojciec, zatwardziały konserwatysta, nie uznawał także bezprzewodowych telefonów.

- Całkiem nieźle, nie licząc faktu, że mama już zdążyła znienawidzić dom opieki. Dokłada wszelkich starań, aby mi okazać, jak bardzo ją unieszczęśliwiłam. Zostałam z nią, póki nie poszła spać.

- Łzy napłynęły jej do oczu. Nadludzkim wysiłkiem starała się opanować emocje. - Nie mogłam się zmusić do odejścia. Wyglądała na załamana, jakby jej życie dobiegało końca. Przewidywałam, że nie będzie jej lekko, ale rzeczywistość przeszła najśmielsze oczekiwania. Nie sądziłam, że będzie aż tak bardzo cierpieć - załkała mimo woli, co ją bardzo zawstydziło. Rzadko płakała, lecz teraz nie powstrzymała łez.

- Czy mogę w czymś pomóc?

- Raczej nie - odrzekła Susanna, wdzięczna za okazane serce. - Wciąż dręczy mnie poczucie winy, chociaż nie miałam innego wyjścia.

- Znam ten ból. Przeszłam przez podobne piekło po śmierci taty. Na szczęście nie musiałam oddawać mamy do placówki opiekuńczej, za to później dręczyły mnie wątpliwości, czy nie lepiej by się czuła w towarzystwie rówieśników. Ale dzwonię w zupełnie innej sprawie.

Jeśli znajdziesz czas, chciałabym cię zaprosić na kolację. Wszystkim najbardziej pasuje wtorek.

- To znaczy komu?

- Sandy Giddings wspominała, że spotkała cię w Wal-Marcie. Zaprosiłam jeszcze Yvette Lawton i Lisę Mitchel. Dobrze zrobiłam?

- Wspaniale! Nie wiedziałam, że się z nimi przyjaźniłaś - zdziwiła się Susanna.

Wspomniane trzy osoby były nierozłączne przez cały okres nauki w liceum.

- Nazwałabym je raczej koleżankami niż przyjaciółkami. Uznałam jednak klasowe spotkania w damskim gronie za najlepszy sposób na odnowienie kontaktów towarzyskich.

- Brzmi kusząco. Dziękuję, że wszystko zorganizowałaś! - wykrzyknęła z entuzjazmem Susanna.

Mimo że dawno straciła kontakt z koleżankami ze szkolnej ławy, perspektywa spotkania po latach bardzo ją ucieszyła, zwłaszcza że zaspokajała świeżo rozbudzoną potrzebę powrotu do przeszłości. Sandy, Yvette, Lisa i Carolyn stanowiły część jej życia.

Po kilku minutach rozmowy zasiadła przed telewizorem w znacznie lepszym nastroju. Jednak kłopoty z koncentracją nie minęły. Raz po raz zmieniała kanały, lecz żaden program nie wzbudził jej zainteresowania. W łóżku też długo nie mogła zasnąć.

Znacznie później, we śnie, nawiedziły ją wizje z dzieciństwa. Najpierw jej matka piekła ciastka, później ona sama uczestniczyła w pikniku, paliła ognisko, szukała wielkanocnych jajek, pływała z

koleżankami w basenie. Następnie zamawiali z ojcem lody - ona, jak zwykle, truskawkowe, on - waniliowe. Była z niego szalenie dumna, jako że wszyscy szanowali sędziego Leary. Uważała go za najwspanialszego człowieka na świecie. Zmieniła zdanie w szkole średniej, kiedy doświadczyła skutków jego despotyzmu.

Następnego dnia zbudziły ją wpadające przez okno promienie porannego słońca. Śpiew ptaków podkreślał radosny nastrój poranka. Susanna wykapała się, ubrała, zaparzyła sobie kawę. Wypiła ją w ogrodzie. Przed wizytą u matki podlała kwiaty. Przystanąła przy klombie z różami. Wciąż zdumiewała ją dbałość Vivian o rośliny, zważywszy że w innych sprawach jej umysł mocno szwankował. Zapakowała parę pozostawionych rzeczy i wyruszyła w drogę.

Na Elm Street zamiast w prawo, skręciła w lewo, na drogę do cmentarza. Nie rozumiała, czemu poczuła nagłą potrzebę odwiedzenia tego miejsca. Prawdopodobnie pod wpływem snów o przeszłości. Zaparkowała przy głównej bramie. Na parkingu nie stał żaden inny samochód. Ruszyła w kierunku grobu, nad którym stała siedem miesięcy wcześniej. Wciąż miała przed oczami moment opuszczania trumny. Teraz zastała w tym miejscu kamień nagrobny z nazwiskiem i datą urodzenia matki, wygrawerowanymi obok danych zmarłego męża. Mimo pustego miejsca na datę śmierci widok ten wywarł na niej przygnębiające wrażenie. Przystanąła na świeżo podlanym trawniku.

- Cześć, tato - wyszeptała schrypniętym z emocji głosem. Jako nastolatka niewiele mu miała do powiedzenia. Zdecydowanie łatwiej

było do niego przemawiać teraz, gdy leżał pod ziemią. - Mama twierdzi, że to ty skłoniłeś ją do przeprowadzki. Jeśli to prawda, wiele ci zawdzięczam - dodała.

Ruszyła w kierunku wyjścia. Przemierzyła dwie alejki, nie czytając napisów na nagrobkach. Jakiś wewnętrzny impuls zmusił ją jednak do powrotu.

- Nie byłeś łatwy we współżyciu, tato - wypomniała. - Podporządkowałeś sobie mamę, ale nie mnie. Pewnie lepiej by się układało między nami, gdybym była ci posłuszna, ale nie potrafiłam.

Doskonale rozumiała, że musiał okazywać surowość podsądnym, lecz nie mogła mu wybaczyć, że podobne zasady stosował wobec własnej rodziny. Doszła do wniosku, że stały kontakt z przestępcami pozbawił go zaufania do ludzi. Śmierć Douga jeszcze pogłębiła przepaść między nim a innymi osobami. Chociaż brzmiało to jak staroświecki przesąd, nie ulegało wątpliwości, że George Leary faworyzował syna. Po jego śmierci zgasło dla niego słońce. Napięte od dawna stosunki z córką uległy dalszemu pogorszeniu. Uświadomiła sobie, że kochał ją zdecydowanie mniej niż Douga, stanowiła dla niego jedynie nędzną namiastkę.

Poczuła ukłucie bólu w sercu. Zacisnęła pięści. Po śmierci bezcennego męskiego potomka stracił nadzieję na przedłużenie rodu. Stryj Henry nie założył rodziny. Stryjek Steve zmarł we wczesnej młodości. Wreszcie jedyny pozostały przy życiu dziedzic nazwiska odszedł na zawsze, a wraz z nim umarły wszystkie nadzieje George'a Leary'ego. Dopiero gdy Joe zasugerował wizytę u psychologa,

uprzytomniła sobie, co ją naprawdę dręczyło przez lata. Z perspektywy czasu doceniła przenikliwość męża.

- Szkoda, że odebrałeś mi szansę naprawy wzajemnych stosunków - szepnęła z rozgoryczeniem. - Gdybyś pożył jeszcze trochę, przeprosiłabym cię za wszystkie przewinienia. Może ty też przyznałbyś, że nie zawsze traktowałeś mnie sprawiedliwie - zakończyła ze łzami w oczach.

Otarła je ze złością. Ojciec nawet zza grobu wywierał na nią przemożny wpływ.

- Daremnie szukałam z tobą kontaktu. Nie dałeś mi najmniejszej szansy - wyrzuciła z siebie z urazą, okrążając kolejny raz kwaterę. - Czy naprawdę nic cię nie obchodziło jedyne pozostałe przy życiu dziecko? Nie chciałeś go lepiej poznać?

Ponownie przystanęła nad grobem. Zacisnęła powieki. Czekala, aż ból ustąpi.

- Czy zwróciłeś uwagę, jak rzadko odwiedzaliśmy z Joem Colville? Nie zastanawiałeś się dlaczego? Nie, raczej nie - odpowiedziała sobie sama.

Joe twierdził, że ojciec bardzo ją kochał, ale jej nie przekonał. Matka była jej znacznie bliższa. Susanna nie płakała na pogrzebie. Nie nosiła żałoby po człowieku, jakim był, ani po tym, jakim się stał, ani po tym, jakim mógł zostać, czy też tym, którego pamiętała z dzieciństwa. Przemocą tłumiała żal. Gdyby zaczęła płakać, strumień łez chyba nigdy by nie wysechł.

Wróciła do samochodu kompletnie wypalona. Żałowała, że tu przyszła. Pobyt na cmentarzu przygnębił ją do reszty. Posiedziała trochę za kierownicą, żeby ochłonać przed wizytą u matki. Nie odwiedziła jej rano. Pakowała rzeczy, robiła porządki, podejmowała decyzje na przyszłość.

Nagle uświadomiła sobie, że od lat nie odwiedziła grobu brata. Łzy znów napłynęły do oczu. Zginął tydzień przed swoimi dwudziestymi pierwszymi urodzinami. W drodze na cmentarz prześledziła całą trasę, którą jechał w dniu wypadku. Dokładnie obejrzała zakręt śmierci, który podobno pokonywał z prędkością ponad stu kilometrów na godzinę. Uderzył w barierkę, a potem wpadł na drzewo. Pozostało tylko mieć nadzieję, że nie umierał w męczarniach.

Wysiadła. Ruszyła z powrotem główną aleją w głąb cmentarza. Potrzebowała kilku minut, by odnaleźć jego grób. Nie rozumiała, czemu ojca pochowano pięć alejek dalej. Prawdopodobnie dlatego, że wszystkie miejsca w sąsiedztwie dawno wykupiono. Musiało go bardzo boleć, że nie będzie leżał obok ukochanego syna.

Gdy dotarła na miejsce, zaparło jej dech w piersiach. Przetarła oczy ze zdumienia. Ktoś postawił na płycie wazon z różowymi różami i liliowym bzem. Pograżona w rozpacz matka wprawdzie z początku przychodziła tu bardzo często, ale w ostatnich miesiącach przestała. Zresztą gdyby to ona odwiedziła grób syna, przyniosłaby kwiaty również dla męża. Susanna dotknęła delikatnych różanych pączków,



ściętych najwyżej kilka godzin wcześniej. Rozejrzała się dookoła w nadziei ujżenia ofiarodawcy. Nie dostrzegła jednak nikogo.

Tym razem nie wygłosiła przemówienia do zmarłego. Przesłała mu uśmiech, później pocałunek. Następnie wróciła na parking z mocnym postanowieniem, że jej noga długo nie postanie w tym smutnym miejscu.

W drodze powrotnej wzięła z domu towarowego kartony do pakowania. Ponieważ uznała, że nie wolno jej dłużej odkładać wizyty u matki, wstąpiła do Altamiry. Vivian czekała na nią w pokoju. Wyciągnęła ramiona na powitanie. Gestowi towarzyszyło zbolące, pełne wyrzutu spojrzenie.

- Czemu tak późno? - spytała drżącym głosem. - Myślałam, że już mnie nie odwiedzisz.

- Jakżebym mogła? - Susanna pochwyciła kruchą, kościstą dłoń. Uklękła, zajrzała matce głęboko w oczy. - Jak spałaś?

- Przez całą noc nie zmrużyłam oka. A jedzenie jest fatalne. Chyba nie chcesz, żebym przez resztę życia jadła zimne jajka z wysuszonymi grzankami. Nienawidzę tego przytułku. Chociaż George dał mi do zrozumienia, że powinnam tu zostać, pragnę wrócić do domu.

- Spróbuj przetrwać przynajmniej dwa tygodnie, tak jak obiecałaś - przypomniała Susanna.

Jadąc do ośrodka, modliła się przez całą drogę, żeby po okresie próbnym matka zmieniła zdanie. Nie widziała innego wyjścia niż pozostawienie jej pod stałą opieką.

- No dobrze, ale to nic nie da - mruknęła Vivian. - Gdzie moje ubrania, Jean? Chyba ich nie powyrzucałaś? Nie mogę znaleźć czerwonej sukienki.

- Przywiozłyśmy wszystko, nie pamiętasz? - odparła Susanna łagodnie.

Nie miała sumienia zwracać matce uwagi, że pomyliła imiona. Nie chciała jej dodatkowo załamywać.

- Nie czułabym się tu tak obco, gdybyś przywiozła mi fotel ojca - zażyczyła sobie Vivian zgodnie z przewidywaniami Susanny.

- Tu nie ma na niego miejsca.

- Bzdura! Jeżeli poprzestawiamy meble, to jeszcze zmieścimy w kącie maszynę do szycia.

- Spróbujemy - wymamrotała.

Wolała nie przypominać matce, że całe lata, a nawet dziesięciolecia temu zarzuciła szycie.

- Przywieź mi jeszcze książki.

- Dobrze. Poznałaś już innych pensjonariuszy?

- Tu mieszkają sami starcy. - Vivian ściszyła głos do szeptu. - To nie miejsce dla mnie. Nie spotkałam nikogo poniżej osiemdziesiątki.

Susanna na wszelki wypadek nie wypomniała jej wieku. Rezygnując z dalszej dyskusji, przetrząsnęła szafę w poszukiwaniu czerwonej sukienki. Ponieważ jej nie znalazła, wróciła do domu. Kompletnie wyczerpana, wniosła do środka pudła z supermarketu. Nagle przystanąła w drodze do salonu.

Niby wszystko wyglądało tak jak przed wyjazdem, a jednak coś jej nie pasowało. Odczuwała jakiś nieokreślony niepokój. Zimny dreszcz przebiegł jej po plecach. Wytłumaczyła sobie, że ponosi ją wyobraźnia pod wpływem opowieści o duchach i wizyty na cmentarzu. Nie pomogło. Wzięła głęboki oddech.

- Jest tam kto?! - zawołała. Odpowiedziała jej cisza.

- Halo!

Znowu nic. Z duszą na ramieniu obesza wszystkie pomieszczenia. Niczego nie brakowało, póki nie obejrzała sypialni Douga. Matka zostawiła tam wszystko tak jak za jego życia. Maturalne zdjęcie, szarfy i inne sportowe trofea do dziś wisały na ścianach. Teraz znikły, co do sztuki. Z nieznanых przyczyn ktoś dokonał włamania tylko po to, żeby zabrać jego pamiątki z lat szkolnych. Susanna zdecydowała się zataić tę kradzież przed matką, niezależnie od tego, co przyniesie przyszłość.

## **ROZDZIAŁ DZIESIĄTY**

Susanna długo szukała rozwiązania zagadki przedziwnej kradzieży oraz pochodzenia kwiatów na grobie Douga. Daremnie. Później zauważyła, że brakuje jeszcze albumu Beatlesów i pamiątki z wycieczki do Disneylandu. Nie sądziła, żeby matka wydała komukolwiek skarby posiadające jedynie sentymentalną, lecz dla najbliższych nieocenioną wartość. Kilka lat temu Brian poprosił o stare bilety na mecze bejsbolowe. Ojciec odmówił. Susanna ich również nie znalazła.

Przez całe popołudnie segregowała garderobę Vivian, żeby odpędzić przygnębiające wspomnienia. Wybrała dla niej najlepsze rzeczy, jednak po czerwonej sukience ślad zaginał. Trafiła za to na pamiętnik. Matka zaczęła go pisać w 1951 roku, wkrótce po urodzeniu Douga. Wyblakła skóra okładki popękała ze starości. Przy filigranowym zamczku brakowało wprawdzie kluczyka, ale odskoczył po naciśnięciu palcem, jakby tylko czekał na ujawnienie swych tajemnic.

Susanna dość długo trzymała zamknięty zeszyt w ręku, niepewna, czy wolno jej bez pozwolenia zgłębiać cudze sekrety. Po namyśle uznała taki czyn za wysoce niemoralny. Wsunęła znalezisko z powrotem do szuflady. Przypuszczała, że matka o nim zapomniała, jednak nie dałaby za to głowy. Vivian czasami pamiętała zaskakujące rzeczy.

Gdy już upchnęła nienoszone od lat buty i odzież w pudła dla organizacji dobroczynnych, stwierdziła, że najwyższa pora zrobić sobie przerwę. Pozostała jej jeszcze do posegregowania zawartość dwóch komódek i szafki w sypialni. Nie wyglądało to obiecująco. Właśnie robiła herbatę, gdy zadzwonił telefon. Podniosła słuchawkę.

- Gdzie położyłaś curry, mamusiu? - spytała Chrissie bez wstępów. - W „Gotuj z nami” podali przepis na kurczaka w sosie curry. Właśnie teraz powinnam go przyprawić.

- Sprawdź na półce koło lodówki - doradziła Susanna.

Taktownie przemilczała uwagę, że niezbędne produkty należy zgromadzić przed przygotowaniem potrawy.

- Już szukałam. Nie ma.

- Spróbuj znaleźć na drugiej. Jeśli w ogóle jest w domu, to z całą pewnością tam.

- Dobrze - zabrzmiało z drugiej strony głucho, jakby Chrissie przycisnęła słuchawkę ramieniem.

Rozległ się łoskot przesuwanych słoiczków, po których nastąpił okrzyk triumfu: - Dziękuję za pomoc, mamusiu!

Następnie połączenie zostało przerwane.

- Do usług - mruknęła Susanna do głuchego już telefonu.

Cieszyło ją, że córka wykazała przynajmniej trochę inicjatywy, mimo że Joe jeszcze nie udzielił odpowiedzi, czy zezwoli jej na wizytę w Colville. Widocznie zaakceptowała nową rolę pani domu. Susanna wydała westchnienie ulgi. Chociaż z radością powitałaby dodatkową parę rąk do pracy, Chrissie pokrzyżowałaby jej pozostałe plany. Zdjęła czajnik z ognia. Była dumna z męża, a zwłaszcza z dzieci, że tak doskonale sobie same radzą. Dorastały, nabierały poczucia odpowiedzialności.

Siedząc przy kuchennym stole, przypomniła sobie o zakurzonym pamiętniku, którego najwyraźniej nikt nie otwierał od lat. Mimo wyrzutów sumienia przyniosła go do kuchni. Patrzyła na niego z mieszanymi uczuciami. Mógł zawierać fakty z życia rodziców, o których lepiej nie wiedzieć. Powtarzała sobie w nieskończoność, że naruszanie cudzej prywatności jest niemoralne, póki nie przypomniła sobie, że matka przeczytała jej pamiętnik również bez pytania. Zaraz

potem wysłała ją do internatu. To wspomnienie uciszyło sumienie Susanny. Uznała, że teraz jej kolej na rewanż.

Każdego dnia Vivian zapisywała wiecznym piórem kilka linijek. Atrament wyblakł, lecz litery pozostały czytelne. Podziwiała ich regularne, wręcz kaligraficzne kształty. Zazdrościła matce pięknego charakteru pisma.

*3 kwietnia 1957*

*George zabrał Douga na trening ligi juniorów.*

*Później podawał mu piłki jeszcze przez godzinę. Serce mi rośnie, gdy widzę ich wzajemną miłość.*

Susanna doskonale pamiętała ich wspólne wyprawy. Zżerała ją wtedy zawiść. Czuła się nieważna, odsunięta na boczny tor.

*20 czerwca 1957*

*Ponownie poprosiłam George'a, żeby pozwolił mi podjąć naukę w szkole pielęgniarstwa. Wytłumaczył mi, że małe dzieci potrzebują matki. Przekonywałam, że wiele młodych mam pracuje w dzisiejszych czasach zawodowo, ale nic nie wskórałam. Wiem, że byłabym świetną pielęgniarką. Trochę żałuję, że wyszłam za mąż tak młodo, zamiast najpierw zdobyć wykształcenie. Cóż, w czasie wojny ludzie podejmowali pochopne decyzje.*

Susanna zmarszczyła brwi. Nie przypuszczała, że matka kiedykolwiek marzyła o karierze zawodowej. Nie wspomniała o tym ani słowem przez całe życie. Poświęciła całą energię rodzinie, ze wszystkich sił wspierała męża w karierze, rezygnując z realizacji własnych planów. Jednak po przeczytaniu jej zwierzeń Susanna

przypomniała sobie, jak troskliwie Vivian pielęgnowała w chorobie własne dzieci. W wieku dziewięciu lat Doug doznał skomplikowanego złamania ręki po upadku z roweru. Matka zachowała stoicki spokój. Zabrała synka do szpitala. Wymogła na lekarzu natychmiastową interwencję.

Przygnębiona Susanna przeszła do kolejnego rozdziału.

*11 listopada 1958*

*Dzieci chorują na zapalenie migdałków. Doktor nalega na ich szybkie usunięcie, jednak moim zdaniem to zbyt drastyczny zabieg. Po przeczytaniu wszystkiego, co znalazłam w bibliotece, ogarnął mnie jeszcze większy niepokój. Usiłowałam porozmawiać z George'em przy kolacji, lecz nadal przebywał myślami na sali sądowej. Wygląda na to, że nie usłyszał ani słowa. Twierdzi, że za bardzo się przejmuję. Niewykluczone, ale obawiam się zwłaszcza o zdrowie Susanny. Często zapada na zapalenie ucha.*

Czas pokazał, że Vivian nie przesadzała. Po zabiegu Susanna rzeczywiście musiała wrócić do szpitala w celu leczenia powikłań. Przypominała sobie tamte wydarzenia z trudem, jakby oglądała obraz we mgle. Matka siedziała przy niej. Trzymała ją za rękę podczas operacji.

Susanna z ciężkim sercem odłożyła dziennik. Ujęła oburącz filiżankę. Żałowała, że w ogóle go otworzyła tylko po to, żeby lepiej poznać charakter zmarłego ojca. Przy okazji uświadomiła sobie, jak niewiele wie o matce. Po kolacji złożonej z grzanki z masłem

orzechowym wyruszyła w odwiedzinę do Altamiry. Przystanęła koło recepcji.

- Dobry wieczór. Mam nadzieję, że nie przeszkodzę w posiłku - zagadnęła recepcjonistkę Rose.

- Nie. Podajemy kolację o piątej.

Susanna знаła wprawdzie plan dnia, lecz lektura pochłonięła ją do tego stopnia, że nawet nie zerknęła przed wyjazdem na zegarek.

W świetlicy zastała sporą grupę pensjonariuszy. Starszy pan grał na pianinie stare melodie z Broadwayu. Pięć kobiet na wózkach inwalidzkich kiwało głowami w takt muzyki. Szósta zasnęła. Susannie było przykro, że nie zastała tu matki. Gdyby wykazała odrobinę dobrej woli, łatwiej zaaklimatyzowałyby się w nowym miejscu.

Postanowiła poszukać sposobu, by ułatwić jej nawiązanie znajomości z innymi mieszkańcami. Ruszyła wyłożonym dywanami korytarzem w kierunku jej sypialni. Zastała zamknięte drzwi. Zapukała. Ponieważ nie usłyszała odpowiedzi, nacisnęła klamkę. Vivian siedziała przed telewizorem plecami do drzwi. Nawet nie odwróciła głowy.

- Proszę zabrać tacę - warknęła.

Susanna popatrzyła na podręczny stolik. Znalazła na nim pełne talerze. Vivian nie tknęła kolacji, chociaż zarówno zupa, jak i złożony z owoców deser wyglądały bardzo apetycznie. Ułożono je na talerzyku bardzo starannie, z gustem, jak w drogiej restauracji. Kolacja w niczym nie przypominała typowych posiłków w placówkach opiekuńczych.



- Nic nie zjadłaś, mamusiu.

- Ach to ty, Susanno. Myślałam, że ktoś z obsługi. - Vivian odwróciła się w fotelu. Wstała niepewnie, przytrzymując się poręczy.

- Nie byłam głodna. Twój ojciec kazał mi tu zamieszkać, ale nie lubię tego miejsca.

- Zjedz owoce, a ja pójde podgrzać zupę - zaproponowała Susanna łagodnym tonem, gdy matka ponownie zasiadła w fotelu.

Ku jej wielkiej radości Vivian zjadła wszystko, do ostatniego kęsa. Zaraz potem salowa zabrała talerze. Przez następną godzinę w milczeniu oglądały teleturniej.

- Nigdy nie wspominałaś, że chciałaś zostać pielęgniarką - zagadnęła Susanna po zakończeniu audycji.

- Skąd wiesz? - Vivian popatrzyła na nią podejrzliwie.

- Natrafiłam na twoje zapiski podczas sprzątania - wyjaśniła. Celowo nie użyła słowa „pamiętnik”.

- Przez jakiś czas rzeczywiście rozważałam taką możliwość - przyznała Vivian z ociąganiem.

- Czemu jej nie zrealizowałaś? - dociekała Susanna możliwie obojętnym tonem, starannie kryjąc wzburzenie. - Byłabyś doskonałą pielęgniarką.

- George uznał, że to zły pomysł. Dyskutowaliśmy na ten temat wielokrotnie, zanim zaproponowano mu pracę w sądzie. Poprosił, żebym została w domu, póki dzieci nie podrosną. Wyraziłam zgodę. Własne plany odłożyłam na później - odrzekła po dość długim namyśle. - Kiedy objął stanowisko sędziego, wytłumaczył mi, że jego

nowa rola postawi wiele nowych wyzwań również przede mną. Uznałam za swój obowiązek wspieranie męża w karierze. Zrobiłam to również dla was, dzieci.

- Żałujesz?

- Nie. Każdy z nas dokonuje w życiu wyborów. Twój ojciec zasługiwał na lojalność, a ja nie musiałam godzić obowiązków zawodowych z domowymi. Wystarczyła mi pielęgnacja ogrodu i praca społeczna w banku krwi. Z perspektywy czasu uważam, że takie życie to prawdziwe błogosławieństwo dla kobiety.

Susanna nie podzielała tej ostatniej opinii.

- Stworzyliśmy związek partnerski. Chociaż uważałaś ojca za despotę, w rzeczywistości był kochającym mężem i wzorowym ojcem.

Susanna słuchała w milczeniu. Musiała przyznać, że matka ofiarowała jej wspaniałe dzieciństwo. Jeśli Vivian spotkał zawód, nigdy nie okazała rozczarowania. Mimo wszystko Susanna żałowała jej zmarnowanych zdolności.

## **ROZDZIAŁ JEDENASTY**

W chłodne, wietrzne popołudnie Carolyn zaparkowała auto przed swym zakładem. Zawarła właśnie korzystną umowę z hurtownikiem. Pozostało jej tylko uzupełnić dokumentację. Ponieważ włożyła na negocjacje nietypowy dla siebie oficjalny kostium, złożony z klasycznego żakietu, prostej spódnicy, białej bluzki i pantofelków, marzyła o tym, żeby go wreszcie zrzucić. Włosy splotła jak zwykle w

warkocz. Gdyby matka ją widziała, wygłosiłaby pewnie kazanie, że nie umie podkreślić swych kobiecych walorów.

Ledwie weszła do biura, z ulgą wskoczyła w dżinsy, bawełnianą koszulę i sportowe buty. Nie zastała asystentki, Glorii. Przypuszczała, że wyszła wcześniej z pracy w osobistych sprawach. Nie miała do niej pretensji. Wielokrotnie zostawała po godzinach, jeśli tylko zaszła potrzeba.

Carolyn zamierzała iść do domu zaraz po wypełnieniu dokumentów. Oczekiwała gości na kolacji. Po latach izolacji po raz pierwszy zaprosiła aż cztery osoby. Ponieważ prowadziła największe przedsiębiorstwo w mieście, ojciec uczulił ją, że należy zachować odpowiedni dystans wobec pracowników. Na szczęście Susanna, Sandy, Lisa i Yvette nie pracowały w tartaku.

Wiecznie zajęta Carolyn do tej pory nie dbała nawet o pielęgnowanie dawnych przyjaźni, nie mówiąc o zawieraniu nowych. Poważnie podchodziła do obowiązków. Jako że tartak wytwarzał znaczną część dochodów miasta, spoczywała na niej odpowiedzialność za dobrobyt całej społeczności.

Po zakończeniu papierkowej roboty wyszła przed budynek. Rok wcześniej kupiła nowy dźwig do układania sągów, co zmniejszyło koszty obsługi. Zraszacze utrzymywały odpowiedni poziom wilgotności, chroniąc drewno przed pożarem. Wyposażając zakład w najnowocześniejsze maszyny, postawiła sobie ambitny cel wyprodukowania pięćdziesięciu tysięcy metrów sześciennych

pierwszorzędnej jakości dłużyc rocznie. Dokładała wszelkich starań, żeby wykonać to niełatwe zadanie.

Kierownik techniczny, Jim Reynolds, wyszedł jej naprzeciw ze skoroszytem w rękę. Ufała mu bez reszty. Zajmował po niej najwyższe stanowisko w zakładzie. Zarówno jego zdolności, jak i ambicje dorównywały jej własnym. Pracownicy cenili jego doświadczenie, a Carolyn pytała go o zdanie we wszystkich zasadniczych kwestiach. Był dziesięć lat młodszy od niej, wysoki, muskularny, opalony od częstego przebywania na dworze, a przede wszystkim szczerze oddany pracy. Szczęśliwie żonaty, miał troje dzieci, z których dwoje właśnie zaczynało studia. Carolyn w uznaniu jego zasług wypłacała mu stosowną do zaangażowania i umiejętności pensję.

- Jak poszło? - spytał na powitanie.

- Dostaliśmy kontrakt.

- Moje gratulacje! Wykrzyknął radośnie, z kciukiem skierowanym do góry w geście zwycięstwa.

Bardzo go ucieszyła wiadomość, że szefowa po raz pierwszy przełamała niezłomny jak dotąd monopol hurtowników. Bez trudu oszacował potencjalny wzrost dochodów przedsiębiorstwa, wynikający z podpisanej umowy. Ledwie jednak Carolyn zaczęła relacjonować przebieg spotkania, wpadł jej w słowo:

- O mało nie straciliśmy dziś po południu Grady'ego Simpsona. Dostał ataku serca.

- Jak się teraz czuje? - spytała Carolyn z niepokojem.

Grady pracował w tartaku jeszcze za czasów jej ojca. Był rzetelny, szanowała go. Wkrótce miał przejść na emeryturę.

- Już lepiej, ale nie przeżyłby, gdyby nie błyskawiczna interwencja tego gościa, co kosi trawniki.

Carolyn odetchnęła z ulgą. Przed czterema miesiącami wynajęła Dave'a Langevina z firmy Kettle Falls Landscaping do pielęgnacji terenów zielonych wokół zakładu i własnego domu. Ludzie z tego przedsiębiorstwa pracowali dla niej bez zarzutu przez trzy sezony. Ten jednak przewyższał wszystkich pracowitością. Punktualny, solidny, wiedział wszystko o roślinach. Zrobił na Carolyn tak wielkie wrażenie, że spytała o nazwisko.

- Zaczynij od początku - poprosiła Carolyn.

- Grady zasłabł podczas obsługiwanego dźwigu. Bóg wie, co by się z nim stało, gdyby nie ten ogrodnik. Zanim ktokolwiek się spostrzegł, zrobił mu masaż serca, jeszcze przed przyjazdem pogotowia. Ratownicy powiedzieli, że gdyby nie udzielono mu natychmiastowej pomocy, zmarłby na miejscu.

Carolyn poszukała wzrokiem jego furgonetki, lecz nie dostrzegła jej na parkingu.

- Czy już odjechał? Chciałabym mu podziękować.

- Próbowałem go zatrzymać, ale wyjaśnił, że ma jeszcze inne zlecenie do wykonania. Gdy tylko oddał Grady'ego w dobre ręce, dokończył strzyżenie trawnika, a potem wsiadł do samochodu i odjechał.

- Wygląda na to, że przeżyliście pełen wrażeń dzień - skomentowała.

- Dziękuję za takie wrażenia! - odburknął Jim.

- Poproszę Glorię, żeby do niego zajrzała. Poinformuję was o stanie jego zdrowia.

Gloria, asystentka Carolyn, należała do najbardziej zaufanych pracowników. Ojciec nauczył Carolyn starannego doboru kadr, co obecnie procentowało doskonałymi wynikami przedsiębiorstwa.

- Już przy nim jest. Załatwia formalności związane z ubezpieczeniem. Wyszła wcześniej, żeby zobaczyć się z jego rodziną w szpitalu. Później wysła kwiaty dla lekarzy. Zawsze można na nią liczyć. Podobno na razie niebezpieczeństwo minęło, ale w przyszłości czeka go operacja serca. Zostawiłem kartę choroby na biurku.

- Dziękuję. Jeśli spotkasz Dave'a wcześniej niż ja, poproś, żeby przyszedł do mnie - poleciała przed powrotem do biura. Zamierzała tam spędzić najbliższe pół godziny.

Już wcześniej przygotowała produkty na kolację, wysprzątała dom. Od chwili podpisania korzystnego kontraktu bujała w obłokach. Choroba pracownika nagle sprowadziła ją na ziemię. Zanim zdążyła dojść do swego pokoju, zatrzymał ją Jim.

- Oglądałem efekty pracy Dave'a. Robią imponujące wrażenie.

- Na mnie również - przyznała. Nie dodała, że jej podwórce i ogród nie wyglądały tak pięknie od lat.

- Zaproponowałem mu pracę.

Ostatnia wiadomość sprawiła jej wielką radość. Niezawodny kierownik odgadł jej życzenie bez słów. Bardzo chciała pozyskać tak solidnego, w dodatku bystrego pracownika. Przeczynała, że warto zainwestować w jego przeszkolenie.

- Odrzucił propozycję, chociaż zaoferowałem mu z całą pewnością znacznie wyższe wynagrodzenie, niż otrzymuje w przedsiębiorstwie ogrodniczym. Twierdzi, że obecne zajęcie bardzo mu odpowiada.

Carolyn ogarnęły mieszane uczucia. Z jednej strony doznała rozczarowania, z drugiej była zadowolona, że nadal będzie pielęgnować jej ogród.

- Cóż, jego wola.

- Sądzę, że prowadzi wędrowny tryb życia. Gdy spytałem, gdzie mieszkał ostatnio, wymienił Arizone, potem Kalifornię. W sezonie podobno zbiera owoce w Yakimie. Tacy jak on nigdzie nie zapuszczają korzeni.

Carolyn pokiwała głową. Wciągnęła w nozdrza powietrze przesycone olejkami sosny balsamicznej i jodły. Jako dziecko uwielbiała zapach ubrań ojca. Teraz jej własne również przesiąkły żywicznym aromatem, według jej oceny piękniejszym niż egzotyczne perfumy.

Gdy skręcali za róg budynku, gwizdek obwieścił przerwę. Robotnicy wyłączyli maszyny. Wiaty i podwórza opustoszały w mgnieniu oka. Mijali roześmianych, rozgadanych ludzi z pojemnikami na lunch w rękach. Wszyscy pozdrawiali właścicielkę skinieniem

głowy lub uśmiechem. Cieszyła ją dobra atmosfera w zakładzie. Została w biurze dodatkową godzinę. Przeczytała pocztę elektroniczną. Po odebraniu wiadomości, że stan Grady'ego się poprawił, odetchnęła z ulgą. Wyłączyła komputer, po czym wyruszyła w drogę powrotną.

Na podjeździe przed domem dostrzegła furgonetkę wyładowaną korą, którą Dave Langevin ściółkował rabaty kwiatowe. Ucieszył ją ten widok. Wstawiła samochód do garażu i ruszyła w jego kierunku. Dave, mężczyzna w średnim wieku, o ciemnych włosach i przepastnych czarnych oczach, miał stwardniałe dłonie i cień zarostu na twarzy. Nosił niekrepującą odzież roboczą. Na jej widok przerwał pracę. Wyprostował się, oparty o stylisko łopaty, otarł pot z czoła.

- Nie sądziłam, że pana tu zastanę.

- Gospościa mówiła, że oczekuje pani gości, więc postanowiłem rozłożyć korę, zanim przyjdą.

Carolyn nieśmiało podziękowała za troskę o ogród, a przede wszystkim za uratowanie życia długoletniemu pracownikowi. Ogrodnik wyglądał na równie zażenowanego jak ona. Spuścił wzrok, pospiesznie chwycił łopate.

- Nie zrobiłem nic szczególnego. Lepiej wrócę do pracy.

- Naprawdę bardzo sobie cenię pańską pomoc. Jeszcze raz dziękuję... Dave.

Ogrodnik zrobił wielkie oczy, wyraźnie zaskoczony, że zna jego imię.

- Cała przyjemność po mojej stronie... Carolyn.



Popatrzyła na niego badawczo. Coś w sposobie, w jaki wypowiedział jej imię, zwróciło jej uwagę. Spostrzegłszy, że go onieśmiela, odwróciła się i pospieszyła ku domowi.

Poczuła skurcz w okolicy serca jak wtedy, gdy poznała swego męża. Dave Langevin pociągał ją równie mocno, co nie wróżyło nic dobrego. Nie potrzebowała kłopotów. W jej wieku i przy tak wysokiej pozycji nie mogła sobie pozwolić na flirt, zwłaszcza z człowiekiem o opinii wiecznego wędrowca. A jednak imponował jej pod każdym względem. Gdyby nie oczekiwała gości, zlekceważyłaby głos rozsądku i zaprosiła go na dłuższą pogawędkę.

Mimo wszystko po wejściu do pokoju obserwowała go z okna. Dziesięć czy piętnaście minut później odniósł narzędzia do ciężarówki. Otworzył drzwi od strony kierowcy. Nieoczekiwanie przystanął przy nich, jakby wyczuł jej spojrzenie. Odwrócił głowę w jej kierunku. Uniósł rękę do runda słomkowego kapelusza, po czym wsiadł i odjechał.

Carolyn nie mogła się oprzeć wrażeniu, że gdyby w jakikolwiek sposób okazała mu zainteresowanie, mogła liczyć na wzajemność.

## **ROZDZIAŁ DWUNASTY**

Susanna straciła ochotę na spotkanie towarzyskie, ale było już za późno, żeby odwołać wizytę u Carolyn. Usiadła w kuchni, usiłując odzyskać spokój sumienia. Dręczyło ją poczucie winy, że ukradkiem wydarła matce osobiste sekrety. Nie dość, że przeczytała jej

pamiętnik, to jeszcze zadawała niedyskretne pytania, do czego nie miała prawa.

Niepotrzebnie przypomniała jej o niespełnionych marzeniach. Zepsuła Vivian popołudnie, zapewne wieczór również. Niezadowolona z własnego życia, nie kryła przy matce żalu do ojca, że dwukrotnie uniemożliwił jej realizację marzeń o karierze zawodowej. Zirykowała ją tylko. Matka zarzuciła jej, że oczernia zmarłego, co nie było jej intencją. Usiłowała jedynie dociec prawdy. W rezultacie urażona do żywego Vivian odmówiła zjedzenia kolacji. Wcześniej niż zwykle ucięła sobie drzemkę.

Susanna spędziła pracowicie pozostałą część dnia. Za radą Joego wynajęła pomieszczenie na złożenie spakowanych rzeczy do czasu podjęcia decyzji dotyczących domu. Zdawała sobie sprawę, że spadnie na nią cały ciężar odpowiedzialności. Umysł matki nie pracował już sprawnie. Natomiast Joe, chociaż udzielał mądrych, użytecznych rad, nie rozumiał jej rozterek.

Do tego dochodziły przyziemne kłopoty z upchnięciem tysięcy zbędnych przedmiotów. Vivian chyba przez całe życie nie wyrzuciła nawet jednego starego ubrania, podobnie jak ojciec. W każdej szufladzie zalegały jego rzeczy, a każda z nich przywoływała przykre wspomnienia z młodości. Jako sędzia sam przyznał sobie prawo kierowania cudzym życiem, nawet po godzinach pracy.

Rozmowa z mężem jeszcze bardziej rozdrażniła Susannę, zupełnie bez powodu, tylko dlatego, że żył sobie spokojnie w Seattle, podczas gdy ona walczyła w Colville ze wszystkimi możliwymi

przeciwnościami. Denerwowało ją, że musi rozstrzygnąć, co zrobić z wydzierganą przez ciocię Sophie narzutą czy też z kolekcją znaczków ojca.

- Łatwo mu dyrygować przez telefon - burczała pod nosem, w pełni świadoma, jak niesprawiedliwie go ocenia.

Usiłował przecież pomóc. Zresztą cokolwiek by powiedział czy zrobił, i tak by ją rozdrażnił. Nie poznawała samej siebie. Nawet pobyt w ogrodzie nie przynosił ostatnio ukojenia. Zastanawiało ją, że przy takim rozgardiaszu w domu matka nadal troskliwie pielęgnowała rośliny, mimo że zaniedbała własny wygląd i zapomniała o podstawowych rzeczach.

Susanna zasiadła przy kuchennym stole. Ukryła twarz w dłoniach. Miała żal już nie tylko do ojca, lecz również do matki, a nawet - zupełnie irracjonalny - do brata. Gdyby pozostał przy życiu, wsparłby ją w potrzebie. Żałowała, że nie może cofnąć czasu do roku, w którym skończyła siedemnaście lat, zanim zginął Doug i zniknął Jake. Gdyby teraz zaproponował jej ucieczkę, pojechałaby za nim bez zastanowienia nawet na koniec świata. Nie uległaby już ojcu, posłuchałaby własnego serca.

Chociaż wspomniała Carolyn, że zamierza odszukać byłego ukochanego, do tej pory nie poczyniła żadnych kroków. Powstrzymywały ją jakieś bliżej nieokreślone obawy. Nie potrafiła przewidzieć, jakie uczucia Jake wzbudziłby w niej po latach. Zdawała sobie sprawę, że rozpoczynając poszukiwania, wkroczyłaby na bardzo

grząski grunt. Z drugiej strony, nie potrafiła odpędzić natrętnych myśli.

- Szkoda, że nie można drugi raz przeżyć szaleńczych uniesień młodości - westchnęła.

O wpół do siódmej zatrzymała auto na żwirowym podjeździe na posesji Carolyn. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki całe napięcie wyparowało. Już jako nastolatka pokochała ten dom u stóp wzgórza pod lasem, z zielonym trawnikiem, przechodzącym w łąkę. Spędziły tu wiele popołudni. Słuchały płyt w sypialni na górze, obserwowały dziką zwierzynę odwiedzającą posiadłość.

Dwupiętrowy budynek z brunatnym, gontowym dachem, z gankiem od frontu, otaczały krzewy róż. Aż dziwne, że przy takich samych upodobaniach matka Carolyn nie znalazła wspólnego języka z Vivian Leary. Po prawej stronie urządzono rozległe patio z kompletem ogrodowych mebli.

Susanna wprowadziła auto do garażu z miejscem na trzy samochody. Wyjęła butelkę wina i sałatkę cesarską, które kupiła po drodze. Było jej trochę wstyd, że przynosi gotowe produkty, ale porządki i wizyty u matki nie pozostawiały czasu na własnoręczne przygotowanie jakiegokolwiek dania. Zastała otwarte drzwi. Carolyn zawołała ją z kuchni. Właśnie układała na marmurowej tacy sery, winogrona i krakersy na przystawkę. Susanna wręczyła jej przyniesione wiktuały.

- Świetnie. - Carolyn ruchem ręki wskazała kredens. - Wyjmij szkło. W dolnej szafce znajdziesz miskę.

Susanna właśnie ustawiała kieliszki, gdy usłyszała trzaśnięcie drzwi samochodu. Kilka sekund później do mieszkania weszły dwie kobiety, również z winem i pakunkami w rękach. Lisa i Yvette ciekawie rozglądały się dookoła. Najwyraźniej nigdy wcześniej tu nie były. Susanna wyszła im naprzeciw. Później nastąpiły okrzyki wzajemnego zachwytu. Ledwie wyłożyły przyniesione wiktuały na stół, porwały ją w objęcia i zasypały gradem pytań:

- Kiedy przyjechałaś?

- Czemu nie byłaś na ostatnim zjeździe?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, przybyła kolejna osoba.

- Dajcie jej odsapnąć! - zawołała Sandy Giddings od progu.

Umieściła na kuchennym blacie butelkę wina i paczkę własnoręcznie upieczonych ciasteczek czekoladowych. Carolyn wyjęła z lodówki sałatkę ze szpinaku. zaproponowała, żeby zjadły na patio, co koleżanki przyjęły z wielkim entuzjazmem. Wyniosła tam tacę z serami. Postawiła ją na przykrytym matą stole w cieniu parasola.

Pięć kobiet gawędziło i żartowało podczas jedzenia przystawek, sałatek, strogonowa, wreszcie deseru, złożonego z ciasteczek Sandy, ciasta z jagodami i lodów z musem jabłkowym. Jedna przez drugą wypytywały Susannę o życie rodzinne. Cierpliwie odpowiadała na wszystkie pytania dotyczące męża i dzieci. Wreszcie Yvette zatrzymała wzrok na pierścionku ze szmaragdem.

- Jaki piękny! - wykrzyknęła ze szczerym za chwytem.

- Joe podarował mi go z okazji dwudziestej rocznicy ślubu.

- Jaka szkoda, że ja nie otrzymałam od Bena żadnej biżuterii - westchnęła Yvette.

Susanna roześmiała się, szybko jednak spoważniała. Nie pasowało jej imię. Słyszała, że Yvette wyszła za Kena Lincolna zaraz po maturze.

- Od kogo?

- Rozwiodłam się z Kenem po dwóch latach. Wpadł w narkomanię. Próbował środków odurzających już w okresie narzeczeństwa, ale wtedy przymykałam oko na te eksperymenty. Cóż, miłość jest ślepa. Podobno siedzi w więzieniu w Shelton. Na szczęście nie mieliśmy dzieci. Po rozwodzie wyszłam w siedemdziesiątym ósmym roku za Bena.

Mimo, że Susanna nigdy nie miała dobrego zdania o Kenie, nie potrafiła sobie wyobrazić tego atletycznego mężczyzny za kratkami.

- O ile pamiętam, ty chodziłaś z Jakiem Presleyem - zagadnęła nieoczekiwanie Sandy.

- Tak - odrzekła krótko Susanna.

Nie chciała go wspominać, przynajmniej nie teraz, nie po tygodniach bezowocnych rozważań na jego temat.

- Czy nie odszedł do Sharon Nance? - spytała Lisa.

- Tak, ale później z nią zerwał - przypomniała Yvette.

- Ciężko przeżyła rozstanie - dodała Lisa.

- A co potem się z nim stało? Gdzie teraz mieszka? - dopytywała Sandy z zaciekawieniem.

- Nie wiem. - Susanna od niechcenia wzruszyła ramionami. - Wyprowadził się, kiedy wyjechałam do Francji.

- Chyba żartujesz! - wykrzyknęła zaskoczona Yvette. - Nie pisał?

- Z początku tak, ale wkrótce przestał. Próbowałam go odszukać. Bez skutku - przyznała.

Przed wyjazdem do Francji obwieściła przyjaciółkom, że po powrocie za niego wyjdzie. Szczerze wierzyła w spełnienie romantycznych marzeń. Niestety, po maturze nie zastała go już w Colville.

- Przecież jego ojciec musiał znać adres. Od mówił ci pomocy czy wyjechali razem?

- Obydwaj znikli bez śladu. - Susanna upiła łyk wina. - Nie wiem, czemu nie odpowiadał na listy. W wieku siedemnastu lat byłam pewna, że jesteśmy dla siebie stworzeni - westchnęła ciężko.

- Czasami myślę o tym, dokąd zaprowadziłyby nas ścieżki, na które nie wkroczyłyśmy - wtrąciła Lisa.

- Spróbujmy je wspólnie zbadać - zaproponowała Susanna. - Kto pierwszy? - Ponieważ żadna z koleżanek nie chciała zacząć, wskazała na Lisę.

Ta z kolei upiła dwa łyki wina, po czym odstawiła kieliszek. Najwyraźniej grała na zwłokę, wyraźnie zakłopotana. Patrzyła uparcie przez okno, lecz Susanna przysięgłaby, że nie widzi saren, które przyszły na trawnik.

- Pewnie myślicie, że kryję jakąś mroczną tajemnicę - zaczęła Lisa z ociąganiem. - Nic z tych rzeczy. Żałuję tylko jednego: że nie

skończyłam studiów. Słabe oceny nie pozwalały na uzyskanie stypendium, a ojciec odmówił finansowania mojej dalszej edukacji. Stwierdził, że stać go na opłacenie czesnego tylko jednemu dziecku. Wybrał mojego brata, argumentując, że to on będzie w przyszłości utrzymywał rodzinę, a nie ja.

- Mdli mnie, gdy słyszę takie konserwatywne poglądy. Najgorsze, że stare przesady do tej pory pokutują w społeczeństwie - wtrąciła Susanna.

- Kim chciałaś zostać?

- Jeszcze wtedy nie określiłam własnych predyspozycji. Właśnie dlatego pragnęłam dalej się uczyć, żeby odkryć swoje możliwości. Wystarczyło wytłumaczyć mamie, jak bardzo zależy mi na zdobyciu wykształcenia. Na pewno by mnie wsparła. A jednak tego nie zrobiłam.

- Dlaczego? - spytała Carolyn.

- Wtedy nie umiałabym określić, co mnie powstrzymało. Z perspektywy czasu stwierdzam, że chyba pragnienie niezależności. Podejmując pracę w telekomunikacji, zyskiwałam wolność. Marzyłam o tym, by wyprowadzić się od rodziców, nie podlegać dłużej ich władzy. Dopiero teraz widzę, że więcej straciłam, niż zyskałam.

- Czy twój brat uzyskał dyplom, jak zaplanowała rodzina? - dociekała Susanna, która z dzieciństwa go pamiętała.

- Po roku przerwał studia na Uniwersytecie Stanu Waszyngton. W dodatku, jak na ironię, to właśnie ja utrzymuję rodzinę. Bili zmarł na raka pięć lat temu. Zostałam sama z dziećmi. Za rok odejdą z domu.



Przez chwilę koleżanki w milczeniu przetrwały usłyszaną opowieść.

- Teraz twoja kolej - zwróciła się Lisa do Yvette.

- Już wiecie, jaką drogę obrałam. Prawdę mówiąc, raczej wyboistą. Do tej pory żałuję, że poślubiłam Kena. Teraz widzę, że popełniłam błąd, ale jako młoda, naiwna dziewczyna pragnęłam jak najszybciej założyć ślubny welon.

- Zupełnie jak ja. Również wyszłam za niewłaściwego człowieka - przyznała Carolyn.

- A ty, Susanno? - spytała Lisa. - Czy na zwałabyś zerwany związek z Jakiem Presleyem niezbadaną ścieżką?

Susanna poprawiła się na krześle, rozpamiętując wydarzenia z przeszłości. Po romantycznych porywach młodości nie żałowała małżeństwa z Joem. Wiodła przy boku tego dobrego, wyrozumiałego człowieka wspaniałe życie. Kochała swoją rodzinę, dom, ogród. Posada nauczycielki również ją zadowalała. Dopiero ostatnio z nieznanych przyczyn zaczęła odliczać pozostałe do emerytury lata.

- Trudno powiedzieć - odrzekła wymijająco. - Ostatnio coraz częściej zastanawiam się, czy dobrze zrobiłam, że za niego nie wyszłam - dodała po chwili milczenia. - Myślałam, że Jake zniknął bez pożegnania. Tak, znacznie później, podczas mojego pobytu w Europie. - Na widok rozszerzonych z ciekawości oczu koleżanek zrobiła efektowną pauzę. Z zagadkowym uśmiechem upiła łyk wina. - Wieczorem, przed wyjazdem, wymknęłam się nocą na randkę do

ogrodu. Błagał, bym wyjechała z nim do Idaho, gdzie moglibyśmy wziąć ślub.

Słuchaczki aż zapiszczały z emocji. Każda z nich słyszała jakąś historię o potajemnej ucieczce młodocianych kochanków do Idaho. Nie trzeba tam czekać na zawarcie małżeństwa. Po zgłoszeniu się do sędziego pokoju młoda para może wziąć ślub na poczekaniu, w dniu przyjazdu.

- I co? Odmówiłaś? - dociekała Yvette z niedowierzaniem.

- Chyba wszystkie dziewczyny w szkole szalały za tym niepokornym chłopakiem. Każda skoczyłaby za nim w ogień - wtrąciła Lisa.

- Usiłowałam go namówić, żeby trochę zaczekał. Nie chciał o tym słyszeć - wyznała Susanna z żalem.

Za każdym razem, gdy zamknęła oczy, widziała wspaniałą postać w czarnej, skórzanej kurtce. Rzeczywiście uosabiał marzenia wielu dziewczyn.

- Nie otrzymałaś od niego wiadomości po powrocie?

- Miałam nadzieję, że będzie mnie szukał, ale nawet nie próbował. W gruncie rzeczy nie żałuję. Mam wspaniałego męża, prawie dorosłe dzieci. Obecnie przeżywam najpiękniejszy okres w życiu - dodała na koniec, raczej po to, żeby przekonać samą siebie niż zasluchane koleżanki.

Mimo prawdziwości ostatniego zdania nie czuła się szczęśliwa. Czekala na jakiś znak przez całe studia, pewna, że Jake kocha, tęskni, że los znów ich połączy. Nic takiego nie nastąpiło. Nie dałaby głowy,

czy ojciec nie dopilnował, by ponownie nie nawiązali kontaktu. W wieku dwudziestu pięciu lat porzuciła młodzięcze marzenia. Wyszła za Joego. Obecnie Chrissie i Brian stali u progu samodzielnego życia, lecz zanim uwolniła się od jednej odpowiedzialności, na jej barki spadł kolejny ciężar. Los matki zależał wyłącznie od niej. Nie miała ochoty rozwijać tego tematu. Wstała z miejsca, zaproponowała, że wyniesie naczynia, żeby odwrócić uwagę od swojej osoby.

- Daj spokój, usiądź - zaprotestowała gospodyni.

- Pamiętacie pana Foglemana? - spytała zupełnie nieoczekiwanie Sandy, która do tej pory przez cały czas podejrzanie milczała.

Susanna z powrotem zajęła miejsce. Nie zapomniała surowego nauczyciela algebry. Z trudem uzyskała u niego ocenę dobrą w pierwszej klasie. Jediną pozytywną stroną pobytu we Francji było to, że w tamtejszym liceum nie trafiła na równie srogiego pedagoga.

- Tego starego Foglemana?! Muszę się chyba napić! - zawołała zaskoczona Lisa.

Carolyn napełniła jej kieliszek.

- Kochałam się w nim na zabój. Przesyłałam mu liściki. Bardzo śmiałej treści - dodała Sandy z rumieńcem na policzkach.

- Podpisywałaś je? - zapiszczała z podniecenia Yvette.

- Skądże, nigdy w życiu! - roześmiała się Sandy. - Ale on doskonale wiedział, od kogo pochodzą. Zasługiwałam na dwóje, a stawiał mi piątki. - Zasłoniła ręką usta, chichocząc ukradkiem jak nastolatka.

- Chyba żartujesz!

- Nie. Mama przekazała mi, że po maturze jakiś mężczyzna wypytywał o mnie przez telefon. Odniosła wrażenie, że odetchnął z ulgą, że mnie nie zastał. Dałabym głowę, że to on.

- I co dalej?

- Następnego roku przeniósł się do Spokane.

- Powinnaś go odszukać.

- Nie widzę powodu. Jestem szczęśliwą mężatką. Przynajmniej byłam do dzisiejszego wieczoru.

Teraz już wszystkie koleżanki chichotały chórem.

- Wielkie nieba! Skończyłyśmy pięćdziesiąt lat, a nadal przeżywamy uniesienia młodości - podsumowała Carolyn.

- Nie rozumiem, czemu nie włożyłam więcej wysiłku, żeby odnaleźć Jake'a - stwierdziła Susanna.

- Ojciec by na to nie pozwolił - przypomniała Carolyn.

- Nie prosiłabym go o zgodę. Wystarczyło poczekać do osiemnastego roku życia, kiedy niczego nie mógł mi już zabronić.

- Co byś zrobiła, gdybyś go teraz spotkała? - dociekała Yvette.

- Trudno powiedzieć.

- Ja spytałabym go wprost, czemu zerwał z tobą kontakt - podsunęła Carolyn.

Susanna roześmiała się wraz z koleżankami, raczej z grzeczności, nieobecna duchem. W głębi duszy nadal rozważała, co powiedziałyby ukochanemu z lat szkolnych, gdyby rzeczywiście doszło do spotkania po latach.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Susanna wróciła od Carolyn tuż przed północą. Towarzyski wieczorek dodał jej energii. Uświadomiła sobie, że zły nastrój, który prześladował ją od miesięcy, negatywnie wpłynął na jej małżeńskie pożycie. Pewnie z powodu ogólnego niezadowolenia z życia wróciła do świata młodzieńczych marzeń. Obecnie liczyła na to, że okres wakacyjnej rozłąki scementuje związek. Lecz w tym momencie, zmęczona, za to w doskonałym humorze, nie chciała myśleć o matce, mężu czy rodzinnych kłopotach.

Otworzyła drzwi. Weszła do ciemnego domu. Jeszcze zanim zapaliła światło, coś ją zaniepokoiło. Zamarła w bezruchu. Nacisnęła włącznik. Pospiesznie przebiegła wzrokiem pokój. Ktoś w nim był podczas jej nieobecności. Od razu spostrzegła, że poduszki leżą inaczej. Matka opierała je o poręcz, natomiast Susanna ułożyła je przy oparciu. Teraz wróciły do pierwotnego położenia. Ogarnęło ją to samo niesamowite uczucie, co w dniu zniknięcia pamiętek po Dougu. Wyczuwała czyjaś niedawną obecność każdą komórką ciała. Radosny nastrój prysł w ułamku sekundy.

Stała bez ruchu, szukając innych śladów po wizycie intruza. Wyostrzyła wszystkie zmysły. Nastawiła uszu. Na próżno. Nic nie słyszała. Wszystkie inne rzeczy pozostały na swoim miejscu. Usiłowała sobie wmówić, że uległa złudzeniu. Bez skutku. Doskonale pamiętała moment przekładania poduszek. Drobnny, dziecinny w gruncie rzeczy akt przekory wobec Vivian przyniósł jej ewidentny dowód, że rzeczywiście ktoś wtargnął do domu.

Nagle uświadomiła sobie, że obcy może nadal przebywać w którymś z pomieszczeń. Ledwie słyszalne skrzypnięcie podłogi w holu potwierdziło jej obawy. Serce Susanny gwałtownie zabiło, w ustach jej zaschło. Drżącymi rękami sięgnęła do torebki po telefon komórkowy. Omal nie jęknęła. Dopiero teraz przypomniała sobie, że zostawiła go w samochodzie dla doładowania baterii.

Zanim zdążyła wymyślić jakiś sposób obrony przed włamywaczem, ktoś otworzył drzwi sypialni. Omal nie zemdląła ze strachu. Pędem dopadła drzwi wejściowych. Chwyciła za klamkę. Wtem usłyszała zza pleców zaspany głos:

- Mamusiu?

- Chrissie? - Susanna odwróciła się gwałtownie. Ujrzała córkę.

- Gdzie byłaś tak długo? Czemu nie odbierasz telefonu? - dopytywała się, przecierając zaspane oczy.

Susanna pospieszyła w jej kierunku. Porwała ją w ramiona.

- Co tu robisz?

- Przyjechałam pomóc tobie i babci. Która godzina? - Pytanie zabrzmiało niezbyt wyraźnie z powodu ziewnięcia.

- Minęła północ.

- Gdzie byłaś tak długo?

- U przyjaciółki. - Susanna odłożyła torebkę.

Weszła do kuchni, zapaliła światło.

- Próbowałam cię uprzedzić, że przyjadę.

- Ładuję telefon w samochodzie.

- Nawet nie spojrzałaś, czy ktoś nie zostawił wiadomości?

Susanna pokręciła głową. Po wcześniejszej rozmowie z mężem nie przypuszczała, że jeszcze ktokolwiek będzie szukał z nią kontaktu.

- W jaki sposób się tu dostałaś? - spytała Susanna. Sama zabrała jeden samochód, Joe używał drugiego.

- Carley Lyons zawiadomiła mnie, że wyjeżdża dzisiaj do Spokane. Zaproponowała, że mnie podwiezie, jeśli jej zwrócę połowę kosztów paliwa. Uznałam, że skoro już dotrę tak blisko, jakimś sposobem trafię do Colville.

- No dobrze, a jak pokonałaś pozostałą część drogi? - dociekała dalej Susanna, choć przeczuwała, że odpowiedź jej nie zadowoli.

- Nie bez trudności. Carley wysadziła mnie na dworcu autobusowym. To wyjątkowo nieprzyjemne miejsce. Pałęta się tam mnóstwo mętów. A najbliższy autobus do Colville odjeżdża w sobotę. Nagle przypomniałam sobie o Johnie Musseterze. Niedawno przeniósł się do Spokane. Pamiętasz go, prawda? Zresztą trudno zapomnieć takie nazwisko. Musseterowie nie zajmują zbyt wiele miejsca w książce telefonicznej. Bez trudu go znalazłam. Przedstawiłam mu przez telefon swoją prośbę. Obiecał mnie podrzucić, jeśli zapłacę za paliwo i stracony czas. Dałam mu wszystkie pieniądze, jakie miałam przy sobie, ale nie wystarczyło. Obiecałam, że zwrócisz mu resztę. Ponieważ cię nie zastałam, nadal jestem mu winna pięćdziesiąt dolarów.

Każde kolejne zdanie coraz bardziej przerażało Susannę. Miała ochotę nakrzyczeć na córkę. Opanowała jednak wzburzenie, ponieważ do wyjaśnienia pozostała jeszcze jedna kwestia. Postanowiła

niezwłocznie ją rozstrzygnąć. Przed wyjściem sprawdziła dwukrotnie, czy wszystko pozamykała. Z całą pewnością nie pozostawiła żadnego otwartego okna. Od dnia zniknięcia pamiątek po bracie zachowywała maksymalną ostrożność. Nie potrafiła sobie wyobrazić, jak można wejść do domu, nie dokonując włamania.

- Jak dostałaś się do środka?

- Babcia pokazała mi kiedyś, gdzie trzyma zapasowy klucz - poinformowała Chrissie z szerokim uśmiechem. - Modliłam się, żeby nadal był w szczelinie za cegłą. No i znalazłam - zakończyła z triumfem.

Susanna z początku nie dowierzała. Znając podejrzliwość Vivian, nie posądzała jej o zostawianie klucza na zewnątrz, w dostępnym dla obcych miejscu. Dopiero po chwili przypomniała sobie, że brat znalazł kiedyś luźną cegłę z tyłu domu. Po jej wyjęciu można było wsunąć w dziurę drobny przedmiot, a potem znowu zamaskować to miejsce. Zaskoczyło ją, że owa sekretna skrytka nadal istnieje.

- Włożyłam go tam z powrotem - zapewniła Chrissie.

Susanna stwierdziła, że szklanka gorącej herbaty dobrze jej zrobi. Postawiła czajnik na ogniu.

- Czy ojciec wie o twojej wyprawie?

- Pewnie tak. Zostawiłam mu kartkę - odparła córka po długim milczeniu.

- Chrissie!

- Było mi bardzo źle bez ciebie, mamusiu. Pragnęłam też zobaczyć babcię. Ojciec i Brian nie widzieli we mnie człowieka.



Służyłam za kucharkę i sprzątaczkę. Traktowali mnie jak niewolnicę. Nawet gdy wymyślałam wyszukane potrawy, ciągle grymasili. Wprawdzie kurczak w sosie curry nie bardzo mi wyszedł, ale przecież robiłam, co mogłam.

Susanna przez chwilę rozważała jej słowa. Mąż podczas rozmowy telefonicznej nie krył niezadowolenia. Narzekał, że nie smakują mu obiady Chrissie. Nie docenił jej wysiłków. Poza tym dobrze, że dziewczynę łączyła silna więź z babcią. No i wyraziła chęć pomocy. Po namyśle Susanna doszła do wniosku, że córka podjęła słuszną decyzję. Nawet jeżeli nic nie zrobi, sama jej obecność poprawi Vivian nastrój.

Chrissie siedziała na krześle z podwiniętymi nogami i spuszczoną głową. Długie włosy opadły jej na twarz. Wyglądała na bardzo przygnębioną.

- Dzwoniłam do Jasona dziś rano - oświadczyła nieoczekiwanie.

- I co? - szepnęła Susanna, chociaż z góry przeczuwała, jaką odpowiedź otrzyma.

Doskonale wiedziała, co Chrissie czuje, nawet jeśli przysięgała, że już go nie chce.

- Źle. Twierdzi, że nie umawia się z Katie, ale mu nie wierzę. Zasugerował rozstanie. Trudno, niech będzie. Grunt, że uczciwie postawił sprawę - relacjonowała pozornie swobodnym tonem, starannie ukrywając rozgoryczenie.

- Tak mi przykro, kochanie - westchnęła Susanna, poklepując ją po ramieniu.

Chrissie wzruszyła ramionami, jakby zerwanie z chłopakiem niewiele ją obeszło. Oczywiście udawała.

- Nie miej do mnie żalu, mamusiu. Musiałam stamtąd uciec. Chciałam ci wszystko wyznać, w cztery oczy, nie przez telefon. Obiecuję, że nie sprawię kłopotu.

- Cieszę się, że tu jesteś - odpowiedziała Susanna zgodnie z prawdą.

Po pełnych napięcia, wypełnionych nieustanną krzątaniną dniach z radością powitała zarówno dodatkową parę rąk do pracy, jak i towarzystwo.

- Naprawdę?! - wykrzyknęła Chrissie z wyraźną ulgą, połykając łzy. - Co z babcią? Bardzo się o nią martwię.

- Przystosowanie do nowego środowiska przebiega z większymi oporami, niż przewidywałam - zaczęła Susanna ostrożnie. W końcu nerwy jej puściły. - Na każdym kroku okazuje, jak bardzo ją skrzywdziłam - wyrzuciła z siebie.

- Moja wizyta ją ucieszy - zapewniła Chrissie z tak głębokim przekonaniem, że wlała nieco otuchy w serce matki. - Tylko ojciec będzie zły - dodała z ciężkim westchnieniem.

- Nie martw się, ułagodzę go. Ale skoro już tu jesteś, oczekuję od ciebie pomocy.

- Dziękuję, jesteś najlepszą matką na świecie - wyszeptała Chrissie z nieśmiałym uśmiechem.

Nie przekonała Susanny. W tym momencie nie czuła się ani dobrą matką, ani dobrą żoną, ani dobrą córką.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Następnego ranka Vivian była zachwycona wizytą wnuczki. Właśnie skończyła śniadanie - zimne jajka z tak tłustym boczkiem, że uszczknęła zaledwie kęs. Zamierzała właśnie popracować w ogrodzie, gdy zapukały Susanna i Chrissie. Dopiero wtedy przypomniała sobie, że nie ma już domu ani ogrodu. Ogarnęło ją poczucie wielkiej straty. Jej życie legło w gruzach. Ponieważ zdawała sobie sprawę, że miewa zaniki pamięci, zapytała, czy Chrissie zapowiedziała wizytę.

- Nie, babciu, to niespodzianka.

Vivian uściskała dziewczynę. Stwierdziła, że bardzo wyrosła od czasu, kiedy ostatnio ją widziała. Jak dawno? Trzy czy cztery lata temu? W końcu dała spokój wyliczeniom. Pogłaskała ją po policzku.

- Wyrosłaś na piękną panienkę - pochwaliła.

- Ty, babciu, także świetnie wyglądasz. - Chrissie objęła ją delikatnie, jakby się obawiała, że ją złamie, co niepomiernie zdziwiło Vivian.

Nigdy nie była wiotka. No tak, ostatnio schudła. Przykre.

- Nie mogę znaleźć rękawic ogrodniczych - narzekała.

Podczas przeprowadzki najbardziej obawiała się kradzieży. Doświadczenie nauczyło ją, że nikomu nie można ufać. Nawet Martha, która pracowała u niej od lat, została złodziejką. Z całą pewnością ktoś zwędził ulubione, zniszczone rękawice. Nie pojmowała, komu i do czego one potrzebne.

- Mamusiu, po co ci one?

Przy całej miłości do córki nikt bardziej nie irytował Vivian. Drażniło ją, że dorosła kobieta zamecza ją dziecinnymi pytaniami.

- Trzeba przyciąć róże - wyjaśniła powoli, dobitnie, jak upośledzonemu dziecku.

Nie pozwoliłaby nikomu dotknąć swoich kwiatów, a już zwłaszcza Rachel Henderson. Jej zdaniem sąsiadka mniej niż ktokolwiek inny zasługiwała na zaufanie.

- Jeśli babcia ma ochotę, zabiorę ją do domu, żeby sobie popracowała w ogrodzie - zaproponowała Chrissie.

- Bardzo chętnie.

- Tylko włóż sweterek - przypomniała Susanna.

- A rękawice? - naciskała Vivian, coraz bardziej rozdrażniona, że córka i wnuczka lekceważą sprawę kradzieży w ośrodku.

- Zostały w domu, na tylnym ganku, a sekator w garażu.

- Dobrze wiem, gdzie kładę sekator - odburknęła. Nie szukała zaczepki, ale nie znosiła, gdy córka traktowała ją jak półgłówka. Owszem, miewała kłopoty z pamięcią, ale nie z myśleniem. - Wezmę biżuterię. Ktoś mógłby ją zabrać podczas mojej nieobecności.

Wnuczka i córka popatrzyły na siebie znacząco.

- Ależ mammo... - zaczęła Susanna.

Całe szczęście, że zaniechała dalszej dyskusji, bo Vivian nie zamierzała zostawiać pereł na pastwę złodziei. Wzięła saszetkę, w której trzymała naszyjnik, owinęła sobie ciasno pasek wokół ręki. Włożyła też sweter. Ostatnio bywało jej chłodno. Zabrała jeszcze czerwoną „codzienną” torebkę.

- Kiedy skończę z różami, zapraszam was na lunch. Na mój koszt  
- zaznaczyła.

Gdyby została dłużej w ośrodku, serwującym tak podłe jedzenie, umarłaby chyba z głodu. Odnosiła wrażenie, że obsługa nie wie, do czego służą solniczka i pieprzniczka, a ona nie cierpiała mdłych potraw. Zamknęła pokój, trzykrotnie szarpnęła za klamkę dla pewności, wreszcie ruszyły ku wyjściu. Susanna przystanęła przy recepcji, żeby porozmawiać z Rose. Poznała jej imię z identyfikatora. Żałowała, że nie noszą ich pensjonariusze, co ułatwiałoby nawiązanie znajomości. Kilku jej się przedstawiło, ale za skarby świata nie potrafiła sobie przypomnieć nazwisk.

Gdy tylko Vivian weszła do domu, ogarnęło ją przygnębienie. Przesunięto meble, ktoś zgromadził wszystkie naczynia na kuchennym blacie. Na zewnątrz przeżyła kolejny wstrząs.

- Ktoś buszował w moim ogrodzie! - wykrzyknęła z oburzeniem.

Róże przystrzyżono, chwasty wyrwano, dla niej nie pozostało już nic do zrobienia. Ktoś najwyraźniej wprowadził tu swoje porządki pod jej nieobecność. Podejrzewała, że to sąsiadka, Rachel Henderson.

- Kwiaty wyglądają cudownie, mamusiu - zapewniła Susanna.

- Owszem - przyznała Vivian bez entuzjazmu. Wychwyciła w głosie córki jakąś dziwną nutę.

Dziesięć minut później Susanna wróciła do domu, pewnie po to, żeby przeprowadzić parę rozmów ze swego mikroskopijnego telefonu. Vivian pokręciła głową z dezaprobatą. Córka wprowadzała wokół siebie koszmarny nieład. Wychowywała ją na lepszą gospodynię.

Zachowała jednak swoje przemyślenia dla siebie, żeby nie psuć nastroju. Nie była pewna, jak długo przesadzały z Chrissie rośliny jednoroczne. Nie mogła też sobie przypomnieć, kiedy posadziła begonie. Zauważyła, że Rachel Henderson kilka razy wyjrzała przez okno. Zignorowała ją. Postanowiła, że kiedy sąsiadka wystawi stopę za próg, da jej jasno do zrozumienia, co sądzi o szpiegowaniu zza firanki. Jeśli nie zostawi jej w spokoju, zagrozi wezwaniem policji.

- Zgłodniałam - oświadczyła po pewnym czasie, nie bez satysfakcji.

Całkiem miłe uczucie. Pierwszy raz poczuła głód, odkąd córka wepchnęła ją do tego żalostnego przytułku. Mimo że straciła apetyt, z równą pasją jak dawniej oglądała „Gotuj z nami”.

- Ja też chętnie bym coś przekąsiła - zawtórowała jej Chrissie.

Pozostało im tylko wyciągnąć z domu Susanne. Vivian zaplanowała zabrać je do Le Gourmand, nowej restauracji, gdzie podobno podawano znakomitą sałatkę z kurczaka. Na samą myśl leciała jej ślinka. Ostatnio bardzo jej brakowało wypraw do miasta. Dawniej często wychodziły z Barbarą i June. Niestety, obydwie odeszły na zawsze. Niech Bóg ma w opiece ich dusze. George'a też. Susanna już czekała przy drzwiach salonu.

- Ustawili stoliki na tarasie - poinformowała ją Vivian.

- Kto, mamusiu?

- Jak to kto? Obsługa Gourmanda.

- Chcesz tam zjeść lunch?

- No oczywiście! - odburknęła. Głupie pytanie! Odnosiła wrażenie, że córka wcale jej nie słuchała. - To nowa restauracja. Już zasłynęła z doskonałej sałatki z kurczaka z prażonymi orzechami. W takie piękne popołudnie najlepiej jeść na dworze - wytłumaczyła.

Wsiadła do samochodu, podtrzymywana przez Susannę. Kiedy zajęła miejsce, bez skutku usiłowała zapiąć pas bezpieczeństwa. Gdyby wnuczka nie pospieszyła z pomocą, złamałaby przepisy drogowe.

- Le Gourmand działa od dziesięciu lat - przypomniała Susanna.

- Wiem - mruknęła Vivian.

Dopiero teraz uświadomiła sobie, że restauracja rzeczywiście istnieje od dawna, tyle że nie można tam zjeść kolacji, bo wcześniej ją zamykają.

Dopisało im szczęście. Zostały w patio wiele wolnych stolików. Susanna weszła do środka, by złożyć zamówienie. Vivian doskonale pamiętała, że obiecała zapłacić za posiłek, tylko nie mogła znaleźć torebki. George byłby niepokieszony, gdyby zgubiła perły. Podzieliła się swoim zmartwieniem z Chrissie.

- Trzymasz ją na kolanach - szepnęła jej wnuczka do ucha. - A saszetkę z biżuterią zostawiłyśmy w samochodzie.

Vivian wydała westchnienie ulgi. Torebka rzeczywiście leżała spokojnie na właściwym miejscu. Była wdzięczna, choć wolałaby, żeby Chrissie nie informowała o miejscu przechowywania precjozów wszystkich gości. Taka wiadomość zawsze może dotrzeć do niepowołanych uszu.

Wróciła Susanna. Zajęła miejsce przy okrągłym stoliku pod parasolem.

- Za pięć minut przyniosą nam jedzenie - oznajmiła.

- Zamówiłaś dla mnie herbatę?

Jej pytanie zagłuszył ryk silnika. Na światłach zaparkowała odrapana furgonetka. Młody kierowca z długimi włosami wyjrzał przez okno, oparł o ramę opalony łokieć. Zdecydowanie potrzebował wizyty u fryzjera, łącznie z goleniem. Nawet nie włożył przyzwoitej koszuli, tylko zwykły podkoszulek. Podczas gdy Vivian go obserwowała, zrobił oko do Chrissie.

Zarówno jego wygląd, jak i zachowanie świadczyły o braku dobrych manier. Vivian już otwierała usta, żeby ostrzec Chrissie, ale zrezygnowała, ujrawszy w jej oczach zachwyt dla nonszalanckiego młodzieńca, który właśnie kiwnął jej głową. Ku zgorszeniu Vivian Chrissie odpowiedziała tym samym gestem. Vivian zacisnęła usta. Gdyby nie jej marsowa mina, nieznajomy pewnie zagadnąłby wnuczkę. Vivian potrzebowała kilku minut, żeby skojarzyć, kto to taki. Dopiero po bliższym przyjrzeniu się rozpoznała Troya Nance'a, powszechnie znanego nicponia.

Zapaliło się zielone światło. Troy odjechał z rykiem silnika. Pozostała po nim tylko gęsta chmura spalin z rury wydechowej.

- Kto to jest? - spytała Chrissie.

Po dość długiej chwili wahania Vivian zdecydowała się odpowiedzieć. Była pewna, że Chrissie zrozumie, że taki ladaco nie stanowi odpowiedniego towarzystwa dla młodej panienki.



- To syn twojej koleżanki ze szkoły, Susanno.
  - Której?
  - Nie pamiętam imienia.
  - To nieistotne. Najważniejsze, jak on ma na imię - wtrąciła Chrissie niecierpliwie.
  - Troy Nance.
  - Syn Sharon Nance?
  - Tak. Ponieważ Sharon urodziła go jako panna, nosi jej nazwisko. Oczywiście do tej pory mogła zmienić stan cywilny - wyjaśniła. - Nie znała ojca chłopaka, jak pewnie nikt w miasteczku. Kimkolwiek był, raczej nie zagrzał długo miejsca u boku niefrasobliwej kobiety.
  - Nie widziałam Sharon od lat - stwierdziła Susanna bez żalu.
- Nie przepadała za nią. Podobno obecnie pracowała w gospodzie na obrzeżach miasta. George Leary często widywał w sądzie tego typu kobiety. Twierdził, że kłopoty to ich specjalność.
- Jaki przystojny - westchnęła Chrissie.
- Jej mama i babcia wymieniły znaczące spojrzenia, które wyraźnie mówiły, że Vivian przeceniała rozsądek wnuczki.

## **ROZDZIAŁ PIĘTNASTY**

Vivian wróciła do Altamiry wyczerpana. Opadła na fotel przed telewizorem bez przebierania się, w swetrze. Po kilku minutach już cichutko pochrapywała. Susanna i Chrissie na palcach opuściły pokój, umieściwszy biżuterię w dolnej szufladzie komody. Już na zewnątrz,

na parkingu, Chrissie stwierdziła, że niepokoi ją słabość babci. Świadomość, że nawet egocentryczna, jak zwykle w tym wieku, nastolatka zauważyła niekorzystną przemianę, przestraszyła Susannę.

- Co chcesz teraz robić? - spytała Chrissie, otwierając drzwi samochodu.

Nie lubiła planować, zwłaszcza wydarzeń towarzyskich, lecz przy całej swej niefrasobliwości bardzo pragnęła być użyteczna. Susanna liczyła na to, że przy jej pomocy uporządkuje dom szybciej, niż zaplanowała, choć przewidywała, że córka niejednokrotnie nadużyje jej cierpliwości.

- Chciałabym dokończyć pakowanie tej części dobytku, którą oddamy do przechowalni - wyjaśniła.

- Zgoda - rzuciła Chrissie bez entuzjazmu.

Susanna w pełni podzielała jej niechęć. Nie pociągała jej perspektywa ogoławania pokoi. Robiła to z bólem serca.

W supermarkecie Safeway dostały od kierownika stoiska pół tuzina kartonowych pudeł. Ich gromadzenie weszło Susannie w krew. Najbardziej ceniła te po owocach. Dwa razy dziennie napełniała kilka sztuk. Starannie ułożone czekały, aż postanowi, co z nimi zrobić. Nie określiła jeszcze, co zatrzymać, co dać dzieciom, a co przekazać organizacjom dobroczynnym. Odkładała podjęcie decyzji na bliżej nieokreśloną przyszłość, w obawie że odda coś, czego później będzie żałować.

Po powrocie ujrzała po drugiej stronie ulicy zaparkowany samochód. Siedziała w nim elegancko ubrana brunetka. Wsiadła akurat wtedy, gdy zaczęły opróżniać bagażnik. Podeszła do nich.

- Dzień dobry, nazywam się Melody Highland - oznajmiła z promiennym uśmiechem. Z małej, złocistej teczuski wyciągnęła wizytówkę. Wręczyła ją Susannie. - Pracuję dla przedsiębiorstwa obrotu nieruchomościami, Colville Real Estate Company. O ile wiem, zamierza pani sprzedać dom matki.

Przedwczesna oferta sprawiła Susannie przykrość. Nie była jeszcze gotowa na ten ostateczny krok. Na wszelki wypadek schowała jednak wizytówkę. Zanim zdążyła wyjaśnić, że jeszcze nie nadeszła pora na negocjacje handlowe, Melody zaczęła pierwsza:

- Nasza firma ma doskonałą reputację. Pracuję w niej już osiem lat. Uzyskuję najlepsze wyniki finansowe.

- Moje gratulacje - mruknęła Susanna z niechęcią.

- Wielu klientów interesuje się tą posiadłością. Leży w bardzo dobrej dzielnicy.

- Skąd pani uzyskała mój adres?

- W małych miasteczkach wieści szybko się rozchodzą odrzekła agentka z zagadkowym uśmiechem.

- Od pani Henderson?

Uśmiech zgasł na ustach Melody.

- Nie, od pracowników przechowalni. Współpracujemy od lat. Od czasu do czasu pomagają mi pozyskać klientów - przyznała po chwili wahania.

Wiadomość, że ktoś bez pozwolenia rozpowszechnia cudze dane osobowe, oburzyła Susannę do żywego.

- Dziękuję, na razie nie wystawiam domu na sprzedaż - odparła lodowatym tonem.

Melody, niezrażona chłodnym przyjęciem, jeszcze kilkakrotnie usiłowała ją namówić na uobicie interesu, lecz napotkała twarde opór.

- W każdym razie proszę zachować wizytówkę. Za moim pośrednictwem uzyska pani najlepszą cenę. Można zajrzeć do pani za tydzień czy dwa? - zawołała jeszcze za Susanną, gdy ta już wchodziła na schody.

- Wolałabym sama nawiązać kontakt, jeśli zajdzie potrzeba.

- Proszę bardzo. Dziękuję, że zechciała mi pani poświęcić chwilę  
- odrzekła pogodnie Melody.

Przeszła na drugą stronę ulicy. Wsiadła do samochodu i odjechała.

- Nachalna jak uprzykrzona mucha! - skomentowała Susanna, wyciągając dwie paczki z bagażnika.

- Pewnie już przyprowadza klientów, żeby obejrzeni dom. Wyobrażam sobie ich reakcję, gdyby go teraz zobaczyli w środku! - zachichotała Chrissie.

Susanna nie zawtórowała jej. Przeciwnie, gdy zamknęła za sobą drzwi, odetchnęła z ulgą, jakby właśnie umknęła przed drapieżnikiem do bezpiecznej kryjówki. Zastanawiała się, z iloma natrętami przyjdzie jej jeszcze walczyć tego lata.

Chrissie stanęła na środku salonu z rękami wspartymi na biodrach. Rozejrzała się. Wnętrze nie wyglądało zachęcająco. Oceniała, że jak na pięć dni pracy matka niewiele zdziałała.

- Proponuję najpierw opróżnić biblioteczkę - za sugerowała Susanna.

Gdyby starczyło jej czasu, sama najchętniej przejrzałaby książki. Ojciec namiętnie czytał. Jego księgozbiór z całą pewnością zawierał wiele perełek. Susanna przeznaczyła te książki dla Briana.

- Dobrze. - Chrissie sięgnęła po jedno z pudeł.

Susanna natomiast postanowiła zrobić porządki w biurku ojca, które do tej pory omijała szerokim łukiem. Z dnia na dzień odkładała przejrzenie jego zawartości. Znając jego skrupulatność, podejrzewała, że zachował wszystkie dokumenty z całego życia, co do sztuki. Czekala ją syzyfowa praca: sprawdzenie każdej półki, każdej szuflady. Wolałaby poczekać, aż emocje nieco opadną, ale nie mogła sobie pozwolić na dalszą zwłokę. Wyciągnęła plik segregatorów. Właśnie otworzyła pierwszy z nich, gdy usłyszała wołanie Chrissie:

- Chodź tu szybko, mamusiu!

Susanna pospieszyła do salonu. Chrissie wyciągnęła w jej kierunku pięćdziesięciodolarowy banknot. W drugiej ręce trzymała „Historię drugiej wojny światowej”.

- Zobacz, wypadł z tej książki, gdy wyciągałam ją z regału.

Obydwie postanowiły przejrzeć dokładnie pozostałe tomy. Chrissie wyjęła następny, odwróciła grzbietem do góry. Dwie dwudziestodolarówki upadły na dywan. Susanna nie potrafiła

odgadnąć, które z rodziców chowało pieniądze między kartkami. Prawdopodobnie obydwójce. W ostatnich miesiącach matka straciła zaufanie do ludzi. Ukrywała cenniejsze przedmioty w najdziwniejszych miejscach.

- Sprawdź wszystko dokładnie. Spróbuję ci pomóc - poleciła Susanna, niezadowolona, że przejrzanie całego księgozbioru spowolni tempo pracy.

- To fascynujące, jak poszukiwanie skarbów! - wykrzyknęła rozradowana Chrissie, potrząsając „Przeminęło z wiatrem”.

Zanim Susanna zdążyła odpowiedzieć, zadzwonił dzwonek u drzwi. Z trudem utorowała sobie drogę wśród zalegających pomieszczenie gratów. Postanowiła, że jeśli nawiedził ich kolejny pośrednik od nieruchomości, nie potraktuje go tak uprzejmie jak pani Melody. Tym razem na progu ujrzała starszą panią około siedemdziesiątki. Raczej nie wyglądała na agentkę.

- Dzień dobry, Susanno! - zawołała tak radośnie, jakby oczekiwała, że gospodyni natychmiast ją rozpozna.

Susanna nie skojarzyła, z kim ma do czynienia. Nowo przybyła wreszcie dostrzegła jej konsternację.

- Nazywam się Eve Sutter. Mama z całą pewnością o mnie wspominała. Jestem jej bliską, bardzo bliską przyjaciółką od serca - zaznaczyła dobitnie.

Susanna nigdy wcześniej nie słyszała jej nazwiska, jednak z grzeczności otworzyła szerzej drzwi. Zaprosiła nieznaną do środka.

- Podobno przeniosła pani Vivian do Altamiry. Piękny ośrodek, prawda?

Susanna na wszelki wypadek nie rozwijała tematu. Szkoda jej było czasu na towarzyskie pogawędki.

- Czym mogę służyć?

- To ja przyszedłam pomóc - sprostowała Eve, jakby oczekiwała, że Susanna sama odgadnie cel wizyty. - Dobrze wiem, jak trudno uporządkować dorobek całego życia.

- Bardzo miło z pani strony... - zaczęła Susanna.

Nie zdążyła dodać, że sama sobie poradzi, ponieważ staruszka nie dała jej dojść do słowa:

- Pani mama bez wątpienia zgromadziła znacznie więcej odzieży, niż potrzebuje w domu opieki. Ponieważ nosimy ten sam rozmiar, z przyjemnością uwolnię panią od tego balastu. - Zerknęła w głąb korytarza, w kierunku sypialni. - Sądzę, że z radością powita pani dodatkową parę rąk do tej niełatwej pracy - przekonywała niestrudzenie, równocześnie z zapalem podwijając rękawy.

- Dziękujemy. Doskonale sobie radzimy - odparła chłodno Susanna.

Dla podkreślenia, że uważa wizytę za zakończoną, przemaszerowała energicznym krokiem ku wyjściu. Eve odrzuciła głowę do tyłu, najwyraźniej urażona niezbyt serdecznym przyjęciem.

- Rozumiem, wpadnę później. Przyniosę potrawkę z kurczaka.

- Dziękujemy, wychodzimy na kolację. - Susanna otworzyła drzwi na oścież, zapraszając do wyjścia, okropnie zażenowana, że tak zwana

przyjaciółka matki zmusiła ją do złamania zasad dobrego wychowania. Zdecydowanie nie budziła jej zaufania.

Eve skinęła głową, posłała jej kwaśny uśmiech, po czym opuściła dom. Susanna z rozmachem zatrzęsła za nią drzwi.

- Sępy już zaczynają krążyć nad naszymi głowami. Mama ani słowem nie wspomniała o tej przyjaciółce od serca - dodała z przekąsem.

Chrissie roześmiała się. Susannie wcale nie było do śmiechu.

- Nie bierz sobie tego do serca, mamusiu. Nie miała złych intencji.

Susanna zdecydowanie nie podzielała opinii córki.

Zadzwonił telefon. Matka i córka popatrzyły na siebie niepewnie. Wreszcie Chrissie ruszyła do kuchni. Susanna przypuszczała, że to mąż. Telefonował już rano, okropnie zły na Chrissie. Susanna nieco ułagodziła jego gniew. Mimo że sama nie pochwalała ucieczki z domu, była wdzięczna córce, że do niej dołączyła.

Chrissie pozostała w kuchni przez kilka minut. Susanna w tym czasie zdążyła spakować zawartość jednej półki. Przy okazji znalazła jeszcze jedną ukrytą pięćdziesięciodolarówkę. Niespodziewanie odkryła też za encyklopedią cztery łyżeczki, te same, które rzekomo ukradła gospoia. Przypomniała sobie, że powinna zadzwonić do Marthy.

Chrissie wróciła rozpromieniona. Susanna przypuszczała, że rozmawiała z Jasonem. Zaczekała, aż dziewczyna sama przekaze jej radosną nowinę.

- Nie zgadniesz, kto dzwonił!



- Kto?

- Ten chłopak z furgonetki.

- Który? - zapytała Susanna odruchowo, zanim zdążyła skojarzyć, o kogo chodzi.

- Ależ mam! Ten, którego widziałyśmy po południu. Odkrył moje pokrewieństwo z babcią, odszukał numer i zaprosił mnie na wieczór.

- Chyba nie wyraziłaś zgody? - wykrztusiła Susanna w popłochu.

- Ależ oczywiście, że tak. To najwspanialsze zaproszenie, jakie otrzymałam od wielu miesięcy. Nie muszę prosić o pozwolenie, dawno skończyłam osiemnaście lat - dodała z naciskiem.

Rzeczywiście, stado sępów rosło w zastraszającym tempie.

Carolyn spojrzała na zegarek. Dochodziło południe. Wstała z krzesła. Ruszyła ku drzwiom.

- Carolyn! - zawołała za nią asystentka.

- Zjem lunch w domu - rzuciła Carolyn już w drodze do samochodu.

Wsiadała do auta z mocno bijącym sercem. Wyjeżdżając z parkingu, zerknęła we wsteczne lusterko. Z wypiekami na twarzy przygryzła wargę. Matka zawsze ją za to karciała, na przemian po francusku lub angielsku. Po wielu latach kąśliwe uwagi jeszcze brzmiały jej w uszach. Poprzedniego wieczoru nie brała zbyt aktywnego udziału w dyskusji na temat wyborów z przeszłości. Natomiast później, w łóżku, długo analizowała zarówno drogę życia,

jaką obrała, jak i ścieżki, na które nie wkroczyła. Właśnie ujrzała kolejną: Dave'a Langevina.

Zapadł jej w serce. Matka nie wybaczyłaby jej zainteresowania prostym ogrodnikiem. Od czasu rozvodu w wieku dwudziestu paru lat Carolyn prowadziła samotny tryb życia. Mimo że w jej otoczeniu przeważali mężczyźni, nie szukała nowego życiowego partnera. Kierowanie zakładem pochłaniało mnóstwo czasu, a wewnętrzne zahamowania spowodowały, że stłumiła naturalne kobiece tęsknoty. Z niezrozumiałych przyczyn odżyły, gdy poznała Dave'a. Nagle rozkwitła, poczuła się na nowo kobietą. Z początku usiłowała ignorować kłopotliwe uczucie. Nikomu nie zwierzyła się z sercowych rozterek. Jakżeby mogła?!

Wjeżdżając na podjazd przed domem, stwierdziła, że doskonale obliczyła czas. Dave Langevin właśnie strzygł trawnik. Poprzedniego dnia z własnej inicjatywy wyściółkował rabatki korą. Pracował teraz bez koszuli. Słońce mocno przygrzewało, opalony tors błyszczał od potu. Carolyn obserwowała go z zapartym tchem. Przykuł jej uwagę do tego stopnia, że o mało nie staranowała grządek. Jako szefowa przedsiębiorstwa działała rozważnie, z rozmysłem, bez trudu nawiązywała kontakty handlowe, natomiast w obecności interesującego mężczyzny natychmiast traciła głowę.

Po odstawieniu auta do garażu weszła do domu i zrobiła sobie kanapkę z szynką i piklami. Nałożyła na talerzyk jeszcze trochę surówki z kapusty, chociaż nie dałaby głowy, czy przełknie chociaż

kęś. Wyniosła wszystko do patio. Udawała, że je, śledząc poczynania ogrodnika. Dave już w koszuli pchał kosiarkę ścieżką obok tarasu.

- Witam ponownie! - zawołała lekkim tonem, jakby wpadanie do domu na lekką przekąskę należało do jej stałych zwyczajów. - Widzę, że codziennie pielęgnujesz moje obejście.

- Nie przeszkodziłem w posiłku?

- Skądże! Zjesz ze mną? - zaproponowała z pozorną swobodą, nadludzkim wysiłkiem ukrywając emocje.

- Wybacz. - Białe zęby rozbłysły w uśmiechu. - Nie płacą mi za przesiadywanie z klientami przy stole.

- Może w takim razie szklaneczkę mrożonej herbaty?

- Z przyjemnością. - Skinął głową po krótkim wahaniu.

Carolyn w zapale wstała tak raptownie, że omal nie wywróciła krzesła. Spiesząc do kuchni, oddychała głęboko, by uciszyć szalone bicie serca.

Zaproszenie mężczyzny na lunch pozostawało w tak wielkiej sprzeczności z jej obyczajami, że czuła się, jakby popełniła poważne wykroczenie. Od rana opracowywała plan działania. Przez całe popołudnie jej myśli krążyły wokół Dave'a. Nie zaplotła tradycyjnego warkocza, lecz zostawiła włosy rozpuszczone. Codzienną koszulę w kratę zastąpiła białą bluzką z koronkowym kołnierzem. Włożyła do niej te co zwykle dżinsy i półbuty, lecz oprócz nich nic w niej nie pozostało takie samo jak dawniej, zwłaszcza stan jej duszy.

Gloria natychmiast dostrzegła zmianę. Pewnie wypowiedziałaby na głos jakąś uwagę, gdyby nie pochwyciła ostrzegawczego spojrzenia szefowej.

- Z cukrem?! - zawołała Carolyn przez otwarte okno.

- Bez.

Nalała herbatę do szklanki. Zniosła ją pracownikowi. Podziękował skinieniem głowy. Oderwanie wzroku od muskularnej klatki piersiowej, widocznej pod rozpiętą koszulą kosztowało ją sporo wysiłku. Zaraz potem jej uwagę przyciągnęły spłowiałe na słońcu pasemka włosów wystające spod kapelusza. Pożerała Dave'a wzrokiem jak zakochana nastolatka. Z trudem zwalczyła pokusę położenia dłoni na klatce piersiowej i sprawdzenia, czy jego serce bije równie mocno, jak jej własne. Dave wypił duszkiem herbatę. Zdjął kapelusz, otarł pot z czoła.

- Smakowała wybornie. Dziękuję.

Carolyn zaschło w ustach, jakby język przyrósł do podniebienia. Ledwie wydobyła głos ze ściśniętego gardła:

- Nie jesteś stąd, prawda?

- Przyjechałem z Kalifornii.

- Z której części? Mieszkałam tam przez pewien czas - rzuciła niefrasobliwie.

Ponad wszystko pragnęła nawiązać bliższy kontakt, dać do zrozumienia, że zależy jej na tym, aby zostali przyjaciółmi. Prawdę mówiąc, chciała znacznie więcej.

- Przebywałem w różnych miejscach. Często się przeprowadzałem.

Carolyn poczuła ukłucie żalu. Niechętnie mówił o sobie, świadomie utrzymywał dystans. Lecz za chwilę ją zaskoczył.

- Przez jakiś czas mieszkałem we Fresno - wymamrotał niezbyt wyraźnie.

- Jak tu trafiłeś? - zagadywała dalej.

Coraz bardziej krępowała ją ta wymuszona konwersacja na stojąco. Wskazała ręką krzesło. Dave pokręcił głową.

- Nigdzie nie zagrzałem miejsca. Nie należę do ludzi zapuszczających korzenie.

- Masz rodzinę?

- Nie - odparł.

Carolyn dostrzegła smutek w jego oczach.

- Żonę?

- Nigdy nie byłem żonaty. Nie dążę do stabilizacji.

Ponownie ją zaskoczył. Nie potrafiła odgadnąć, co powstrzymywało tego atrakcyjnego, w dodatku pracowitego i solidnego mężczyznę przed założeniem rodziny. Nagle doznała olśnienia: pobyt w więzieniu. Kryminalna przeszłość wyjaśniała wszystko: niechęć do mówienia o sobie, wędrowny tryb życia, samotność, rzekomo z wyboru. Wszystkie elementy łamigłówki pasowały jak ulał. Lepszego wyjaśnienia nie znalazła.

- A ty? - spytał cicho.

Spłoszone spojrzenie świadczyło o tym, że natychmiast pożałował tego pytania.

- Jestem rozwiedziona, bezdzietna. Moje małżeństwo trwało bardzo krótko. Później już nigdy nie spotkałam nikogo, z kim zechciałabym na nowo ułożyć sobie życie.

- Wielka szkoda.

- A ty masz dzieci?

- Też nie - odrzekł z ociąganiem. Postąpił krok do tyłu, wyraźnie zażenowany, że zdradził aż tak wiele szczegółów. - Czas wracać do pracy. Dziękuję.

- Za co?

- Za herbatę - odparł po chwili milczenia, odstawivszy pustą szklankę na stół.

Carolyn jednakże odniosła wrażenie, że cenił sobie nie tylko skromniutki poczęstunek.

## **ROZDZIAŁ SZESNASTY**

- Jak miło cię widzieć! - wykrzyknęła Susanna w sobotę po południu na widok Carolyn.

Przerażała ją perspektywa samotnego wieczoru. Chrissie drugi dzień z rzędu zniknęła gdzieś w towarzystwie Troya Nance'a. Najgorsze, że wyglądała na oczarowaną tym nicponiem. Susanna nie lubiła go od pierwszego wejrzenia. Każde spotkanie potwierdzało jej negatywną opinię. Nie pracował, palił, pił, żył na marginesie

społeczeństwa. Nie dałaby głowy, czy nie zażywa narkotyków. Patrzył na jej córkę jak na ciastko na talerzu, gotowe do schrupania.

- Przyniosłam trochę pyszności, jakie jadałyśmy we Francji - oznajmiła Carolyn, wręczając Susannie reklamówkę.

Susanna przypuszczała, że zawiera bagietkę, ser, suszone w słońcu pomidory w oliwie z oliwek, oraz, znając zwyczaje Carolyn, butelkę czerwonego wina. Jako uczennice często robiły sobie pikniki nad Loarą, spożywając podobne smakołyki. Te wypadki zawsze dostarczały im wiele radości. Wcale im nie przeszkadzało towarzystwo nieodłącznych opiekunek.

Teraz znów leciała jej ślinka na samo wspomnienie delikatesów sprzed lat. Z zamkniętymi oczami i figlarnym uśmiechem wyliczała kolejne produkty. Odgadła wszystkie, z wyjątkiem pieczywa. Carolyn zastąpiła bagietkę chrupiącym chlebem.

- Nie zapomniałam, co lubisz - podsumowała Carolyn po zakończeniu zabawy.

- Nie musiałaś robić takich gigantycznych zakupów - powiedziała Susanna wbrew prawdziwym odczuciom.

W rzeczywistości poczuła ulgę, że przyjaciółka uwolniła ją od konieczności wyprawy do sklepu. Nie miała ochoty wychodzić z domu. Cieszyła ją zarówno perspektywa wspaniałej uczy, jak i miłe towarzystwo. Usiadły naprzeciwko siebie w jadalni, sącząc wino z plastikowych kubków. Pieczywo, ser i pomidory rozłożyły na papierowych tackach, jak dawniej na biwaku.

- Gdzie Chrissie? - spytała Carolyn.

- Od wczoraj spędza każdą minutę z Troyem - poinformowała Susanna z goryczą.

Trochę przesadziła. Córka pomagała jej przez całe przedpołudnie, a przed wyjściem na randkę jeszcze odwiedziła Vivian. Niemniej jednak Troy Nance stale zajmował jej myśli. Wszystkim czynnościom towarzyszyły hymny pochwalne na jego cześć. Carolyn nie skomentowała wypowiedzi Susanny. Zmarszczyła tylko brwi, co oznaczało, że podziela jej niepocholebną opinię na temat młodzieńca. Susanna natychmiast spostrzegła jej kwaśną minę.

- Co o nim wiesz?

- Niewiele. Przez jakiś czas pracował w tartaku. Odszedł z dnia na dzień, gdy w ramach profilaktyki antynarkotykowej wprowadziliśmy obowiązkowe testy dla pracowników.

- Nie rozumiem, co Chrissie w nim widzi - mruknęła przerażona Susanna. Przyjaciółka potwierdziła jej najgorsze obawy. - Ostatnio porzucił ją chłopak. Ciężko przeżyła rozstanie.

- Z tego wniosek, że na siłę szuka lekarstwa na zranione serce lub dumę. Pewnie już wiesz, że to syn Sharon Nance. Wychodziła za mąż dwa albo trzy razy, ale zachowała panieńskie nazwisko.

Susanna doskonale pamiętała koleżankę z klasy o nieokiełznanym temperamencie i niezbyt dobrej opinii. W wieku trzynastu lat chełpiła się, że flirtuje z dziewiętnastolatkami. Matka, barmanka, wychowywała ją sama, co w tamtych czasach należało do rzadkości. Obecnie córka wykonywała ten sam zawód. Niewinnej, naiwnej Susannie zuchwała pannica troszeczkę imponowała. Nawet ją lubiła.



Była w jej oczach barwną, ciekawszą niż przeciętne koleżanki postacią.

- Liczyłam na to, że po jednej randce Chrissie przejrzy na oczy - westchnęła ciężko. - Wróciła wczoraj późno, tuż przed północą. Twierdziła, że doskonale się bawiła. Nie jestem pewna, czy to prawda. Gdyby zaszło coś złego, i tak by mi nie powiedziała. Popęłiłam błąd, że usiłowałam ją ostrzec. Równie dobrze mogłam mówić do ściany. Wychodzi teraz ze skóry, żeby mnie przekonać, jak niesprawiedliwie go oceniam.

- Moim zdaniem Troy nie wygląda na narkomana, jeśli to spędza ci sen z powiek - pocieszała Carolyn.

Nie uspokoiła Susanny.

- Mąż radzi, żebym zostawiła ją w spokoju. Tłumaczy, że wychowaliśmy ją najlepiej, jak umieliśmy do dwudziestego roku życia. Jego zdaniem nadeszła pora, żeby wzięła odpowiedzialność za własny los.

- A co ty myślisz? Brak mi doświadczenia w wychowywaniu dzieci. Na twoim miejscu nie potrafiłabym opracować skutecznej strategii.

- Podobnie jak ja - przyznała Susanna. Najchętniej posłuchałaby rady Joego. Nie chciała zrażać jej do siebie z powodu młodego człowieka, który dziś jest, a za kilka dni czy tygodni zniknie na zawsze z ich życia. - Nawet ze zwykłym sprzątniem nie bardzo sobie radzę - dodała z rezygnacją, wskazując panujący wokół rozgardiasz. - Mama gromadziła wszystkie drobiazgi, nawet zupełnie zbędne.

Znalazłam swój mleczny ząb, wszystkie zeszyty od pierwszej klasy. Pakując dorobek rodziców, wciąż odnajduję ślady własnej przeszłości.

- Rozumiem. Wprawdzie nie wynosiłam dobytku po rodzicach, ponieważ zamieszkałam w ich domu, ale za to codziennie trafiałam na przedmioty przywołujące wspomnienia z dawnych lat. Robiły na mnie niesamowite wrażenie.

- A propos niesamowitych przeżyć... - zaczęła Susanna niepewnie.  
- Gdy w czwartek wróciłam od ciebie, zaraz gdy weszłam do domu. Wyczułam, że był w nim ktoś obcy - dokończyła z wahaniem.

Następnie przedstawiła sprawę nietypowych kradzieży. Ze względu na znikomą wartość skradzionych przedmiotów wykluczyła motyw rabunkowy.

Carolyn zamarła z przerażenia. Ręka z kubeczkem wina zastygła w bezruchu w połowie drogi do ust.

- Jeśli nie złodziej, to kto? Duch ojca?  
- W żadnym razie! - zaprzeczyła gwałtownie Susanna, po czym zamilkła. Szukała odpowiednich słów, które oddałyby jej przeczucia.

- Chyba tego dnia przyjechała Chrissie - przypomniała sobie nagle Carolyn.

- Tak, ale ktoś jeszcze wtargnął do domu pod moją nieobecność, aż trzykrotnie. Ostatni raz dzisiaj po południu. Znikła część dokumentów ojca. Specjalnie położyłam je na blacie biurka, żeby posegregować. Gdy wróciłam, już ich nie zastałam.

- Nie przełożyłaś ich gdzieś?  
- Zdecydowanie nie. Ktoś je zabrał.

- Wierzę ci. - Carolyn zamilkła.

Susanna pochwyciła jej zamyślane spojrzenie.

- Ciebie też coś dręczy, prawda? - raczej stwierdziła, niż spytała.

Na policzki Carolyn wystąpił rumieniec.

- No powiedz, proszę - poprosiła raz, drugi i trzeci.

- Chodzi o tego faceta, którego wynajęłam do pielęgnacji ogrodu i uporządkowania terenów zielonych wokół biura - wyznała z zażenowaniem. - Nie daje mi spokoju. Bez przerwy o nim myślę. Raz po raz wyglądam przez okno, w nadziei że go zobaczę.

- W czym problem? Żonaty?

- Nie, nigdy nie był. - Carolyn pokręciła głową. - Rzecz w tym, że podejrzewam go o kryminalną przeszłość.

- Można to sprawdzić w rejestrach sądowych.

- Próbowałam w Internecie - wyznała Carolyn z wypiekami na twarzy. - Nic nie znalazłam.

- Sądzisz, że posługuje się fałszywym nazwiskiem?

- Trudno powiedzieć. - Carolyn bezradnie wzruszyła ramionami.

- Na jakiej podstawie podejrzewasz, że siedział w więzieniu?

- Właściwie na żadnej. Tyle że niechętnie zdradza jakiegokolwiek szczegóły życiorysu, nawet gdy go ciągnę za język. Poza tym zastanawia mnie, z jakiego powodu tak piękny mężczyzna nie założył rodziny.

Słowo „piękny” rozbawiło nieco Susannę. Sama nigdy nie używała go w odniesieniu do mężczyzn.

- Wczoraj po południu, gdy wychodził, obserwowałam go ukradkiem. Patrzył w moją stronę. Może zabrzmiało to dziecinnie, ale nawet tak nikła oznaka zainteresowania dodała mi skrzydeł. Chociaż nie dałabym głowy za to, że rzeczywiście mu na mnie zależy, czuję przez skórę, że nie jestem mu całkiem obojętna. - Okropnie zawstydzona, zakryła usta ręką. - W moim wieku nie powinnam już przeżywać tego typu rozterek - dodała na koniec.

- Póki oddychasz, nie jest za późno na uczucia. Cudownie, że spotkałaś mężczyznę, przy którym krew zaczęła szybciej krążyć w żyłach.

- Kłopot w tym, że wybrałam niewłaściwy obiekt - westchnęła ciężko Carolyn.

- Niby dlaczego? Nie należy stawiać murów tam, gdzie potrzebne są mosty. Zaslugujesz na szczęście. Chwytaj je, bo i bez wznoszenia sztucznych barier trudno je znaleźć - przekonywała żarliwie Susanna, w pełni świadoma zahamowań przyjaciółki. Za wszelką cenę chciała pomóc jej przełamać opory.

- Sama nie wiem, co robić.

- Idź za głosem serca.

Carolyn przez chwilę przetrawiała jej słowa. Później jej twarz rozjaśnił nieśmiały uśmiech.

- Chyba spróbuję - wyszeptała zawstydzona.

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

W niedzielę rano Susanna i Chrissie zabrały Vivian do kościoła, do którego Susanna uczęszczała od dziecka. Znajomi je pozdrawiali, kilku uściskało Vivian.

Podczas kazania staruszka trzymała na kolanach Biblię. Pilnie śledziła tekst Ewangelii świętego Jana, wodząc palcem wzdłuż linijek, chociaż pastor czytał fragment Listu Jakuba. Susanna nie miała sumienia skorygować błędu.

Chrissie niecierpliwie wyczekiwała końca nabożeństwa. Ledwie organista zagrał melodię końcowego błogosławieństwa, pospieszyła ku wyjściu. Czekala przy samochodzie, aż mama z babcią opuszczą kościół.

Susanna odwiozła Vivian do Altamiry. Zaprowadziła ją na lunch do sali jadalnej. Ucieszyło ją, że matka wreszcie dołączyła do wspólnych posiłków w gronie pensjonariuszy. Do soboty jadała w swoim pokoju. Susanna podejrzewała, że przede wszystkim opłaty za dodatkową obsługę skłoniły ją do zmiany nawyków. Gdy wróciły do samochodu, Chrissie rzuciła matce niepewne spojrzenie.

- Nie przeszkadza ci, że wyjeżdżam na całe popołudnie? Troy chce mnie zabrać wraz z przyjaciółmi nad Jezioro Roosevelta. Chyba nie zaplanowałaś sprzątnięcia na niedzielę? - dodała pospiesznie, zanim matka zdążyła zgłosić obiekcje.

Zgodnie z jej przewidywaniami Susanna postanowiła sobie zrobić tego dnia wolne. Ponieważ późno wyjechały do kościoła, przypuszczała, że matka również zechce dłużej odpocząć. Później

zamierzała przedyskutować z nią kilka decyzji. Uważała to za swój obowiązek mimo kiepskiego stanu umysłu Vivian.

- Zgadzasz się, mamusiu? - natarczywy głos Chrissie wyrwał ją z zamyślenia.

- Jedź, jeśli koniecznie chcesz - mruknęła, nie kryjąc niechęci.

- Nie lubisz go. Jeszcze go nie poznałaś, a już mu przypięłaś etykietkę!

- Ależ Chrissie...

- Niedługo skończę dwadzieścia lat. Nie zamierzam zebrać o zezwolenie. Czy ci się to podoba czy nie, Troy przyjedzie po mnie za dwadzieścia minut.

Susanna nie rozumiała, po co córka wszczynała dyskusję, skoro sama podjęła decyzję. Prawdopodobnie narastał w niej wewnętrzny konflikt pomiędzy pragnieniem akceptacji a dążeniem do niezależności, typowy dylemat okresu dorastania, tyle że przeciągnięty w czasie.

Kilka minut później zdezelowana furgonetka Troya zaparkowała przed domem. Ledwie zdążył wysiąść, Chrissie popędziła na spotkanie jak na skrzydłach. Susanna obserwowała przez okno salonu ich powitanie. Troy objął dziewczynę w talii, przyciągnął do siebie. Po chwili silnik zaryczał tak głośno, że szyby w oknach zadrżały. Zostawił za sobą chmurę spalin. Susanna była przekonana, że córka prędzej czy później wpadnie przez tego człowieka w kłopoty. Woląca nie myśleć jakiego rodzaju.

Po wyjeździe Chrissie w domu zapanowała nienaturalna cisza. Aż dzwoniła w uszach. Susanna postanowiła wykorzystać na sprzątanie dwie godziny przed wyjazdem do Altamiry. Krążyła po domu w poszukiwaniu jakiegoś prostego, niemęczącego zajęcia. Gdyby Brian i Joe nie wyjechali na połów łososi, najchętniej by do nich zadzwoniła. Joe uznał jednak, że wspólna wyprawa scementuje więzi rodzinne.

Przyznawała mu rację. W podobny sposób postrzegała wspólne wakacje z córką. Przynajmniej do pewnego czasu. Obecnie nic nie wróżyło powodzenia. Od piątku Chrissie nie mówiła o niczym innym jak tylko o Troyu. Konkretnie występowała w roli adwokata. Broniła jak lwica jego dobrego imienia.

Wędrując przez hol, Susanna przystanąła w drzwiach gabinetu ojca. Stare, mahoniowe biurko z szafką na akta nadal czekało na uporządkowanie zawartości. Nie tknęła go od siedmiu miesięcy, od dnia pogrzebu. Uznała, że najwyższa pora w nim posprzątać.

Z ciężkim westchnieniem usiadła na krześle. Otworzyła górną szufladę. Wyjęła plik skoroszytów o różnorodnej zawartości, ułożonej w porządku alfabetycznym. W jednej z teczek znalazła nieaktualne kwity hipoteczne. Mimo że dom został spleacony dawno temu, George Leary zachował na wszelki wypadek wszystkie dowody spłaty rat. Susanna nie wątpiła, że wcześniej czy później trafi na komplet czeków bankowych z ostatnich czterdziestu lat, ułożonych w chronologicznym porządku i opatrzonych datami. Za pomocą niszczarki, którą kupili mu kiedyś z Joem na Gwiazdkę, zaczęła likwidować jeden po drugim

nieaktualne dokumenty. Nie widziała powodu, żeby je nadal przechowywać.

Dopiero na dnie szuflady znalazła skoroszyt, który ją zaintrygował. Oznaczono go napisem Colville Natural Gas, podczas gdy dom nie posiadał ogrzewania na gaz ziemny. Intuicja podpowiedziała Susannie, że zawartość, zapewne niemająca nic wspólnego z nagłówkiem, raczej jej nie zachwyci. Pierwsze pismo, które wzięła do ręki, wyglądało jak list. Widniała na nim data: *styczeń 1973*. Gdy zerknęła na dół stronicy, aż zapało jej dech. Szybko przebiegła oczami tekst. Jej wzburzenie rosło z każdą linijką. W końcu nie wytrzymała napięcia. Wstała.

Ojciec zapłacił Allanowi Presleyowi za opuszczenie stanu Waszyngton wraz synem, Jakiem. W zamian za kwotę pięciu tysięcy dolarów pan Presley wyraził zgodę na przeprowadzkę na odległość co najmniej ośmiuset kilometrów od Colville. Przyjął gotówkę, złożył deklaratę, że ani on, ani syn nigdy nie wrócą do rodzinnego miasta.

Nawet trzymając w ręku dowód winy, Susannie trudno było uwierzyć, że powszechnie szanowany sędzia dopuścił się tak haniebnego czynu. Wykorzystał trudną sytuację materialną Presleyów. Jake wspominał o problemach finansowych, spowodowanych pociąganiem do alkoholu i brakiem stałego zajęcia ojca. Nic dziwnego, że George Leary bez trudu go przekupił.

Ponieważ nieszczęśnik przyjął pieniądze, jego syn uznał za swój obowiązek dotrzymać danego słowa. Wierzyła, że nie przestał jej



kochać, lecz poczucie honoru kazało mu zniknąć z jej życia, zgodnie z obietnicą.

Susanna ze wzburzenia bezwiednie zmięła w rękę koszmarny dokument. Zawsze przeczuwała, że za zniknięciem Jake'a kryje się jakaś mroczna tajemnica. Ojciec zrobił wszystko, by ich rozdzielić, począwszy od wysłania jej za ocean, a skończywszy na podłym przekupstwie. Nie obchodziły go uczucia jedynej córki ani innych osób. Jego okrucieństwo nawet teraz, po latach, doprowadzało Susannę do pasji.

Nie mogła usiedzieć na miejscu ani minuty dłużej. Wyprostowała pognieciony dokument, wsunęła do torebki i wybiegła na dwór. Zanim dojechała do Altamiry, emocje nieco opadły, lecz ból serca nie ustąpił. Miała nadzieję, że zastanie matkę wypoczętą. Zamierzała zadać jej kilka zasadniczych pytań. Prócz umowy odkryła jeszcze kilka dziwnych wyciągów z konta bankowego.

Ku jej zaskoczeniu drzwi do pokoju Vivian stały otworem. Odwiedziła ją inna pensjonariuszka.

- Zobacz, kto do mnie przyszedł, Susanno! - zawołała z ożywieniem na powitanie.

Susanna pozdrowiła nieznajomą. Miała nadzieję, że tym razem matka wybrała sobie lepszą przyjaciółkę niż Eve.

- Sally Mansfield - przedstawiła się starsza pani, mniej więcej w wieku Vivian.

Wyglądała jednak na znacznie bardziej zwawą, a na pewno bardziej świadomą.

- Znam Judy, kuzynkę pani matki z Kalifornii - wyjaśniła Sally. - Trzydzieści lat temu podróżowaliśmy z mężem po kraju samochodem z przyczepą. Pani rodzice wspaniale nas ugościli. Poznaliśmy ich kilka lat wcześniej, kiedy zwiedzali Kalifornię.

- To było w roku... - usiłowała sobie przypomnieć Vivian.

- Urodzenia twojego wnuka - podsunęła Sally.

- Tak, rzeczywiście. Tamtego lata pojechaliśmy z George'em do Kalifornii.

Susanna pamiętała tamtą wycieczkę. Nic dziwnego. Rodzice rzadko wyjeżdżali na wakacje. Prawdę mówiąc, po ich powrocie niezbyt uważnie słuchała relacji, zajęta opieką nad noworodkiem i niewiele starszą siostrzyczką.

- Polubiliśmy tę okolicę tak bardzo, że sprzedaliśmy posiadłość w Kalifornii, a kupiliśmy nową w stanie Waszyngton, trzydzieści parę kilometrów stąd - ciągnęła Sally. Nagle spoważniała. - Wstyd przyznać, ale urządzenie nowego domu, a potem liczne podróże zaabsorbowały nas tak bardzo, że zaniedbaliśmy kontakty towarzyskie. Gdy pięć lat temu Lloyd zmarł, okropnie doskwierała mi samotność. Dwa lata temu zamieszkałam w Altamirze. Spotkanie z pani matką sprawiło mi wielką radość.

- Mnie również - zapewniła Vivian z nieśmiałym uśmiechem.

- Sprawisz mi jeszcze większą przyjemność, jeżeli przyjdiesz dziś na lody do sali kominkowej - kusiła Sally, ściskając rękę Vivian.

- Za nic w świecie nie przepuszczę takiej okazji! - wykrzyknęła Vivian radośnie, kiwając głową.

Wyglądało na to, że matka przełamała opory i znalazła prawdziwą przyjaciółkę. Nie groziło jej już osamotnienie. Gawędziły we trójkę jeszcze kilka minut. Później Sally ziewnęła. Stwierdziła, że najwyższa pora na popołudniową drzemkę. Vivian doszła do tego samego wniosku. Susanna odprowadziła ją do drzwi.

- Dziękuję za pomoc. Mama bardzo potrzebuje bratniej duszy - szepnęła jej do ucha już w progu.

- Jak my wszyscy. - W oczach Sally rozbłysły wesole iskierki. - Bez obawy, dopilnuję, żeby było jej tu dobrze.

Susanna odetchnęła z ulgą. Podziękowaniom nie było końca. Gdy wreszcie wróciła do pokoju, matka siedziała w fotelu z podwiniętymi nogami, głową opartą na poduszce i zamkniętymi oczami.

- Zaraz cię zostawię w spokoju, mamusiu, ale najpierw chciałabym o coś zapytać.

Vivian powoli podniosła ciężkie powieki. Susanna wręczyła jej znaleziony dokument. Matka pobieżnie go przejrzała i zmarszczyła brwi.

- Co to takiego?

- Umowa pomiędzy ojcem a Allanem Presleyem.

- Tym piosenkarzem?

- Nie, ojcem mojego chłopaka. Tata zapłacił mu pięć tysięcy dolarów za wywiezienie Jake'a z Colville.

- George by nigdy czegoś takiego nie zrobił! - zaprotestowała Vivian, energicznie potrząsając głową.

- Przecież trzymasz w ręku niezbity dowód, mamusiu. Na dole widnieją podpisy ojca i pana Presleya.

Vivian zerknęła na datę.

- Olbrzymia suma jak na tamte czasy. Skąd ją wziął?

- Nie wiem.

- Rozsądnie gospodarował pieniędzmi. Zawsze był mądrym człowiekiem - stwierdziła Vivian z uznaniem.

- Przede wszystkim bezwzględnym i okrutnym. Gdybym wiedziała, co zrobił, znienawidziłabym go - odburknęła Susanna, daleka od zachwyty. Po chlebna uwaga matki rozdrażniła ją jeszcze bardziej. Po ostatnich odkryciach nie widziała w ojcu żadnych zalet. - Odebrał nam szansę na wspólną przyszłość. Zniszczył naszą miłość. Potraktował nas jak rzeczy, które można przestawiać według swego widzimisię! - Bardzo jej zależało, żeby matka zrozumiała powody jej rozgoryczenia.

- Jesteś załamana - przyznała matka ze smutkiem. Spuściła nogi na ziemię, pochyliła się ku córce. - Weź jednak pod uwagę, że jego postępowanie wyszło ci na dobre. Znalazłaś wspaniałego męża, urodziłaś dwoje pięknych dzieci.

- Równie dobrze mogłam wyjść za Jake'a. Pragnęłam go poślubić. On również mógł dać mi szczęście, gdyby ojciec nie zdusił naszej miłości w zarodku - zakończyła z ciężkim westchnieniem.

Kochała Joego, ale przyjęła jego oświadczenia tylko dlatego, że George Leary zamknął przed nią możliwość wkroczenia na drogę, którą sama sobie wybrała.

- Podejrzewasz mnie o współudział? - spytała Vivian. - Może i słusznie, ale po tylu latach nie potrafię sobie nic przypomnieć. Raczej mu nie pomagałam - dodała, już tylko do siebie. Nagle ożywiła się. - Wiesz co? Jeżeli mnie znów odwiedzi, wypytam o wszystkie szczegóły. George zawsze miał doskonałą pamięć. Na pewno mi opowie.

Serce podeszło Susannie do gardła. Nadludzkim wysiłkiem woli powstrzymała łzy.

## **ROZDZIAŁ OSIEMNASTY**

Niepokój Susanny rósł z każdą chwilą. Chrissie nie wróciła do dziewiątej. Zadzwoiła do Seattle. Nikt nie odebrał telefonu. Joe i Brian byli jeszcze na rybach. Zresztą nawet gdyby zastała męża, niewiele by pomógł na odległość. Mimo zdenerwowania zdawała sobie sprawę, że nie może nieustannie pilnować dorosłej dziewczyny, co wcale nie poprawiało jej nastroju. Oceniała córkę jako osobę niedojrzałą emocjonalnie. Dręczyły ją złe przeczucia. W dodatku znaleziona w biurku ojca umowa wciąż nie dawała jej spokoju. Potrzebowała bliskiego człowieka, kogoś, kto by wysłuchał ją i zrozumiał.

O wpół do dziesiątej zadzwoniła do Carolyn. Zapropozowała jej spotkanie w znanym już pubie. Carolyn bez pytania wyraziła zgodę. Widocznie wyczuła w jej głosie zdenerwowanie. Susanna sięgnęła do torebki po kluczyki do samochodu. Nie przejmowała się nawet tym, że Chrissie może wrócić podczas jej nieobecności.

Nawet lepiej, jeśli jej nie zastanie. Zasłużyła na nauczkę. Niech pozna na własnej skórze, co czuje człowiek, którego bliski nagle znika bez śladu. Jeśli tym razem ona trochę się pomartwi, prędzej zrozumie niepokój matki. Bez trudu znalazła miejsce na pustyni parkingu przed lokalem. Usiadła przy stole, zamówiła sobie dietetyczny napój. Kilka minut później dołączyła do niej Carolyn.

- Co się stało? - spytała bez wstępnych uprzejmości.

Susanna podała jej list. W krótkich słowach obwieściła, co zawiera.

- Pytałam mamy, czy o nim wiedziała - dodała na zakończenie. - Nic nie pamięta - westchnęła ciężko.

- Nie symuluje?

- Raczej nie. Przyrzekła, że gdy ojciec ją odwiedzi, przekaże mi jego relację co do słowa - wyznała Susanna.

Żal ściszał jej serce, że matka przestała odróżniać wytwory fantazji od rzeczywistości.

- O Boże! - jęknęła Carolyn, szczerze zatroskana.

- Nie pozostało mi nic innego, jak pochwalić ją za wspaniały pomysł. Zapewniłam, że z niecierpliwością czekam na wiadomość. Nie umiem z nią postępować. Tracę z nią kontakt.

- Pewnie ona również nie zawsze poznaje samą siebie - wtrąciła Carolyn.

Zamówiła u przechodzącej kelnerki kieliszek merlota. Susanna przyznała jej w duchu rację. W przebłyskach świadomości Vivian

zdawała sobie sprawę, że jej umysł nie pracuje już tak sprawnie jak dawniej. Najgorsze, że urojenia prześladowały ją coraz częściej.

- Nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo cierpię - zaszlochała. - Nie przypuszczałam, że ojciec jeszcze po śmierci może mnie zranić, a jednak nawet to nie zostało mi oszczędzone.

- Co teraz zrobisz?

- Nic. Nie cofnę przecież zegara. Co było, nie wróci. Od tamtych wydarzeń minęło ponad trzydzieści lat. - Nagle doznała olśnienia. Wstała z miejsca. - Spróbuję odszukać Jake'a - oświadczyła nieoczekiwanie.

Wstrząs, jakiego doznała, przełamał ostatnie zahamowania. Strach przestał ją wreszcie paraliżować. Odzyskała energię, by zrealizować pomysł, który chodził jej od miesięcy po głowie.

Carolyn nie podzielała jej zapału.

- Jesteś mężatką, a on pewnie żonaty - przypomniała. - Zastanów się, czy warto otwierać puszkę Pandory? Po co ci dodatkowy kłopot?

- Ponieważ jestem winna Jake'owi przeprosiny. To mój ojciec wykorzystał trudną sytuację finansową Allana Presleya, żeby nas rozdzielić. Tamten też nie lepszy. Przehandlował szczęście rodzonego syna za żywą gotówkę. Wyobrażasz sobie, ile w tamtych czasach znaczyła tak kolosalna suma dla nędzarza? A to nie jedyny czek, jaki mój ojciec podpisał. Przeglądając rachunki, wykryłam, że wielokrotnie podejmował z konta znaczne kwoty. Niestety w gotówce, co uniemożliwia prześledzenie, na co je przeznaczał - wyrzuciła z siebie jednym tchem cały tłumiony wcześniej żal.

Podejrzewała wprawdzie od dawna, że George Leary użył jakiegoś podstępu, żeby rozdzielić ją z ukochanym, jednak znalezienie dowodów winy załamało ją do reszty.

- Może inwestował? - podsunęła Carolyn.

- Z całą pewnością nie. Nie znalazłam żadnego śladu w papierach.

- Nie wydał na wakacje?

- Też nie. Rodzice rzadko podróżowali - zaprzeczyła z pełnym przekonaniem.

Poza wyprawą do Kalifornii nigdzie nie wyjeżdżali. Matka zaledwie kilka razy w życiu leciała samolotem. Susanna nie potrafiła odgadnąć, na jaki cel George Leary przeznaczał w tajemnicy pokaźne sumy. Nie spodziewała się wyjaśnienia od matki. Ojciec odsuwał ją od spraw finansowych. Wyznaczył jej rolę gospodyni domowej, pozbawił jakiegokolwiek wpływu na kształtowanie domowego budżetu. Ona z kolei z ulgą przyjęła zwolnienie od odpowiedzialności. Nie umiała nawet wypełnić blankietu czekowego.

Carolyn długo milczała.

- Wspomniałam kiedyś, że pewnego dnia ojciec wezwał mnie nagle do Colville - zaczęła z wahaniem.

- Tak, żeby przekazać ci zarządzanie przedsiębiorstwem.

- Między innymi. Ale to nie jedyny powód. Nietrudno odgadnąć, że małżeństwo moich rodziców nie należało do najszcześniejszych. Mama nigdy nie polubiła tych okolic. Czula się tu jak w pułapce. Została tylko dlatego, że nie miała dokąd pójść. Wszyscy, których kochała, zginęli podczas wojny. Ojciec uznał opiekę nad nią za swój



moralny obowiązek. Dokładał wszelkich starań, by zapewnić jej możliwie najlepsze życie. Jednak kiedy wyjechałam na studia... pokochał inną. Sekretarka, Lily, pracowała u niego dwadzieścia lat. Została jego kochanką.

Susanna nie od razu pojęła, w jakim celu Carolyn zdradza rodzinne sekrety. Nagle dostrzegła analogię.

- Sądzisz, że mój ojciec także miał... utrzymankę?

- To by wyjaśniało, gdzie znikwały pieniądze.

- Tysiące, wiele tysięcy dolarów - dodała Susanna.

Sugestia Carolyn powoli torowała sobie drogę do jej wyobraźni.

- Tata pokochał Lily całym sercem. Na łożu śmierci poprosił mnie, żebym się nią zaopiekowała.

- Nie do wiary! - wykrzyknęła Susanna.

- Nie było mi łatwo. Ponieważ jednak bardzo go kochałam, wyraziłam zgodę mimo wewnętrznych oporów. Z czasem pokochałam też Lily. Okazywała mi więcej macierzyńskich uczuć niż rodzona matka. Jestem pewna, że mama nigdy nie poznała prawdy. W każdym razie nie dała po sobie poznać, że wie o romansie. - Do oczu Carolyn napłynęły łzy. - Lily zmarła w ubiegłym roku. Pochowałam ją obok taty. Z pewnością oboje by sobie tego życzyli.

- A mamę?

- U jego drugiego boku.

Susanna nie bardzo potrafiła sobie wyobrazić zasadniczego sędziego Leary uwikłanego w romans, ale też nie mogła wykluczyć takiej możliwości. W gruncie rzeczy znała go bardzo słabo. Przez całe

lata podejrzewała, że rozdzielił ją z Jakiem podstępem, ale nawet jej przez głowę nie przemknęło, że posunął się do ordynarnego przekupstwa. Rozsadzała ją złość.

- Odnajdę Jake'a, choćby na przekór ojcu. Nie pozwolę, żeby mną rządził jeszcze zza grobu. Wpiszę nazwisko do wyszukiwarki. Muszą istnieć specjalne strony internetowe, poświęcone poszukiwaniu zaginionych.

- Powiesz Joemu?

Milczała. W zapale odgrzebywania przeszłości zapomniała o terażniejszości, a raczej udawała przed sobą, że problem nie istnieje. Zepchnęła na bok wszelką myśl o reakcji męża. Dzieliły ją od niego setki kilometrów, co nie zmieniało faktu, że nie byłby zachwycony jej pomysłem.

- Na razie nie ma sensu przysparzać mu zmartwień. Naświetlę mu całą historię dopiero wtedy, gdy odnajdę Jake'a.

- Chcesz poznać moją opinię?

Trudne pytanie. Z jednej strony była ciekawa punktu widzenia Carolyn, z drugiej - obawiała się tego, co może usłyszeć. Nie potrzebowała zdolności jasnowidzenia, żeby przewidzieć, że Carolyn poradzi jej, by dała sobie spokój, zanim zabrnę w ślepy zaułek. Susanna jednak nie zamierzała zawracać z raz obranej drogi. Pragnęła spojrzeć w oczy byłemu chłopakowi, przeprosić go za machinacje ojca.

- Próbujesz mnie powstrzymać?

- Nie, raczej przypomnieć, co przeżywałaś we Francji.

- Trudno zapomnieć rok, który odmienił moje życie - mruknęła Susanna.

- Wyglądałaś listów od Jake'a w nieskończoność. Na próżno. Schłaś z tęsknoty. Przez długie tygodnie wynajdowałaś wszelkie możliwe powody, dla których przestał pisać. A potem nagle zamilkłaś. Nie wspominałaś go więcej, jakby przestał cię obchodzić.

- Nadal mi na nim zależało, lecz po śmierci Douga wszystko inne straciło dla mnie znaczenie. Dopiero po powrocie zaczęłam rozpytywać o Jake'a. Nie uzyskałam żadnej informacji. Teraz wiadomo dlaczego.

Carolyn bez słowa potrząsnęła głową, jakby usiłowała przegnać przygnębiające wspomnienia.

- Obydwie pozostajemy pod wrażeniem naszego wieczoru szczerości z Sandy, Yvette i Lisa - stwierdziła po długiej chwili zadumy.

- Ty też?

- Postanowiłam... powiększyć rabaty kwiatowe przy domu - wyznała Carolyn nieśmiało, z rumieńcem na policzkach.

- Rozumiem, że zażyczyłaś sobie, żeby ten ogrodnik z firmy wykonał zlecenie - dokończyła za nią Susanna.

Carolyn spuściła oczy.

- Jutro po południu przedstawi mi kosztorys. Zdaję sobie sprawę, że to czyste szaleństwo, ale nie potrafię przestać o nim myśleć. Popatrz, zaczęłyśmy od pogawędki w gronie koleżanek ze szkoły. Ciekawe, na czym skończymy?

- Mnie od tygodni prześladowały natrętne wspomnienia związane z Jakiem, jeszcze zanim odkryłam tę obrzydliwą umowę. Muszę go odnaleźć. Kłopot w tym, że nie mam tu komputera.

- Skorzystaj z mojego - zaproponowała natychmiast Carolyn z ujmującą prostotą. - Pojedźmy do mnie. Wpiszę nazwisko do kilku wyszukiwarek. Zobaczymy, co z tego wyniknie.

W Susannę jakby nagle wstąpiły nowe siły.

- Już późno - przypomniała, ale tylko przez grzeczność.

- Nic nie szkodzi. Nie chodzę wcześniej spać.

Po zapłaceniu rachunku Susanna pojechała w ślad za Carolyn wąską, wiejską drogą. Wokół panowały nieprzeniknione ciemności, chmury przesłoniły księżyc. Jedynie latarenka na ganku błyszczała z daleka. Ciepły blask wlał w serce Susanny nieco otuchy. Carolyn otworzyła drzwi, wyłączyła alarm. Wprowadziła Susannę do jednej z dawnych sypialni, w której urządziła sobie biuro.

Ledwie zapaliła światło, niezwłocznie sięgnęła po mysz. Z niezwykłą wprawą wpisywała dane poszukiwanego do różnych internetowych wyszukiwarek. Susanna podziwiała jej umiejętności. Uczyła się wprawdzie obsługi komputera, ale rzadko korzystała z Internetu. Traktowała to urządzenie wyłącznie jak narzędzie pracy, w przeciwieństwie do syna, który spędzał całe popołudnia przed monitorem. Przysunęła sobie drugie krzesło. Z zapartym tchem śledziła poczynania Carolyn, zadowolona, że bardziej kompetentna osoba wyrecza ją w tej żmudnej pracy.

Po kilku minutach Carolyn wykrzyknęła:

- Mam!
  - Co takiego? - spytała ostrożnie Susanna.
  - Nie jestem pewna, czy to on, ale wspominałaś, że jego ojciec miał na imię Allan.
- Skinęła głową.
- Znalazłam Jacoba Allana Presleya. Brzmi obiecująco, nie uważasz?
  - O tak, bardzo. Całkiem możliwe, że Jake dostał drugie imię po ojcu.
  - Istnieje tylko jeden sposób, żeby to sprawdzić. Zadzwoń.
  - Teraz?
  - Możesz poczekać do rana - roześmiała się Carolyn.
- Susanna o mało nie spadła z krzesła z emocji. Spędziła całe lata na jałowych rozważaniach, a nawet jej przez myśl nie przeszło, że wystarczy kliknąć myszką, by uzyskać z pozoru nieosiągalną informację.

## **ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY**

Vivian obudziła się późnym popołudniem. Serce ciążyło jej jak głaz. Załamało ją przygnębienie Susanny. Nie potrafiła jej przekonać, że niezależnie od tego, co sobie wyobrażała, George za nic w świecie nie skrzywdziłby własnych dzieci. Musiało zajść jakieś nieporozumienie.

W pokoju panowały ciemności. Vivan usiadła na łóżku. Spróbowała odtworzyć w pamięci minione wydarzenia. Na próżno. Gdyby George ją odwiedził, poprosiłaby o wyjaśnienia. Niestety, nie przychodził. Czekala długo, ze wszystkich sił walcząc z sennością. Czemu zawiódł, kiedy najbardziej potrzebowała jego rady? Namówił ją przecież na przeprowadzkę, później złożył jeszcze jedną wizytę w domu.

Odrzuciła kołdrę, włożyła szlafrok. Wstała z wielkim trudem, omal nie straciła równowagi. W obecności rodziny nie używała laski, żeby nie martwić najbliższych, lecz teraz nikt jej nie widział. Wyjęła ją ze stojaka na parasole. Pokuśtykała do saloniku. Chciała zapalić światło, żeby George widział, że czeka, lecz nie znalazła wyłącznika. Usiadła w fotelu. Ciemność i cisza działały usypiająco. Z wysiłkiem unosiła ciężące powieki, póki nie opadła jej głowa.

Obudziła się. Serce mocno jej biło. Wytężyła umysł, żeby przypomnieć sobie, z jakiego powodu czeka na męża, jakiego rodzaju pomocy potrzebuje. Daremnie. Pamięć znów płatała jej figle. Dość długo trwało, nim uprzytomniła sobie, że chciała zapytać o coś w związku z Susanną. Jednak George jej nie odwiedził.

Nagle doznała olśnienia. George zawsze przychodził do domu, który opuściła. Niewykluczone, że zapomniał o przeprowadzce albo też nie znał adresu. Być może czekał tam na nią, zamartwiał się, gdzie znikła. Nie pozostało jej nic innego, jak tylko wyjść mu na spotkanie.

Wstała, opierając się na lasce, co kosztowało ją niemało trudu. Ciężko dyszała, powłóczyła nogami, jakby przywiązano do nich

ołowiane kule. Nie mogła ich podnieść. Przesuwała stopy z wielkim mozołem. Wreszcie, centymetr po centymetrze, dotarła do drzwi, otworzyła je, spojrzała w jedną, potem w drugą stronę. Nie rozpoznawała otoczenia. George byłby niepocieszony, gdyby widział, jak źle sobie radzi.

Tak szybko, jak mogła, wyszła na długi, słabo oświetlony korytarz, przypominający szpitalny. Chyba jednak nie trafiła do szpitala, nie nosiła przecież pidżamy. Personelu też nigdzie nie dostrzegła, co jeszcze o niczym nie świadczyło. Placówki medyczne w ramach oszczędności zwalniały pielęgniarki, zostawiając nieszczęsnych pacjentów na łasce losu. Nikt nie dbał o chorych. Powoli ruszyła korytarzem, wsparta na lasce. Mimo że nikogo nie dostrzegła w polu widzenia, nieoczekiwanie usłyszała za plecami głos:

- Wcześniej pani wstaje.

Przystanąła, odwróciła głowę. Zajrzała w otwarte drzwi świetlicy. Przy stole bilardowym stał starszy pan o dwóch kulach, jedną z nich oparł o stół. Nosił szlafrok, co wskazywało jednak na szpital, chociaż dość nietypowy.

- Kim pan jest?

- George - powiedział nieznajomy.

- Nieprawda! zaprotestowała gwałtownie, z oburzeniem. -  
Rozpoznałabym mojego męża. To nie pan.

- Pani też nie jest moją żoną, co nie zmienia faktu, że mam na imię George.

Vivian weszła do świetlicy.

- Właśnie go szukam.

George skinął głową. Wycelował końcem jednej z kul niczym kijem bilardowym w czarną piłeczkę. Z łatwością skierował ją prosto do kieszeni w rogu stołu.

- Dobry strzał - pochwaliła Vivian.

- Lata praktyki.

- Miło pana poznać, ale muszę pilnie odszukać męża - pożegnała go, po czym opuściła pokój.

- Powodzenia. - George pomachał jej kulą na pożegnanie.

Vivian ruszyła dalej korytarzem. Dotarła do dyżurki pielęgniarek, co utwierdziło ją w przekonaniu, że przebywa w szpitalu. Dobrze, że nikogo tam nie zastała. Przynajmniej nikt jej nie zatrzymywał. Wreszcie znalazła drzwi wejściowe, na szczęście dobrze oświetlone. Wsparta na lasce, szarpnęła za klamkę raz i drugi. Chociaż na przemian pchała i ciągnęła z całej siły, nie dała rady ich otworzyć.

- Zamykają je na noc na klucz - usłyszała za plecami głos George'a. Stał za nią, wsparty na kulach. - Do ósmej rano nikt nie może wejść ani wyjść.

- Okropność!

- Racja. Tak właśnie wyglądają tutejsze porządki.

- To skandal! Poskarżę się córce! - wykrzyknęła Vivian, oburzona do żywego, że ktoś śmie ją więzić.

- To nic nie da. Nie zmieni pani regulaminu. - George podszedł bliżej. - Czemu wyszła pani z pokoju? Cierpi pani na bezsenność?



- Obiecałam córce, że porozmawiam z George'em. Rozczaruję ją, jeśli go nie odnajdę - przyznała Vivian z zażenowaniem.

- Mogę go zastąpić. Umieję słuchać. Równie dobrze może pani mnie powierzyć swe troski. Poza tym również mam na imię George. Jeśli razem przedyskutujemy problem, nie zawiedzie jej pani, ale i nie okłamię.

- Sama nie wiem... - wymamrotała.

Bardzo pragnęła pocieszyć Susannę. Niestety nie pamiętała, co konkretnie ją trapiło. W każdym razie nie sądziła, żeby relacja ze spotkania z jakimś obcym George'em poprawiła jej nastrój.

- Czy ja już pana gdzieś spotkałam? - spytała nieśmiało.

Przypuszczała, że tak. Poznała przez lata tak wiele ludzi, że trudno było wszystkich spamiętać.

- Do dzisiaj nie. Jadam u siebie w pokoju. Jest pani nowa, prawda?

- Stosunkowo - odrzekła ostrożnie.

- No to pogadajmy - zaproponował.

Wskazał końcem kuli przytulne pomieszczenie z kominkiem, krzesłami, sofą, pianinem w rogu i biblioteczką po przeciwnej stronie.

- Czy to w czymś pomoże?

- Niewykluczone.

Vivian doszła do wniosku, że nie ma wiele do stracenia. Nie pozostało jej nic innego, jak przyjąć propozycję. Ciężko powłóczę nogami, weszła do środka. Opadła na miękki fotel obok kominka.

George odsunął końcem kuli poduszkę z sąsiedniego fotela, po czym zajął miejsce.

- Od kiedy pani tu mieszka?

- Trudno powiedzieć. Córka zmusiła mnie do przeprowadzki. - Vivian pokręciła głową z dezaprobatą. - Nie chciałam opuszczać domu, ale George ją poparł.

- Gdzie teraz jest?

- Na cmentarzu Calvary.

Nowy znajomy pochylił się ku niej. Wbił w nią zdumione spojrzenie.

- Czy to znaczy, że umarł?

- Tak, ale mnie odwiedza. - Zamilkła.

Natych-miast pożałowała ostatniego wyznania. Niewielu osobom zdradziła swój sekret, w obawie by nie posądzono jej o chorobę umysłową. Czowała, że pod wpływem emocji popełniła poważny błąd.

- Rozumiem. - George obserwował bacznie jej twarz spod przymkniętych powiek. - Czy zawsze przybywa na wezwanie?

- Niestety nie. Tylko wtedy, kiedy może. Za życia zrobił coś, co sprawiło przykrość mojej córce. Ona do tej pory cierpi z tego powodu. Obiecałam jej, że poproszę go o wyjaśnienia, ale nie przybył, co bardzo mnie martwi. Teraz Susanna będzie miała do niego jeszcze większy żal - zakończyła z ociąganiem, zażenowana, że ujawnia nieznajomemu wstydliwe problemy rodzinne.

- Dlaczego ją skrzywdził? - dociekał George. - Czyżby jej nie kochał?

- Nic podobnego! - wykrzyknęła. - Świata za dziećmi nie widział. Nigdy nie doszedł do siebie po śmierci syna. Nasze wzajemne stosunki też się zmieniły - zakończyła ze łzami w oczach.

- Bardzo pani współczuję. A teraz proszę słuchać uważnie: powie pani córce, że rozmawiała z George'em. Nie skłamię pani. Proszę ją zapewnić, że ojciec działał wyłącznie dla jej dobra.

- Jest pan pewny? - zaszlochała Vivian. Ostatnie zdanie dodało jej nieco otuchy. Rozpaczliwie potrzebowała pocieszenia.

- Oczywiście - zapewnił z całą mocą. - Przekáže jej pani moje słowa?

- Zgoda - wyszeptała wyschniętymi wargami.

Świetnie. - George posłał jej uśmiech triumfu.

- A teraz pora wracać do pokojów. Trzeba trochę odpocząć.

Vivian nie protestowała. George naprawdę ją uspokoił. Była pewna, że Susanna również dozna ukojenia, kiedy dowie się o tej rozmowie.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY**

W poniedziałek rano, zaraz po pierwszej filiżance kawy, Susanna z duszą na ramieniu podeszła do telefonu. Drżącymi rękami wybrała numer, który Carolyn wydrukowała z Internetu. Po niecałej minucie wiedziała już, że Jacob Allan Presley nie jest jej byłym ukochanym. Emerytowany telefonista z Teksasu poinformował ją, że w jego stanie mieszka niezliczona liczba Presleyów. Na koniec życzył powodzenia.

Całkiem słusznie. Odkładając słuchawkę, stwierdziła, że rzeczywiście będzie potrzebowała wiele szczęścia, by osiągnąć wytyczony cel.

Chrissie weszła w kusej piżamce do kuchni. Bez zastanowienia sięgnęła po jeden z niezapakowanych dzbanków do kawy. Następnie obrzuciła matkę badawczym spojrzeniem.

- Skąd ta ponura mina?

Susanna nie odpowiedziała. Zaciśnęła dłonie na kubku z kawą, jakby chwyciła koło ratunkowe. Zaczynała dzień w podłym nastroju, w dodatku nic nie zapowiadało korzystnej zmiany.

- Troy zaprosił mnie na dziś rano na przejażdżkę do Spokane - oznajmiła Chrissie.

Wyciągnęła z lodówki kartonik śmietany. Dolała sobie trochę do kawy, unikając wzroku matki. Susanna zaciśnęła zęby. Nie powstrzymała jednak cichego jęku. Miała ochotę zapytać: „Znowu?”, ale nic by to nie dało. Córka nie pytała nawet o pozwolenie, stawiała ją przed faktem dokonanym.

- O której wróciłaś wczoraj wieczorem?

Natychmiast pożałowała tego pytania.

- Nie jestem już dzieckiem - odburknęła Chrissie.

- Podobno przyjechałaś mi pomagać - przypomniała Susanna.

- Robię, co do mnie należy - mruknęła Chrissie z kwaśną miną i opuściła kuchnię.

Nie ulegało wątpliwości, że agresywnym zachowaniem maskuje poczucie winy. Susanna wołała nie dociekać jego przyczyn. Przeczuwała, że nowa znajomość nie wyjdzie córce na dobre.

Posiedziała jeszcze w kuchni, żeby ochłonać i zebrać myśli. Kilka minut później zapukała do sypialni Chrissie. Odpowiedziała jej cisza. Nacisnęła klamkę. Zastała córkę na łóżku. Leżała ze skrzyżowanymi nogami, patrząc tępo w sufit. Nawet nie odwróciła głowy w jej stronę. Susanna przystanęła w progu. Oparła plecy o futrynę.

- Co ci jest?

- A co ma być? - warknęła Chrissie, odwracając wzrok.

Susanna wzruszyła ramionami.

- Od samego rana szukasz zaczepki. To do ciebie niepodobne.

- A ty od samego rana wszczynasz dochodzenie. Przykro mi, że nie lubisz Troya, ale mnie się podoba bardziej niż ktokolwiek inny. To prawdziwy mężczyzna. Mam serdecznie dość chłopaczków.

Susanna tylko w jednej kwestii przyznawała córce rację: Troy rzeczywiście w niczym nie przypominał młodzieńczego, układnego Jasona O'Donnella. Być może właśnie dlatego jego zainteresowanie pochlebiało dziewczynie, zwłaszcza po niedawnym zawodzie miłosnym. Szukała odpowiednich słów, by w dyplomatyczny sposób przestrzec córkę, żeby nie wpadała pochopnie z deszczu pod rynnę. Zanim zdążyła sformułować zdanie, Chrissie przystąpiła do ataku:

- Chyba nie zamierzasz mi robić trudności?

Susannie nie pozostało nic innego, jak tylko wyrazić zgodę, żeby nie zaostrzać konfliktu. Najchętniej zabroniłaby jej udziału w tej eskapadzie. Nie podzielała opinii Joego, że Chrissie dojrzała do decydowania o sobie, lecz pośród wszystkich problemów, które

ostatnio na nią spadły, zabrakło jej sił do walki. Mimo wszystko podjęła jeszcze jedną próbę przemówienia jej do rozsądku.

- Jesteś pewna, że tego właśnie chcesz?

- Tak - potwierdziła Chrissie natychmiast. - Wcale nie dlatego, że Jason mnie porzucił. Ten chłoptaş nie dorasta Troyowi do pięt. Nie próbuj mnie zatrzymywać. Ten wyjazd to najprzyjemniejsza rzecz, jaka mnie tego lata spotyka. Potrzebuję rozrywki.

Susanna nie pojmowała, jak to możliwe, że dorosła osoba poszukuje wyłącznie przyjemności. Przewidywała, że córkę czeka gorzkie rozczarowanie, gdy wreszcie zrozumie, że życie to nie zabawa.

- Zresztą niewiele ze mnie pożytku przy pakowaniu - dodała Chrissie już bardziej pojednawczym tonem, jakby na usprawiedliwienie.

Susanna bez słowa wyszła z pokoju. Wzięła szybki prysznic, umyła i wysuszyła włosy, włożyła świeże ubranie. Gdy nieco ochłoneła, nabrała sił do dalszej dyskusji. Za późno. Chrissie zdążyła już opuścić dom, co przepełniło czarę goryczy.

O wpół do dziesiątej zadzwoniła Carolyn.

- Czy to on? - spytała niecierpliwie po krótkim powitaniu.

Jej entuzjazm zaskoczył Susannę. Pozostawał w sprzeczności z wcześniejszą rezerwą.

- Nie.

- W domu niewiele już zdążę zrobić, ale jeśli wpadniesz do tartaku, poszukamy dalej w Internecie w moim biurze.

- Wspaniale. Jeżeli dopisze mi szczęście, może zobaczę wreszcie tego twojego ogrodnika. Wspominałaś, że ma kosić trawnik wokół zakładu - zagadnęła figlarnie Susanna.

- Wykluczone - odparła Carolyn twardo.

- W takim razie przyjadę za godzinę - powiedziała Susanna.

W jej sercu ponownie rozbłysła iskierka nadziei. Odeszła od telefonu niemalże tanecznym krokiem. W pośpiechu połknęła grzanekę, po czym wyruszyła w drogę do Altamiry.

Zastała Vivian senną i zmęczoną. Uparcie twierdziła, że rozmawiała z George'em w środku nocy. Przez dziesięć minut w kółko powtarzała jego zapewnienia, że kierował się wyłącznie dobrem córki. Gdy Susanna ruszyła ku wyjściu, pożegnała ją z wyraźną ulgą. Zaniepokojona stanem jej umysłu Susanna podążyła prosto do dyżurki, by poinformować pielęgniarkę, że matka znów ma halucynacje.

Po opuszczeniu domu opieki pojechała prosto do tartaku. Zaparkowała tuż obok terenowego samochodu Carolyn, na wolnym miejscu dla gości. Kątem oka dostrzegła poobijaną furgonetkę, która właśnie odjeżdżała. Musiała należeć do owego tajemniczego ogrodnika. Wyteżyła wzrok, ale nie zdążyła zobaczyć kierowcy.

Carolyn czekała na nią w sekretariacie. Z zażenowaniem potwierdziła przypuszczenia Susanny. Ta z kolei nie powstrzymała ciekawości.

- Twierdziłaś, że go nie spotkam. Czyżby złożył ci nieplanowaną wizytę?

- Wpadł na chwilę, by dowiedzieć się o stan Grady'ego, tego, którego reanimował w zeszłym tygodniu. - Zaczepnęła powietrza. - Dzisiaj po południu przedstawi mi projekt nowej rabaty. Rozwazałam pomysł rozszerzenia ozdobnej części ogrodu - wyznała z ociąganiem.

Nagle gwałtownie wstała z krzesła. Zamknęła drzwi.

- Zależy ci na nim?

- Czy to widać?

- Nie, ale dobrze cię znam.

Carolyn wzięła głęboki oddech.

- Pewnie nazwiesz mnie tchórzem, ale po namyśle zdecydowałam nie dawać mu nowego zlecenia. Nie potrafię przełamać zahamowań.

Susanna posmutniała. Liczyła na to, że fascynacja tym mężczyzną pomoże przyjaciółce pokonać nieśmiałość.

Carolyn usiadła przy komputerze. Włączyła Internet, kliknęła ikonę drukarki.

- Wygospodarowałam kilka minut przed pracą. Znalazłam sześciu Jake'ów Presleyów.

- Aż sześciu?! - wykrzyknęła Susanna radośnie.

Nie zwiodła Carolyn. Przyjaciółka wyczuła w niej wewnętrzne napięcie. Wskazała jej krzesło. Przez chwilę obserwowała jej reakcję spod zmrużonych powiek.

- Nie wyglądasz na uszczęśliwioną - orzekła w końcu. - We Francji zawsze wiedziałam, kiedy coś cię dręczyło. Teraz też masz strapienie wypisane na twarzy.



- To prawda. Nic dziwnego. Zaczęłam dzień od utarczki z Chrissie - wyznała Susanna bez owijania w bawełnę. - Ten chłystek zabiera ją do Spokane. Chrissie chodzi za nim jak cień. Ale to nie wszystko. Przed przyjazdem do ciebie odwiedziłam mamę. Przysięgała, że rozmawiała z ojcem. Przekonywała, że za nic w świecie by mnie nie skrzywdził, że pozbył się Jake'a dla mojego dobra, z miłości do mnie.

- Poproś, żeby przekazał pozdrowienia moim rodzicom - zażartowała Carolyn.

- Bardzo zabawne odburknęła Susanna z chmurną miną.

- Wybacz, nie chciałam cię urazić. Nie kpię z twojej mamy. Kto wie, za ile lat nasz umysł zacznie szwankować?

Susanna uznała, że nie wypada dłużej zawracać głowy przyjaciółce w miejscu pracy.

- Chyba już pójdę.

Carolyn wręczyła jej wydrukowane adresy. Susanna podziękowała i wyszła. W jej głowie powstał właśnie alternatywny plan, którego na razie nie zdradzała. Była gotowa odszukać Jake'a za wszelką cenę, obojętnie jakim sposobem.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY**

Żaden z sześciu Jake'ów Presleyów, znalezionych przez Carolyn, nie pochodził z Colville. Przyjaciółki spędziły przy komputerze cały

poniedziałek i wtorek. Na próżno. Żadna z wyszukiwarek nie dostarczyła im pożądanej informacji.

W wolnym czasie Susanna porządkowała i odnotowywała wszystkie wyciągi bankowe ojca. Przynajmniej raz w roku, czasami częściej, podejmował mniejszą lub większą, ale zawsze dość pokaźną kwotę. Odkryła również, że regularnie wyjeżdżał z miasta na dzień lub dwa.

Matka wspominała o tych podróżach. Nazywał je służbowymi. Nie brzmiało to wiarygodnie. Założył bowiem dzienniczek, dość dziwnej treści, w którym zapisywał jedynie miasto oraz sumę pieniędzy, bez zaznaczenia, jaką sprawę załatwiał. Susanna szybko spostrzegła zbieżność dat podanych na blankietach i w dzienniku podróży. Wynotowała największe kwoty:

23.08.1973 - Dallas, Teksas - 13 000

2.03.1978 - San Francisco, Kalifornia - 15 000

22.10.1980 - Boise, Idaho - 10 000

19.04.1993 - Portland, Oregon - 12 000

Gdyby inwestował, jak sugerowała Carolyn, nie wypłacałby gotówki, tylko regulował płatności przelewem. Istniały natomiast dwa inne wyjaśnienia, które z każdym dniem wydawały jej się bardziej prawdopodobne. Opowieść o romansie ojca Carolyn przemówiła jej do wyobraźni. Nie wykluczała, że jej własny ojciec podróżował z kochanką. Usiłowała wprawdzie wmówić Carolyn, a zwłaszcza sobie, że niewiele ją to obchodzi, lecz nierozwiązana zagadka zaprzętała jej

umysł, przede wszystkim ze względu na matkę, która bezgranicznie ufała mężowi.

Gdy wstała w środę rano, nie zastała już Chrissie w domu. Znalazła tylko w kuchni kartkę opartą o dzbanek z herbatą. Napisała (co za niespodzianka!), że wychodzi z Troyem. W ciągu ostatniego tygodnia stanowili nierozłączną parę. Susanna doszła do wniosku, że najwyższy czas przedyskutować sytuację z mężem.

Zastała go w domu. Akurat jadł śniadanie. Poinformowała go o ostatnich odkryciach.

- Albo miał utrzymankę, albo ktoś go szantażował - stwierdziła na zakończenie.

- Znając jego charakter, nie sądzę, by uległ szantażyście.

Przekonał ją. Ten twardy człowiek z niezłomnymi zasadami nie tolerował najmniejszej słabości u innych, a tym bardziej u siebie. Trudno było z nim żyć, a jeszcze trudniej go rozszyfrować.

- Racja. Ja też jestem bardziej skłonna podejrzewać go o romans.

- Może po kryjomu uprawiał hazard? - podsunął Joe.

- W Boise, w Idaho? Mało prawdopodobne. Z początku brałam pod uwagę taką możliwość, ale po przeanalizowaniu trasy podróży stwierdziłam, że nie odwiedzał znanych centrów rozrywki. Nie bywał w Las Vegas ani w żadnym mieście słynącym z kasyn gry. Raczej wydawał na kobietę - upierała się.

- Chyba na siłę szukasz w nim wad. Nie sprawiał wrażenia kobieciarza.

- Ojciec Carolyn też nie - przypomniała. - Trzymam w ręku dowody, że coś ukrywał przed rodziną - dodała. - Mimo że obydwaj mężczyźni nie utrzymywali bliższych kontaktów, znali się dość dobrze, by wysłać córki do tej samej szkoły na drugiej półkuli. Równie dobrze mogło ich łączyć upodobanie do romansów na boku.

- Z całą pewnością, ale pewnie nigdy nie po znasz jego sekretów. Jeśli trzymał coś w tajemnicy, raczej nie prowadził dokumentacji. Po co ci to śledztwo? Mało masz problemów?

- Oj, całe mnóstwo! - jęknęła. Oparła się o ścianę, przeklinając skąpstwo ojca, połączone z niezwykle rozrzutnością. Żałował pieniędzy na podstawowe wygody, jak bezprzewodowy telefon, a szastał dziesiątkami tysięcy nie wiadomo na co. - Chrissie znowu gdzieś przepadła. Oczywiście z Troyem - dodała z goryczą.

- Odeślij ją do domu. Deklarowała chęć pomocy, a marnuje czas na głupoty. Skoro nie dotrzymuje słowa, niech natychmiast wraca.

- Rzecz w tym, że wywiera pozytywny wpływ na mamę.

Rzeczywiście, Chrissie każdego dnia wygospodarowywała sporo czasu na odwiedziny u babci. Vivian czekała na nią z utęsknieniem. Z dumą przedstawiała ją innym pensjonariuszom, przez co stopniowo przełamywała opory, nawiązywała znajomości.

- Susanno! - Głos Joego wyrwał ją z zadumy.

- Przepraszam. Myślałam o Chrissie. Nie lubię Troya, ale wierzę, że Chrissie wcześniej czy później sama zobaczy, co z niego za ziółko - wyjaśniła zgodnie z prawdziwymi odczuciami.

- A co poza tym? Nie było kolejnego włamania?

- Nie. Poinformowałabym cię przecież jak po przednim razem.

- Na pewno? Odnoszę wrażenie, że w tej sennej miejscinie dość wiele się dzieje. Może powinienem odwołać piątkowych pacjentów i odwiedzić was w weekend?

- Nie żartuj. Poradzę sobie. Chrissie też.

Joe obiecał zadzwonić wieczorem, po czym odłożył słuchawkę. Nie pocieszył Susanny.

Wyszła do ogrodu. Mimo nawału zajęć każdego dnia rezerwowała sobie trochę czasu na odpoczynek w uroczym, cichym zakątku. Kontakt z przyrodą działał na nią kojąco, podobnie jak na matkę. Przeszła między rzędami cebuli o kulistych kwiatostanach, przypominających gigantyczne dmuchawce.

Mieczyki cieszyły oko całą gamą barw, lilie napępiały powietrze odurzającą wonią. Usiadła na kamiennej ławeczce wśród róż. Uniosła twarz ku słońcu, zamknęła oczy. Kiedy je otworzyła, dostrzegła na sąsiednim podwórku Rachel Henderson. Trzymała na rękach kota imieniem Mr. Bojangles. Rozpieszczała pupila, pozwalając mu na wszystko.

Nic dziwnego. Podbił nawet serce Vivian. O ile często narzekała na sąsiadkę, o tyle nigdy nie powiedziała marnego słowa na urokliwego zwierzaka. Pani Henderson pokiwała jej ręką. Susanna powitała ją uśmiechem, nie nawiązała jednak rozmowy. Nie miała nastroju na pogawędkę. Na przeczystym niebie jasno świeciło słońce. Susanna postanowiła odwiedzić matkę, zanim skończy pakowanie, i zabrać ją na przechadzkę po ogrodach Altamiry.

W drodze do domu opieki pod wpływem impulsu skręciła w stronę cmentarza. Z niewiadomych przyczyn ruszyła prosto na grób brata. Do ojca żywiła zbyt wielką urazę, by oddawać mu cześć, zwłaszcza po ostatnich odkryciach. Już z daleka dostrzegła na płycie bukiet świeżych różyczek, podobny do poprzedniego, tyle że w pełnym rozkwicie. Tym razem były zastąpiono peoniami.

Susanna nie potrafiła odgadnąć, kto składa Dougowi hołd wiele lat po śmierci. Bardzo jej go brakowało, w ostatnich siedmiu miesiącach bardziej niż kiedykolwiek. Komuś innemu najwyraźniej też. Nie wykluczała, że ta sama osoba, prawdopodobnie była ukochana, dokonała włamania, żeby zdobyć po nim pamiątki. Susanna wyteżyła umysł. Usiłowała sobie przypomnieć imię dziewczyny, z którą chodził. Pauline?

Peggy? Nie, Patricia! Tak, z całą pewnością. Patricia Carney. Czyżby nadal nosiła w sercu żalobę? Wyglądało na to, że tak.

Godzinę później wracała do domu po krótkiej wizycie u matki. Zmęczona Vivian nie miała ochoty ani na pogawędkę, ani na spacer. Po powrocie Susanna przystąpiła do porządkowania kuchni i jadalni. Zapakowała sporo rzeczy w kartony, które wysłała dwoma zamówionymi samochodami do przechowalni.

Następnie zrobiła sobie przerwę na lunch, chociaż odkąd zaczęły ją prześladować cienie z przeszłości, nie dopisywał jej apetyt. Przygotowała sobie kanapkę z serem, po czym usiadła przy kuchennym stole, aby spokojnie rozważyć pomysł, który wpadł jej do głowy poprzedniego dnia w tartaku. Postanowiła mianowicie wynająć

detektywa. Przy braku zarówno doświadczenia, jak i danych jej dotychczasowe działania przypominały poszukiwanie igły w stogu siana. Nie widziała innego wyjścia, jak skorzystać z pomocy fachowca.

Otworzyła książkę telefoniczną. Przerzucała kartkę za kartką, póki nie trafiła na spis biur detektywistycznych. Jej uwagę przyciągnęło ogłoszenie na ćwierć strony w grubej ozdobnej ramce. Reklamowało usługi niejakiego Dirka Knighta. Susanna zdobyła się na odwagę, żeby wybrać ten numer. Pan Knight odebrał osobiście, co uznała za zły omen. Albo siedział za biurkiem z braku zleceń, albo nie stać go było na zatrudnienie sekretarki, albo też jedno i drugie. W każdym razie nie wzbudził jej zaufania. W dodatku szybka odpowiedź zbiła ją z tropu. Nie zostawił jej czasu na przygotowanie do rozmowy.

- Halo! - warknął, zniecierpliwiony długim milczeniem po drugiej stronie.

Susanna wzięła głęboki oddech.

- Chciałabym się dowiedzieć o możliwość odnalezienia pewnej osoby.

- Zaginionej?

- Niezupełnie. Znajomego sprzed trzydziestu lat.

- Sympatii ze szkoły?

- Hm...

- Krewnego?

- Kolegi z rodzinnego miasteczka. - Susanna podała parę szczegółów.

- Biorę tysiąc dolarów zaliczki.

Zaparło jej dech.

- Aż tysiąc? - jęknęła. - Nie, dziękuję, nie dysponuję taką sumą.

Odłożyła słuchawkę. Następnie kolejno wykreślała wyszczególnione na żółtych stronach numery. Po dwudziestu minutach wybrała panią Shirl Remington. Umówiła się z nią na trzecią po południu. Ona również zażądała zaliczki, jak każdy, co było do przewidzenia chociażby po przeczytaniu paru powieści kryminalnych.

Susannę nadal dręczyły wątpliwości, czy podjęła słuszną decyzję. Nie dopuściła ich jednak do głosu. Skoro już zawarła ustną umowę, co oznaczało zobowiązanie do zapłaty, rozsądek nakazywał skorzystać z zamówionej usługi.

Za dziesięć trzecia dotarła pod wskazany adres w eleganckiej dzielnicy willowej. Ruszyła w stronę agencji, mieszczącej się w prywatnym domu. Otworzyła jej wysoka, smukła kobieta w bardzo młodym wieku. Według oceny Susanny nie przekroczyła jeszcze trzydziestki. Zaprosiła ją do środka.

- Pani musi być Susanną - zagadnęła przyjaźnie na powitanie.

- Tak. - Okropnie zakłopotana Susanną skinęła głową, nie kryjąc zdenerwowania.

Pani detektyw przeprowadziła ją przez salon do biura za oszklonymi drzwiami. Susanna usiadła na samym brzeżku krzesła. Czekaając, aż właścicielka agencji zajmie miejsce za biurkiem, z nerwów bawiła się suwakiem torebki. Kobieta przygotowała pióro i



notatnik. Susanna przedstawiła sprawę tak spokojnie i rzeczowo, jak potrafiła. Za każdym razem gdy Shirl pochylała głowę, żeby zanotować jakieś dane, długie, brązowe włosy opadały jej na twarz. Raz po raz zakładała je za ucho, co niepomrotnie irytowało Susannę. Mogła je przecież upiąć lub związać w koński ogon.

- Nie zna pani przypadkiem numeru jego ubezpieczenia?

- Nie. - Susanna wyjęła z torebki dwie kartki, rozwinęła je i pchnęła w poprzek biurka. - Wraz z przyjaciółką znalazłyśmy w Internecie sześć osób o tym samym nazwisku. Żaden z wymienionych nie jest poszukiwaną osobą. Sprawdziłam to osobiście. Z każdym z nich rozmawiałam przez telefon.

- Doskonale - pochwaliła Shirl. - Nie warto wyważać otwartych drzwi.

Susanna odetchnęła z ulgą. Polubiła Shirl. Wyglądało na to, że zna swój fach. Po kilku kolejnych pytaniach pani detektyw odłożyła pióro.

- Czy mogłaby mi pani podać jakieś szczegóły, które pomogłyby zidentyfikować pani kolegę?

Susanna miała pustkę w głowie. Wyteżyła umysł. Nagle wydobyła z zakamarków pamięci coś, o czym dawno zapomniała.

- Mam! Jake w dzieciństwie przeszedł operację usunięcia łagodnego guza. Została po niej cienka blizna kilka centymetrów poniżej pępka, po lewej stronie. Bliżej środka - dodała nieco ciszej, straszliwie zawstydzona.

Jej policzki przybierały kolejno wszystkie możliwe odcienie purpury. Nietrudno było zgadnąć, w jakich okolicznościach oglądała ów znak szczególny. Na szczęście pani detektyw bez komentarza zanotowała informację. Dopiero później uniosła głowę. Zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami poprosiła o tysiąc dolarów zaliczki. Susanna z ciężkim sercem sięgnęła do torebki. Żaden z detektywów nie kiwnąłby małym palcem za mniejszą sumę. Nie pozostało jej nic innego, jak uregulować należność.

- Honoruje pani karty kredytowe? - spytała przez ściśnięte gardło.

- Oczywiście. - Shirl obdarzyła ją uprzejmym uśmiechem.

Susanna wręczyła jej kartonik. Pozostało jeszcze wytłumaczyć mężowi, na jaki cel przeznaczyła pieniądze.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI**

Carolyn została w tartaku do późnych godzin wieczornych. Robotnicy dawno wyłączyli maszyny i opuścili teren zakładu. Gdy po pracowitym dniu przebrzmiał ostatni gwizdek, w biurze zapanowała cisza. Carolyn została sama ze swoimi myślami. I tak już miało pozostać.

Stchórzyła. Zadzwoiła do Kettle Falls Landscaping i odwołała dodatkowe zlecenie dla Dave'a Langevina. Po długim namyśle uznała bowiem wszelkie próby nawiązania bliższej znajomości za czyste szaleństwo. Złe doświadczenia nauczyły ją ostrożności, nieudane

małżeństwo pozbawiło zaufania do mężczyzn, a przede wszystkim wiary w siebie.

Podobnie jak ojciec, wybrała na partnera życiowego nieodpowiednią osobę. Jednak w przeciwieństwie do niego nie szukała ponownie szczęścia. Zresztą jak by wyglądała właścicielka poważnego przedsiębiorstwa w parze z prostym ogrodnikiem? Istny mezalians, musiała przyznać. Żyjąc w małomiasteczkowej społeczności, musiała brać pod uwagę mentalność mieszkańców. Ze względu na dobre imię rodziny nie wolno jej było lekceważyć opinii publicznej. Związek z Dave'em zepsułby jej reputację. Nie potrzebowała takich komplikacji.

Zamiast wdawać się w zbędne rozważania, rozłożyła papiery na biurku. Ponieważ przed południem ciągle ktoś przeszkadzał w pracy, na ogół zostawała po godzinach dwa lub trzy popołudnia w tygodniu, by w spokoju nadrobić zaległości. Mogłaby wprawdzie przekazać część zadań asystentce, ale wolała osobiście pilnować interesu. Sprawdzała zamówienia, rachunki, stan sprzętu, poznawała problemy pracowników.

Tego wieczoru czas płynął jej wyjątkowo szybko. Została do ósmej. Później wyłączyła komputer, zabrała torebkę, zamknęła biuro na klucz, pokiwała na pożegnanie ochroniarzowi, Nolanowi, po czym ruszyła w stronę samochodu, rozkoszując się ciepłem letniego wieczoru. Lubiła lato. W końcu czerwca było widno do późna. Nie ciągnęło jej do domu. Postanowiła odwiedzić Susanne.

Po drodze minęła Nie Ma Go Tu, ulubiony lokal pracowników tartaku. Na parkingu stało zaledwie parę aut. Większość gości odjechała już do domu. Nagle dostrzegła poobijaną furgonetkę Dave'a Langevina. Serce Carolyn gwałtownie przyspieszyło. Z całą pewnością przekazano mu już, że zrezygnowała ze zlecenia na dodatkowe usługi. Zastanawiała się, czy bardzo go rozczarowała. Niemalże wbrew woli skręciła na parking przed pubem.

Następnych kilka minut spędziła w aucie, rozważając, co dalej robić. Serce kołatało, żołądek podszedł do gardła, ręce zwilgotniały, jakby stała przed największym dylematem w życiu: wejść czy nie wejść do pubu! Wreszcie nabrała powietrza w płuca, wysiadła i ruszyła ku drzwiom.

Przystanęła w progu. Minęło kilka sekund, nim oczy przywykły do ciemności. Przyciemnione szyby prawie nie przepuszczały promieni zachodzącego słońca. Dość długo stała bez ruchu, szukając wzrokiem Dave'a. Dostrzegła go bez trudu pośród nielicznych o tej porze gości. Siedział przy stoliku w rogu z kuflem piwa w ręku, oparty plecami o ścianę. Gdy uniósł głowę, na ułamek sekundy napotkała jego wzrok.

Powoli weszła do środka. Z grającej szafy płynęły dźwięki ballady. Kilku mężczyzn siedziało przy barze, trzech czy czterech innych grało w rzutki po przeciwnej stronie przy akompaniamencie głośnych okrzyków. Niezbyt trzeźwa para tuliła się na parkiecie.

Carolyn usiadła, nie odrywając oczu od Dave'a. Tęskniła za nim do bólu. Obudził w niej uśpioną kobiecość. Po miłosnym zawodzie

stłumiła wszelkie porywy serca. Wystarczyło jedno spojrzenie Dave'a Langevina, by na nowo odżyła. Niewiele o nim wiedziała. Zawsze uprzejmy, szarmancki, skąpił jednak informacji o sobie. Choć nigdy jej nawet nie dotknął, odbierała samo spojrzenie jak pieszczotę.

- Czym mogę służyć, kochaniutka? - spytała barmanka, która nie wiadomo kiedy nadeszła z tacą.

- Poproszę piwo, obojętnie jakie.

Potrzebowała pokrzepienia chłodnym napojem po długim, upalnym dniu. Liczyła na to, że zimne piwo pobudzi apetyt, co pozwoli jej zjeść kolację przed powrotem do domu. Dziewczyna wróciła z oszronionym kuflem. Gdy stawiała go na stole, trochę piany spłynęło na blat, Carolyn wypiała długi łyk. Smakowało tak wybornie, jak oczekiwała. Po wypiciu połowy zawartości odprężyła się nieco.

Obserwowała Dave'a bez żenady, co go wyraźnie krępowało. Posłał jej nieśmiały uśmiech, który rozgrzał jej serce. Bezwiednie odpowiedziała uśmiechem, zanim zawstydzona odwróciła wzrok. Po kilku minutach Dave wstał. Ruszył w jej kierunku. Carolyn zapało dech. Lecz on ją minął, podszedł do szafy grającej. Popłynęły z niej dźwięki tej samej ballady, którą słyszała, wchodząc do lokalu. Dopiero wtedy Carolyn zaczęła nieco spokojniej oddychać. W drodze powrotnej Dave na ułamek sekundy zatrzymał się przy jej stole, jakby zamierzał ją poprosić do tańca. Lecz nagle zmienił zamiar, tak jak ona w sprawie urządzenia nowej rabaty.

Przy trzeciej wolnej melodii postanowiła opuścić lokal. Popełniła błąd, wchodząc do środka. Zanim jednak zdążyła wykonać

jakikolwiek ruch, Dave wstał, nie odrywając od niej wzroku. Patrzyła zahipnotyzowana, jak zmierza w jej kierunku. Nawet gdyby jej życie od tego zależało, nie odwróciłaby wzroku. Reszta świata przestała dla niej istnieć. Dave wyciągnął ku niej rękę.

- Zatańczymy? - spytał półgłosem.

Na parkiecie nie było nikogo. Pijana para chyba już poszła do domu. Carolyn skinęła głową. Wstała. Gdy podała mu rękę, uśmiechnął się do niej. Poczula przyjemne ciepło w całym ciele. Walczyła ze sobą, by nie okazać, jak silne emocje przeżywa.

Dave bez słowa poprowadził ją na drugą stronę sali. Objął w pasie, przyciągnął do siebie. Carolyn otoczyła go ramionami. Serce biło jej jak oszalałe, gdy delikatnie kołysali się w rytm melodii. Stali niemalże bez ruchu, wpatrzeni w siebie, jakby ich ciała tworzyły jedną całość, jeden obwód elektryczny, naładowany drżącą pod skórą energią. Najmniejsza iskra groziła eksplozją namiętności, jeden zbyt szybki oddech mógł rozdmuchać żar. Carolyn zamknęła oczy, by nie wyczytał w nich pożądania. Pragnęła go rozpaczliwie. Siłą woli odparła pokusę, by przyciągnąć jego twarz i wessać się w upragnione usta.

Muzyka ucichła. Minęła co najmniej minuta, nim Dave opuścił rękę. Carolyn westchnęła głęboko. Gdy podziękował za taniec, nie była w stanie odpowiedzieć. Skinęła tylko głową. Odprowadził ją, odczekał, aż zajmie miejsce. Następnie podszedł do baru, uregulował rachunek, po czym opuścił lokal.

Carolyn położyła na stole dwudziestodolarowy banknot. Nie czekając na resztę, pospieszyła za nim. Nie od razu go dostrzegła. Słońce już zaszło, tylko słaby poblask rozświetlał horyzont. Wreszcie go ujrzała, już w otwartych drzwiach samochodu. Ruszyła w jego kierunku.

- Dave! - zawołała.

Nie przemyślała, co mu powie, wiedziała tylko, że nie może pozwolić mu odjechać. Nie odpowiedział, ale zaczekał. Carolyn podeszła, z każdym krokiem bardziej onieśmielona. Gdy znalazła się obok niego, całe skrepowanie minęło jak ręką odjął. Zapomniała o wstydzie, o wszystkich wcześniejszych obiekcjach, o reszcie świata. Pożerała go wzrokiem.

Widziała w jego oczach tę samą tęsknotę, jakąś bezmierną czułość. Żaden mężczyzna przed nim nie patrzył na nią w ten sposób, nawet mąż. Dave w milczeniu uniósł rękę. Dotknął jej policzka szorstkimi, stwardniałymi palcami. Zamknęła oczy, pochyliła głowę, pocierała twarz o wnętrze twardej dłoni. Chłonęła jego dotyk.

- Miałaś rację - powiedział schrypniętym z emocji głosem.

- W jakiej sprawie?

- Oboje wiemy, że zależało ci nie tylko na urządzeniu ogrodu. Dobrze, że przemyślałaś sprawę. Podjęłaś słuszną decyzję. Nigdzie nie zagrzałem miejsca. Nie wolno się przywiązywać do włóczęgi.

- Zmieniłam zdanie - wyszeptała z rumieńcem na policzkach i wzrokiem wbitym w ziemię.

- Niepotrzebnie. Doszedłem do wniosku, że lepiej, byśmy się nie spotykali - stwierdził z ciężkim westchnieniem.

- Naprawdę chcesz zdławić to uczucie w zarodku? - spytała bez ogródek.

- Bardzo mnie pociągasz, Carolyn, ale... nie chcę cię skrzywdzić - dokończył po chwili wahania. - Prowadzę koczowniczy tryb życia, często zmieniam miejsce zamieszkania. Wcześniej czy później zostałabyś sama, ze złamanym sercem.

- Przynajmniej poczułabym wreszcie, że je mam.

- Źle byś na tym wyszła. Nie chcę cię zranić - powtórzył.

- Mimo wszystko zaryzykuję. Tylko po to tu przyszłam... żeby cię zobaczyć - dodała.

Zaskoczyła ją własna śmiałość. Po raz pierwszy w życiu wykazała inicjatywę wobec mężczyzny.

Dave westchnął ciężko, jakby tego właśnie się obawiał.

- Ja również przyjechałem tu, ponieważ pomyślałem, że po pracy wstąpisz na piwo - wyznał. Carolyn nie powstrzymała uśmiechu. - Lepiej, żeby nas razem nie widywano. Jak cię widzą, tak cię piszą. Jestem zwykłym ogrodnikiem, a ty...

- Wiem, kim jestem - przerwała gwałtownie.

Wzruszyła ją jego troska, ale nie dbała już o opinię. Ludzkie gadanie straciło dla niej znaczenie.

Dave ze smutnym uśmiechem dotknął kciukiem jej ust. Carolyn uznała, że najwyższa pora wyciągnąć rękę po dar, który otrzymała od



losu. Przyznała rację Susannie: należy chwytać szczęście, póki trwa, bo niełatwo odnaleźć taki skarb jak odwzajemnione uczucie.

- Dziękuję za taniec - powiedział miękko Dave.

Pocałował ją w usta tak delikatnie, że ledwie dotknął jej warg. Później chciał wsiąść do auta, ale go powstrzymała.

- Odwiedź mnie w piątek po pracy.

Z początku wyglądało na to, że odmówi. Jednak po krótkim wahaniu jego twarz rozjaśnił ciepły uśmiech. Skinął głową.

Carolyn odstąpiła parę kroków do tyłu. Gdy odjeżdżał z parkingu, odprowadzała go wzrokiem, przerażona tym, co zrobiła.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI**

Susanna rozpoczęła poszukiwania byłej dziewczyny brata. Patricia Carney, obecnie Andersen, emerytowana pielęgniarka, mieszkała z rodziną w Kettle Falls. Mąż nadal pracował w państwowej służbie leśnej. Patricia pamiętała ją, chętnie też zaprosiła do siebie na pogawędkę. Susanna z entuzjazmem przyjęła zaproszenie. Potrzebowała nieco wytchnienia od codziennej monotonii, a przede wszystkim liczyła, że uzyska informacje, na których jej bardzo zależało.

Patricia w niczym nie przypominała dziewczyny, którą Susanna zapamiętała z lat młodości. Sporo przytyła, orzechowe włosy posiwiały. Po wymianie powitalnych czułości zaprowadziła ją do otoczonego krzewami róż patio.

- Sprawiałaś mi przemiłą niespodziankę! - wykrzyknęła, odsuwając dla Susanny krzesło przy stole z surowych, sosnowych desek, przykrytym obrusem w kratkę.

Stały na nim dzbanek z lemoniadą, dwie szklanki oraz taca, pełna ciepłych jeszcze ciasteczek z owsianej mąki. Patio otaczała bujna zieleń, krzewy bzu, derenia, szpalery lilii, peonii i róż. Na tyłach ogrodu urządzono duży warzywnik.

Na widok bujnego kwiecia serce Susanny przyspieszyło. Osoba, która zostawiała bukiety na grobie Douga, z pewnością miała stały dostęp do świeżych kwiatów. Nie rozumiała, czemu od razu nie pomyślała o Patricii. Chodziła z jej bratem od drugiej klasy liceum. Dwa lata starszy Doug zdał już maturę. Pracował jako cieśla u miejscowego przedsiębiorcy budowlanego. Ojciec życzył sobie, by skończył studia, lecz syn zawiódł jego nadzieje. Nie ciągnęło go do książek. Trwała wojna w Wietnamie. Chciał zaciągnąć się na ochotnika do wojska. George Leary nie wyraził na to zgody. Co za ironia losu! Gdyby poszedł na wojnę, być może pozostałby przy życiu.

- Właściwie głównie Tom zajmuje się ogrodem - wyrwał ją z zamyślenia głos Patricii.

Gospodyni naląła lemoniady do dwóch szklanek. Podsunęła Susannie tacę z ciasteczkami. Złożyła jej kondolencje z powodu śmierci ojca, spytała, co słyhać u mamy.

- Przypuszczam, że nie odwiedziłaś mnie po to, żeby poplotkować o rodzinie? - zagadnęła bez ogródek po wysłuchaniu krótkiej relacji.

Susanna była wdzięczna, że Patricia oszczędziła jej grzecznościowej pogawędki o wszystkim i o niczym. Od razu przystąpiła do rzeczy.

- O ile pamiętam, chodziłaś z moim bratem aż do jego śmierci?

Patricia posmutniała. Patrzyła w przestrzeń przed siebie pustym, niewidzącym wzrokiem.

- Doug był moją pierwszą wielką miłością. Jego śmierć złamała mi serce.

Susanna odstawiła szklanę. Bacznie obserwowała wyraz twarzy byłej dziewczyny brata. Później przeniosła wzrok na klomby róż i peonii.

- Zastałam na jego grobie bukiet świeżych kwiatów. Czy to ty je przyniosłaś?

- Nie. Chodzimy z Tomem na cmentarz jedynie w Święto Zmarłych, do rodziców. Grobu Douga nie odwiedziłam od dnia jego pogrzebu.

- Trudno uwierzyć - westchnęła ciężko Susanna.

- Przykro mi, że cię rozczarowałam. Nie miej do mnie żalu. Bardzo go kochałam, rozpaczałam po jego śmierci, lecz życie toczy się dalej. On umarł, ale ja nie. Po ukończeniu szkoły pielęgniarstwa wyszłam za Toma.

- Bardzo słusznie. Całe szczęście, że nie pojechałaś z nim tamtego wieczoru - zauważyła Susanna.

Tragiczny wypadek prócz najbliższej rodziny dotknął wiele innych osób. Szczerze wierzyła, że gdyby nie zginął, stworzyliby z Patricią szczęśliwy związek.

- Niewiele brakowało - wyznała Patricia. - Zamierzał mnie zabrać ze sobą. W ostatniej chwili odwołał zaproszenie. Miałam do niego wielki żal. Planowaliśmy to spotkanie od tygodni. Specjalnie przyjechałam na ten dzień do domu ze szkoły w Spokane. Nie kryłam rozgoryczenia. Doszło do ostrej wymiany zdań. Po wypadku dręczyły mnie straszliwe wyrzuty sumienia, że na niego nakrzyczałam. Potwornie cierpiałam. Jego śmierć zrujnowała mi życie.

- Wyobrażam sobie - westchnęła Susanna ze zrozumieniem.

- Mama stale powtarzała, że uratował mnie łut szczęścia. Gdyby Doug nie odwołał spotkania, prawdopodobnie rzeczywiście zginęłabym razem z nim. Wtedy jednak żałowałam, że śmierć nie zabrała nas razem. Nie chciałam bez niego żyć. Myślałam, że za niego wyjdę.

- Ja też nie - zapewniła Susanna. - Cóż, życie często nas zaskakuje.

Patricia zamilkła. Susanna odniosła wrażenie, że coś zataiła. Wyraźnie widziała, że walczy ze sobą, czy odkryć czy zdradzić jakieś dodatkowe szczegóły. Przeczowała, że chodzi o coś ważnego. Nie naciskała jednak, czekała, w nadziei że coś jeszcze usłyszy.

- Tamtego dnia bardzo mi zależało na spotkaniu z Dougiem - zaczęła Patricia po chwili wahania. - Gdy wyjechałam do szkoły pielęgniarstwa, odwiedzał mnie co najmniej dwa razy w tygodniu.

Prócz tego dzwonił co wieczór, później co drugi dzień, wreszcie, na krótko przed wypadkiem, zaledwie raz na tydzień. Czułam, że coś się zmieniło, że przestało mu na mnie zależeć. Zaniepokojona, rozpytywałam wśród znajomych, czy spotyka się z inną dziewczyną. Wszyscy twierdzili, że nie. Mimo niepewności pragnęłam wierzyć, że pozostał mi wierny. Byłam młoda, zakochana, naiwna, pogrążona w romantycznych marzeniach. Widziałam w nim ideał. Dopiero potem zaczęłam podejrzewać, że inna skradła mu serce. To by może wyjaśniało, kto kładzie kwiaty na jego grobie, bo na pewno nie ja.

Susannie trudno było uwierzyć, że Doug oszukiwał Patricie. Nie mogła jednak wykluczyć takiej możliwości. Przyznawała, że ona również idealizowała starszego brata. Ufała mu bezgranicznie, była przekonana, że łączy ich niezwykła więź. Zasięgała jego rady we wszystkich ważnych sprawach. Zanim wyjechała do Francji, obiecał, że dopilnuje, by jej związek z Jakiem szczęśliwie przetrwał próbę rozłąki.

- Nurtuje mnie jeszcze jedna sprawa. Wybacz, że o to pytam, ale chciałabym wiedzieć, czy Doug zdradził ci jakiś sekret ojca.

- Jakiego rodzaju? - wykrztusiła bezgranicznie zdumiona Patricia.

- Coś, co podawałoby w wątpliwość jego nienaganną opinię.

- Ależ skąd! Był przecież powszechnie szanowanym obywatelem, sędzią.

- Ale nie świętym. Miał wady, jak każdy z nas. Podczas porządkowania spuścizny po nim dokonałam paru zaskakujących odkryć. Bardzo cię proszę o jakiegokolwiek informacje, które

pomogłoby mi wyjaśnić przynajmniej niektóre zagadki z przeszłości związane z jego osobą.

- Doug nigdy o nim nie wspominał - zapewniła Patricia.

Susanna uwierzyła jej bez zastrzeżeń. Gdyby Doug wiedział o umowie pomiędzy Allanem Presleyem a George'em Learym, nigdy by mu nie wybaczył. Nawet gdyby zachował kompromitującą transakcję w tajemnicy, nie ukryłby przed zakochaną dziewczyną, że coś go trapi. Susanna westchnęła ciężko. Spotkał ją zawód. Liczyła na to, że po rozmowie z Patricia ułoży w jedną całość elementy łamigłówki sprzed lat, tymczasem miała jeszcze większy zamęt w głowie. Dopija lemoniadę, odstawiła szklanekę, podziękowała za gościnę. Patricia odprowadziła ją do samochodu.

- Słuchaj, jeśli wykryjesz, kto stawia kwiaty na grobie Douga, daj mi znać - poprosiła na koniec.

- Oczywiście - obiecała Susanna.

W drodze powrotnej postanowiła wpaść po zakupy do sklepu spożywczego, żeby uniknąć kolejnej wyprawy. Zaparkowała przed supermarketem Safeway. Już przed drzwiami poczuła na plecach czyjeś natarczywe spojrzenie. Odwróciwszy głowę, ujrzała za sobą dawną koleżankę z klasy, Sharon Nance, matkę Troya. Wyglądała na co najmniej sześćdziesiąt lat. Gruby makijaż nie maskował zmarszczek. Nosila dzinsową spódnicę do połowy uda, szkarłatny sweter i całe mnóstwo złotych łańcuszków na szyi. Palila papierosa.

- Cześć, Sharon - przywitała ją Susanna.

- Kogo ja widzę?! Susanna Leary, jeśli mnie wzrok nie myli.

- Obecnie Nelson - sprostowała Susanna.
- No dobra, nieważne - mruknęła Sharon ze znudzoną miną.
- Twój syn chodzi z moją córką - poinformowała Susanna tak spokojnie, jak potrafiła.

Usiłowała dyskretnie wybadać nastawienie Sharon, nie zdradzając własnego.

- Naprawdę? - Sharon uniosła brwi.

Susanna skinęła głową. Już żałowała, że nawiązała rozmowę. Podeszła do drzwi i wzięła wózek na zakupy. Sharon podążyła za nią, również biorąc wózek.

- Co robisz w tym mieście? - spytała.

Susanna zdradziła tylko tyle, że załatwia sprawy związane z umieszczeniem matki w domu opieki.

- Czyżby? - Sharon posłała jej krzywy uśmiech. - Myślałam, że tropisz Jake'a. Spotkałam niedawno Yvette. Twierdziła, że rozważasz możliwość odszukania go. Przypuszczała, że ja coś o nim wiem.

- Owszem, ten temat padł podczas wieczoru wspomnień - rzuciła mimochodem Susanna.

Nie zamierzała zaspokajać jej ciekawości. Sharon szła obok niej jak uprzykrzony cień.

- Chyba wiesz, że do mnie wrócił, kiedy wyjechałaś do tej swojej snobistycznej szkoły we Francji?

Susanna nie skomentowała złośliwej i według jej oceny kłamliwej uwagi. Nie uwierzyła w ani jedno słowo. Ruszyła szybko w kierunku stoiska z warzywami. Nie pozbyła się jej jednak. Sharon nie

odstępowała jej na krok. Dla pozorów wrzuciła od niechcienia do wózka główkę lodowej sałaty.

- Trudno go za to winić - ciągnęła uparcie. - Ty byłeś za oceanem, a ja tutaj, przy nim.

- W dodatku łatwo dostępna - rzuciła Susanna, nie kryjąc niesmaku.

- Zawsze wiedziałam, że do mnie wróci - oświadczyła Sharon z nieprzyjemnym, gardłowym śmiechem. - Ciebie traktował jak chwilową rozrywkę. Na mnie zależało mu naprawdę. Po twoim wyjeździe pokazał mi medalik ze świętym Krzysztofem, który mu dałaś.

Susanna dokładała wszelkich starań, by nie okazać wzburzenia. Zapomniała o medaliku. Trudno jej było przyjąć do wiadomości, że pokazał go rywalce, ale ostatecznie zdanie świadczyło o tym, że Sharon nie kłamie.

- Niedawno z nim rozmawiałam. Chyba mam jeszcze jego numer telefonu, jeśli ci na nim zależy - poinformowała Sharon od niechcienia, wciąż deptając Susannie po piętach.

Susanna zacisnęła palce na rączce wózka.

- Wpadnij kiedyś do gospody Na Rozdrożu. Spróbuję go dla ciebie odnaleźć - zakończyła Sharon na odchodnym, po czym znikła między rzędami półek.



## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Ledwie Susanna zdążyła wysiąść z samochodu, Chrissie wypadła z domu jak burza. Z rozwianymi włosami popędziła w dół po schodach na łeb, na szyję.

- Gdzie byłaś? - krzyknęła z daleka.

Ciekawe pytanie, zważywszy, że w ciągu ostatnich dwóch dni sama ani razu nie raczyła poinformować matki o celu swych rozlicznych wypadów. Susanna postanowiła odpłacić jej pięknym za nadobne. Weszła na ganek z zakupami w rękach.

- O której wróciłaś? - odpowiedziała pytaniem.

Przybrała chłodny, rzeczowy ton, powściągając emocje.

- Był do ciebie telefon - odbiła piłeczkę Chrissie.

- Od taty?

- Nie. Od prywatnego detektywa - wycedziła. Stanęła naprzeciwko matki. W jej oczach płonął gniew. - Kazałaś śledzić Troya! - wykrzyknęła w tonie oskarżenia.

- Nieprawda - zaprzeczyła Susanna.

Pożałowała, że sama nie wpadła na ten pomysł. Może kilka słów prawdy o ciemnych sprawkach Troya, przekazanych przez obcą osobę, dałoby Chrissie więcej do myślenia niż perswazja matki. Poza tym uświadomiła sobie, że prawdopodobnie wyrzuciła w błoto tysiąc dolarów. Skoro Sharon знаła numer telefonu Jake'a, wystarczyło przełknąć jeszcze jedno upokorzenie, co najwyżej wysłuchać paru złośliwych uwag, żeby go uzyskać.

Trochę uspokoiła Chrissie, nie na dłużej jednak niż dwie sekundy.

- W takim razie kogo?

- Ciebie to nie dotyczy - mruknęła Susanna, zła na siebie.

- Coś przede mną ukrywasz, mamó! - wykrzyknęła Chrissie jak rozkapryszona pięciolatka, której odmówiono dostępu do tajemnic dorosłych. - To nie w porządku. Po co wynajęłaś detektywa?

Susanna odstawiła torbę z zakupami na stół. Otworzyła lodówkę, włożyła do niej śmietanę i wyjęła wodę mineralną, żeby zyskać na czasie. Zamknąwszy drzwiczki, oparła się o nie plecami. Zmarszczyła brwi na widok sygnetu na łańcuszku na szyi córki. Pierścień z herbem uczelni prawniczej należał do jej ojca. Innych ozdób poza obrączką nie nosił.

- Skąd to wzięłaś?

- Znalazłam w jednej z szuflad. Ładny, prawda?

- To pamiątka po twoim dziadku.

- Mogę go nosić? - poprosiła Chrissie, dotykając pierścienia.

- Dobrze, tylko nie zgub. - Susanna odkręciła nakrętkę, upiła długi łyk wody. W końcu nie wytrzymała napięcia: - Co powiedziała pani detektyw?

- Najpierw wyjaśnij, o jaką sprawę chodzi.

- Ciebie to nie dotyczy - powtórzyła Susanna ponurym tonem. Spotkanie z Sharon do reszty popsuło jej nastrój. Największą przykrość sprawiła jej wiadomość, że Jake po jej wyjeździe do Francji wrócił do byłej dziewczyny. Nie wykluczała już, że to prawda. - Powtórz, proszę, jej słowa.

Chrissie stanęła naprzeciwko matki.

- No dobrze - westchnęła z rezygnacją. - Prosiła, żebyś oddzwoniła. Zaraz wyjeżdża z miasta. W razie gdybyś jej nie zastała, wyznaczyła ci spotkanie na wtorek po świętach, na drugą. - Posłała matce podejrzliwe spojrzenie. - Na pewno nie kazałaś śledzić Troya?

- Oczywiście, że nie. - Susanna sięgnęła po słuchawkę.

Dopiero córka przypomniała jej, że w poniedziałek przypada Dzień Niepodległości. Ruszyła w stronę telefonu, w nadziei że jeszcze złapie Shirl Remington. Nagle uświadomiła sobie, że jej wizytówka została w torebce. W wielkim pośpiechu zaczęła przekopywać jej zawartość.

- Gdzie byłaś tak długo? - dociekała dalej Chrissie, tym razem już znacznie łagodniejszym tonem.

- W Kettle Falls. - Susanna westchnęła ciężko.

- Po co?

- Odwiedziłam byłą dziewczynę mojego brata. Później wstąpiłam jeszcze na zakupy.

- Szukałaś kontaktu z dziewczyną wuja Douga w celach towarzyskich czy też z jakichś szczególnych powodów?

- Po prostu wpadłam z koleżeńską wizytą. A w ogóle co ma oznaczać to dochodzenie?

- Wolałabym wiedzieć, gdzie znikasz na całe dni.

Susanna wreszcie znalazła poszukiwaną wizytówkę. Zastygła na chwilę w bezruchu. Najchętniej odczekałaby, aż córka wyjdzie, ale

zważywszy jej niezwykle wprost zainteresowanie, mogła czekać do rana. Wolała nie ryzykować. Bez zwłoki wybrała numer.

- Opowiesz mi wszystko? - naciskała nieubłaganie Chrissie.

Susanna udała, że nie słyszy. Po wielu nieskończone długich sygnałach automatyczna sekretarka poprosiła o zostawienie wiadomości. Zawiedziona Susanna podała swoje dane. Zanim zdążyła dodać, że akceptuje wtorkowy termin, pani Remington podniosła słuchawkę.

- Zawróciłam sprzed drzwi. Właśnie wyjeżdżałam - poinformowała na wstępie.

- Czy odnalazła pani mojego... znajomego? - spytała Susanna.

Ostatnie słowo wymówiła pół głosem. Miała nadzieję, że pani detektyw od razu zaspokoi jej ciekawość.

- Uzyskałam pewne ciekawe informacje. Wolałabym przekazać je osobiście. To dość skomplikowana sprawa. Odpowiada pani wtorek?

- Musi - mruknęła Susanna. - Niewykluczone, że do tego czasu sama trafię na jakiś ślad.

- Doskonale. Wysłałam informatorów do Kanady.

Susanna gwałtownie uniosła głowę.

- Czy to znaczy, że Jake mieszkał w Kanadzie?

- Wyjaśnię wszystko w przyszłym tygodniu. Do zobaczenia - zakończyła pośpiesznie Shirl, po czym odłożyła słuchawkę.

- O co w tym wszystkim chodzi? Kogo poszukujecie za granicą? - nie dawała za wygraną Chrissie.

- Dowiem się wszystkiego we wtorek - odrzekła Susanna wymijająco. Targały nią silne emocje. Czuła, że jest bliska celu, przynajmniej chciała w to wierzyć.

- Ojciec nic o tym nie wie, prawda? - Chrissie nie spuszczała jej z oka. - Przynajmniej tak twierdził dzisiaj po południu.

- Wielkie dzięki za przysługę - warknęła Susanna, patrząc na córkę spode łba. Straciła panowanie nad sobą.

Chrissie zacisnęła zęby, jakby doznała wielkiej niesprawiedliwości.

- Wybacz, nie sądziłam, że moi rodzice miewają przed sobą sekrety. Najwyraźniej się myliłam. Ostatnio nie potrafisz wypowiedzieć jednego zdania, żeby nie wspomnieć ukochanego Jake'a. Nawet głuchy by usłyszał! Jake to, Jake tamto... Nie zapominaj, że jesteś mężatką! - wykrzyczała.

- Nie wrzeszcz tak - upomniała ją Susanna.

Policzki jej płonęły, wyrzuty sumienia nie dawały spokoju.

- Lepiej szybko dzwoń do taty, zamiast mnie strofować. Moim zdaniem zasługuje na odrobinę szczerości z twojej strony - dorzuciła Chrissie na odchodnym, po czym wybiegła do swojego pokoju.

Susanna sięgnęła po wodę mineralną. Ręce drżały jej tak bardzo, że ledwie doniosła ją do ust. Nie pozostało jej nic innego, jak posłuchać rady Chrissie. Odczekała jednak kilka minut, żeby nieco ochłonać. Serce biło jej jak oszalałe. Wcześniej czy później musiała wytłumaczyć, z jakiego powodu wydała tysiąc dolarów na detektywa.

Z ociąganiem wybrała numer gabinetu. Po cichu liczyła na to, że mąż właśnie przeprowadza skomplikowany zabieg, na przykład leczenie kanałowe zęba, i nie podejdzie do telefonu. Niestety spotkał ją zawód. Joe odebrał natychmiast. Właśnie czekał na kolejnego pacjenta. Nie miał nic lepszego do roboty, niż wylać na nią całe rozgoryczenie.

- Co się tam dzieje, do wszystkich diabłów?! - wykrzyknął na powitanie z wyrzutem. Musiała go rozsadzać złość. Prawie nigdy nie podnosił głosu.

- Dobry wieczór, Joe - mruknęła.

- Do rzeczy, Susanno. Mam tylko kilka minut.

- Wynajęłam panią detektyw, żeby odnalazła Jake'a Presleya - wyznała Susanna bez ogródek.

Wolała mieć najgorsze za sobą. Uznała, że próba jakiegokolwiek usprawiedliwienia jeszcze pogrzyźłaby ją w oczach męża.

Po drugiej stronie zapadła pełna wyrzutu cisza.

- Nie przyszło ci do głowy, żeby mnie uprzedzić? Jak byś się czuła, gdybym to ja poświęcił na poszukiwanie mojej dawnej miłości całą energię i mnóstwo pieniędzy? Otóż wyobraź sobie, że nie wydałem ani dolara, żeby ponownie nawiązać kontakt z Donna Terry - wypomniał na koniec z gorzką ironią. - Rozumiem, że zadawniony żal do ojca pchnął cię do badania przeszłości, ale moim zdaniem posunęłaś się za daleko.

- Chciałam tylko porozmawiać z Jakiem.

- Ale dlaczego za moimi plecami?

- No bo... zdawałam sobie sprawę, że nie byłbyś zachwycony. Chciałam ci oszczędzić przykrości.

- Jednym słowem, świadomie mnie oszukiwałaś. Czy nic dla ciebie nie znaczę?

- Wybacz, Joe. Popełniłam błąd. Gdybym przedstawiła ci swój pomysł, usiłowałbyś mnie od niego odwieść albo wzbudzić we mnie poczucie winy.

- Bardzo mi przykro, że nie stać cię na szczerłość wobec mnie - odparł, ignorując przeprosiny. - Czemu tak bardzo ci zależy na spotkaniu z byłym chłopakiem?

- Znasz już powody, sam je wymieniłeś - wykrztusiła z największym trudem. Wyznanie, że prawdopodobnie wyrzuciła w błoto te tysiąc dolarów, już nie przeszło jej przez gardło. Przewidywała bo wiem, że przepęłiłoby czarę goryczy.

- Zwróć uwagę, że on nie zadał sobie trudu, żeby nawiązać z tobą kontakt. Czy nic ci to nie mówi?

Dla Susanny nie miało to żadnego znaczenia. Była bowiem pewna, że poczucie honoru kazało Jake'owi dotrzymać danego przez ojca słowa. Znów zapadła złowroga cisza, niczym przed burzą.

- Rozmawiałaś z tą panią detektyw? - spytał Joe po długiej przerwie.

- Tak. Wyznaczyła mi spotkanie na wtorek.

- Pójdziesz?

- Chyba tak - przyznała z ociąganiem. - Wybacz, Joe. Nie odzyskam spokoju, póki nie ułożę w jedną całość elementów tej starej łamigłówki.

- Rób, jak uważasz, ale ja nie chcę więcej o tym słyszeć. Zrozumiałaś?

Zanim Susanna zdążyła odpowiedzieć, odłożył słuchawkę.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY**

Chrissie wyszła na ganek. Usiadła na najwyższym stopniu schodów, żeby w spokoju przeanalizować sytuację rodzinną. Nie wyglądała obiecująco. Małżeństwo rodziców najwyraźniej przeżywało kryzys. Już w dniu przyjazdu do Seattle wyczuła, że między mamą i tatą nie układa się tak dobrze jak dawniej.

A teraz mama przez dwadzieścia cztery godziny na dobę myślała o miłości z lat szkolnych. Praca jej nie szła, czas przeciekał przez palce, w domu panował taki sam rozgardiasz, jak w dniu jej przyjazdu. Nieustannie za to rozmawiała o Jake'u przez telefon z Carolyn Jakaś-tam, której Chrissie w życiu nie widziała.

Co gorsza, do zmartwienia o rodziców doszły własne troski. Zacisnęła palce na sygnecie dziadka. Troy był przeuroczy, ale - co stwierdziła ostatnio - również niebezpieczny. Każdego popołudnia zabierał ją do Spokane. Nie śmiała pytać w jakim celu, choć powoli nabierała podejrzeń.

Zawsze gdy wpadał, zwykle nie więcej niż na pięć minut, „z wizytą do przyjaciół”, zostawiał ją w samochodzie, po czym



natychmiast wracali do Colville. Za ledwie kilka razy zatrzymali się, żeby popływać w jeziorze Loon. Raz zaprosił ją na lody z ulicznej budki obok wypożyczalni kaset. Spędzali za to całe godziny u jego kolegów. Żaden z nich nie wyglądał na studenta. Mama pewnie zemdlałaby na ich widok.

Warkot silnika wyrwał ją z zamyślenia. Twarz Chrissie rozjaśnił szeroki uśmiech. Pędem pognęła do furki. Troy wystawił głowę przez okno, jak zwykle powitał ją bez troskim uśmiechem.

- Cześć, masz ochotę na przejażdżkę? - spytał od niechcienia, najwyraźniej pewien, że otrzyma twierdzącą odpowiedź.

- Jasne. - Okrążyła auto i wsiadła do środka.

- Dlaczego nie bierzesz torebki?

- Nie jest mi potrzebna.

- Akurat! Jeszcze nie widziałem, żeby kobieta wyszła choćby za próg z pustymi rękami.

- Lepiej już jedźmy - ponagliła.

Wołała zniknąć jak najprędzej. Gdyby wróciła, nie uniknęłyby dochodzenia, zwłaszcza jeśli matka spostrzegła, kto po nią przyjechał.

Troy roześmiał się gardłowo. Położył rękę na obnażonym udzie Chrissie, wsunął palce pod brzeg krótkich spodenek. Nie próbowała go powstrzymać.

- Zabierasz mnie do Spokane?

- Tym razem nie. Byłaś kiedyś w Northport?

- Nie.

Chrissie słyszała tę nazwę, ale nigdy nie widziała małego miasteczka przy granicy z Kanadą. Z radością powitała perspektywę obejrzenia nieznannej okolicy.

- Będzie wesoło, zobaczysz.

- Z tobą zawsze jest cudownie - westchnęła z zachwytem.

Oparła głowę o jego ramię.

Troy puścił komplement mimo uszu. Nacisnął pedał gazu i ruszył w drogę. Nie włączył, jak zwykle, głośnej muzyki, jakby wyczuł i uszanował jej nastrój. Na ogół odjeżdżał z rykiem silnika. Tym razem łagodnie włączył bieg. Wzruszyła ją jego troska.

- Masz przeze mnie kłopoty? - spytał już poza granicami miasta.

Chrissie pokręciła głową.

- Jak myślisz, dlaczego przyjechałam na lato do Colville? - odpowiedziała ostrożnie pytaniem, żeby wy badać jego nastawienie.

W obliczu konfliktu w rodzinie nie miała ochoty po wakacjach wracać do Seattle ani tym bardziej na uczelnię. Nie ciągnęło jej do nauki, a babcia jej potrzebowała. Wolałaby z nią zostać na stałe. Gdyby zamieszkała w jej domu, ominęłaby ją przykra konieczność spakowania całego dobytku na chybcika, w ciągu kilku tygodni. Dopilnowałaby wszystkiego, rozsądnie rozkładając w czasie poszczególne zadania.

Przede wszystkim zaś przebywałaby blisko Troya. Pragnęła utrzymać ten związek za wszelką cenę. Obdarzał ją czułością, zabierał na wycieczki, dostarczał rozrywek. Życie z nim było jedną nieprzerwaną imprezą.

- Chciałabyś ze mną żyć? - zapytał Troy prosto z mostu.

- Pomyślę o tym - odpowiedziała wymijająco.

Już sobie wyobrażała reakcję rodziców.

- Gdyby twój ojciec nas usłyszał, kazałby mnie aresztować.

- Już ci mówiłam, że mam prawie dwadzieścia jeden lat - skłamała bez zająknięcia, bez śladu wyrzutów sumienia. W końcu tylko odrobinę przesadziła.

- Trudno uwierzyć - zachichotał. - Na moje oko jeszcze nie skończyłaś osiemnastu.

- Przestań sobie kpić, nie jestem dzieckiem!

Troy pogłaskał ją po udzie, cały czas chichocząc. Chrissie nie powstrzymała ciekawości.

- Mieszkałeś już z jakąś dziewczyną?

- Z niejedną. Przeważnie dość krótko. - Oderwał wzrok od szosy. Zajrzał Chrissie głęboko w oczy. - Czuję, że z tobą to coś znacznie poważniejszego - dodał na widok jej niepewnej miny.

Chrissie zapało dech. Zahipnotyzował ją tym uwodzicielskim spojrzeniem. Zmysłowy ton głosu Troya podziałał jak balsam na jej zbolaną duszę. Serce topniało, gdy okazywał jej tyle czułości.

- Uszczęśliwiasz mnie - wyszeptała ze wzruszeniem.

- A ty mnie, małeńka - powiedział niskim, zmysłowym głosem.

Chrissie posłała mu uśmiech wdzięczności. Pogłaskała nagie ramię chłopaka. Zjechali z głównej szosy na mało uczęszczaną, boczną drogę. Troy zwolnił.

- Coś cię trapi - stwierdził.

- Skąd wiesz? - spytała, odwracając wzrok.
- Widzę smutek w twoich oczach.
- Moi rodzice ostatnio nie żyją w zgodzie - wyznała szczerze. Nie potrafiła nic przed nim ukryć. - Kiedy po mnie przyjechałeś, kłócili się przez telefon. Mama okłamała tatę.
- Bardzo na siebie wrzeszczeli?
- Nie, gorzej. Cedzili zdania przez zęby. Co chwila zapadało milczenie, jakby nie mieli sobie nic do powiedzenia.
- U mnie w domu konflikty wyglądały zupełnie inaczej. - Troy wykrzywił twarz w szyderczym uśmiechu. - Latały talerze, pięści szły w ruch. Niektórzy z tak zwanych wujów stosowali przemoc. Wielokrotnie uciekaliśmy w środku nocy, żeby uniknąć ciosów.
- Chrissie zaniemówiła ze zgrozy.
- Ejże, bez obawy, jakoś to przeżyłem. Przeszedłem wprawdzie twardą szkołę, ale to mnie tylko zahartowało.
- Nie przekonał Chrissie. Nadal patrzyła na niego rozszerzonymi z przerażenia oczami. Poznała wcześniej Sharon Nance. Nie wzbudziła jej zaufania. Nie wyobrażała sobie jednak, że jakakolwiek matka może narażać własne dziecko na tak wielkie cierpienia.
- Konflikt pomiędzy moimi rodzicami grozi rozwodem - wyznała. Do tej pory tylko słyszała o podobnych dramatach, teraz dotyczyły jej rodziny.
- Mojej mamie nigdy nie zależało na świadectwie ślubu. Zaszokowałem cię, co?

- Niespecjalnie. - Nie kłamała. Po tym, co wcześniej usłyszała, nic jej już nie dziwiło.

- Ojciec odszedł przed moim urodzeniem. Bękart spłodził bękartą  
- zakończył z gardłowym śmiechem.

- To nie jest śmieszne.

- Ale prawdziwe. Samo życie. - Uśmiech zgasł na jego ustach.

- Nie wyobrażam sobie dorastania bez ojca - wyszeptała Chrissie ze współczuciem.

Miała ochotę wziąć Troya w ramiona, utulić jak dziecko, ofiarować mu całą miłość, jakiej go pozbawiono w dzieciństwie.

- Nie lituj się nade mną. Samotność mi nie dokuczała, a już z pewnością nie brakowało w moim otoczeniu mężczyzn. Mama dwukrotnie wychodziła za mąż, zanim skończyłem piętnaście lat, a różnych wujków, którzy przychodzili i odchodzili, sam nie potrafię zliczyć. Żaden nie zagrzeł u nas miejsca. Nawiasem mówiąc, poznałem sporo ciekawych typów.

- Ależ to koszmar!

- A gdzie tam! Zdobyłem doświadczenie, stwardniałem, poczyniłem pouczające obserwacje. Przetrwam w każdych warunkach. Zawsze lądowałem na cztery łapy.

- A mama?

- W ostatecznym rozrachunku też. - Odwrócił wzrok. - Nie było jej lekko, ale przynajmniej zasmakowała prawdziwego życia.

- Chciałabym ją lepiej poznać.

Troy przez dłuższą chwilę rozważał jej słowa.

- Dobrze, ale jeszcze nie teraz - zdecydował w końcu.
- Czemu? Na co mamy czekać?
- Na razie nie wiem, czy przypadłabyś jej do gustu. Jesteś trochę zbyt... niewinna.
- To można zmienić. - Chrissie szturchnęła go łokciem w żebro. - Myślę, że do końca wakacji nauczysz mnie życia.
- Być może.

Chrissie zachichotała. Troy reprezentował zupełnie nowe, wręcz egzotyczne dla niej podejście do świata. Z bezwzględną szczerością opisywał brutalną walkę o byt, która uczyniła z niego prawdziwego mężczyznę. Dzięki niemu zrozumiała, że aby przetrwać w każdych okolicznościach, należy zachować dystans, niczego nie traktować zbyt serio.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY**

Susanna przez całe popołudnie dosłownie odchodziła od zmysłów ze zmartwienia. Chrissie nie zostawiła nawet kartki, dokąd wyjeżdża ani kiedy wróci. Wykorzystała kłótnię, żeby niepostrzeżenie wymknąć się z domu, nietrudno zgadnąć z kim. Jej ucieczka wyprowadziła Susanne z równowagi. Nawet nie zadzwoniła, choć miała telefon komórkowy.

Susanna przez godzinę chodziła z kąta w kąt, zastanawiając się, czemu Chrissie nie daje znaku życia. Wreszcie nie mogła już dłużej usiedzieć w domu. Z ciężkim sercem wyruszyła w drogę do Altamiry.

Zastała u matki Sally Mansfield oraz dwie inne koleżanki. Ponieważ nie chciała przeszkadzać w towarzyskim spotkaniu, wyszła po kilku minutach. Po powrocie zadzwoniła do Carolyn, w nadziei że namówi ją na spotkanie.

- Coś cię gnębi - stwierdziła przyjaciółka po kilku zaledwie zdaniach.

- O, tak. Miałam okropny dzień.

- No to przyjedź do mnie. Ponarzekamy razem, bo mnie też nic dzisiaj nie szło.

Pół godziny później Susanna skręciła w długą drogę dojazdową do posesji Carolyn. O zmierzchu okolica wyglądała jak z bajki. Tylko czekać, aż sarny przyjdą na trawnik przez sąsiednią łąkę. Kiedy indziej zatrzymałaby samochód, by podziwiać czarowny krajobraz otaczających wzgórz. Zazdrościła przyjaciółce, że mieszka w tak urokliwym zakątku. Tego dnia potrzebowała jednak przede wszystkim bratniej duszy.

Ponieważ drzwi frontowe stały otworem, zapukała krótko z grzeczności, po czym weszła do środka.

- Otworzyłam wino! - zawołała Carolyn z kuchni. - Chyba obydwie potrzebujemy czegoś mocniejszego niż mrożona herbata.

Susanna chętnie skorzystała z tej propozycji. Usiadła w klimatyzowanym salonie. Umieszczony pod sufitem wentylator nawiewał do środka chłodne powietrze. Gdyby została w Seattle, pewnie szykowałyby właśnie świąteczne przyjęcie. W Colville czekał

ją piknik w ogrodzie Altamiry w towarzystwie pensjonariuszy domu spokojnej starości.

Carolyn usiadła po drugiej stronie sofy. Susanna upiła łyk wina.

- Ty zaczynaj. Jakie przykrości cię dziś spotkały?

- Właściwie nic szczególnego nie zaszło, prócz paru irytujących drobiazgów, które od rana psuły mi humor. Wieczorem nie nastawiłam budzika, więc rano zasnęłam jak nigdy. Przyszłam do biura dość późno, a potem przez cały dzień wszystko szło jak po grudzie. Nakrzyczałam bez powodu na Jima, pozostali pracownicy na wszelki wypadek schodzili mi z drogi. Często zostaję w pracy dłużej, ale dzisiaj wyszłam zaraz po gwizdku na koniec zmiany. Pewnie cała załoga odetchnęła z ulgą.

- Czy to wszystko?

- Niezupełnie. Prócz tego podjęłam ważną decyzję.

- Dotyczącą Dave'a?

- Tak. Byłam z nim umówiona na dzisiaj. Niestety, wszystko zepsułam. Rzuciłam jakąś zgryźliwą uwagę, gdy plewił klomby. Po pracy znalazłam za wycieraczką samochodu kartkę. Zaproponował, byśmy odłożyli spotkanie na inny termin. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo byłam rozczarowana.

Wiadomość, że przyjaciółka wreszcie usłuchała głosu serca, podniosła Susannę na duchu.

- Tyle o mnie. Teraz kolej na ciebie.



Susanna nie wiedziała, od czego zacząć. Po namyśle przedstawiła na początek swój największy problem: niezdrową fascynację Chrissie Troyem Nance'em.

- Może porozmawiałabyś z jego matką?

Susanna wyobraziła sobie reakcję Chrissie na tego rodzaju ingerencję w jej prywatne sprawy, ale w tym momencie niewiele by ją obeszło, że rozgniewa córkę.

- Spotkałam Sharon w sklepie. Twierdzi, że zna numer telefonu Jake'a. Podobno wrócił do niej po moim wyjeździe do Francji.

- I ty w to wierzysz?

- Muszę. Pokazał jej medalik ze świętym Krzysztofem, który mu podarowałam. Ja o nim zapomniałam, ale ona nie. Natomiast o zażyłości Chrissie z Troyem usłyszała po raz pierwszy dopiero ode mnie.

- Nie do wiary! Strzeże synka jak oka w głowie. Jestem pewna, że wie, dokąd wyjechali.

Mimo że Susannę mdliło na samą myśl o ponownym spotkaniu z Sharon, nie widziała innego wyjścia. Sytuacja wymagała natychmiastowej interwencji.

- Ile lat ma ten Troy? - spytała.

- Około trzydziestu.

Susanna zmarszczyła brwi. Od razu uznała Troya za nieodpowiedniego partnera dla córki, teraz dowiedziała się również, że był dla niej zdecydowanie za stary. Uznała, że najwyższy czas

uświadomić Chrissie, jak fatalnie ulokowała uczucia. Aby ją przekonać, potrzebowała dodatkowych informacji.

- To jeszcze nie koniec kłopotów. Dzisiaj po południu pokłóciłam się z mężem.

- O co?

- Zataiłam przed nim, że wynajęłam detektywa. Popełniłam niewybaczalny błąd. Wyobrażam sobie, co czuł, gdy Chrissie mu wszystko wypaplała. Nawiasem mówiąc, doprowadziła mnie do pasji, ale przyznaję, że sama jestem sobie winna. Joe nie skrzyczał mnie tylko dlatego, że zadzwoniłam do gabinetu. Nie chciał robić przedstawienia przy asystentkach, ale nie krył rozżalenia.

- Pewnie nie rozumie, dlaczego tropisz byłego chłopaka.

- Żebym to ja sama wiedziała! Żałuję, że nie potrafię zapomnieć tej starej historii, ale za daleko zaszłam, żeby zawrócić w pół drogi. - Pochyliła głowę, przymknęła oczy. - Wstyd mi, że ranię uczucia Joego, który daje mi miłość, oparcie, stabilizację. To czyste szaleństwo z mojej strony. W pogoni za cieniami przeszłości ryzykuję, że stracę to, co najcenniejsze, a jednak wbrew rozsądkowi rozdrapuję dawno zabliznione rany. Umówiłam się na wtorek z panią detektyw. Obiecała dostarczyć mi paru ciekawych informacji. Twierdzi, że uzyskała je z Kanady.

- Wygląda na to, że trafiła na jakiś ślad. Co zrobisz, jeśli go faktycznie znalazła?

Susanna nie od razu odpowiedziała. Nie podjęła jeszcze decyzji. Przede wszystkim zamierzała przeprosić Jake'a za doznaną od jej ojca

krzywdę, przynajmniej oficjalnie. Oczywiście mogła wyrazić ubolewanie przez telefon, ale ponad wszystko pragnęła ponownie go zobaczyć. Na samą myśl o spotkaniu jej serce przyspieszało. Równocześnie gryzło ją sumienie, że rani uczucia Joego. W głębi duszy traktowała swoje zainteresowanie dawnym ukochanym jak zdradę małżeńską. Nic dziwnego, że Joe żywił do niej urazę. Zasługiwał na lojalność. Kłopot w tym, że brakowało jej siły woli, by przerwać poszukiwania. Co gorsza, wcale nie chciała ich zaprzestać.

- Susanno? - głos Carolyn wyrwał ją z zamyślenia.

- Sama nie wiem, co robić - wyznała. - Sytuacja mnie przerosła. Chrissie, Joe, Jake, Sharon... to za dużo jak na jeden dzień. A to jeszcze nie koniec. Pamiętasz Patricję Carney?

- Tak.

- Odwiedziłam ją dzisiaj. Chodziła z Dougiem w liceum.

- Powiedziała ci coś o nim?

- Tak. Podejrzewa, że miał kogoś innego. Tego wieczoru, kiedy zginął w wypadku, była z nim umówiona. W ostatniej chwili odwołał spotkanie. Obiecałam, że dam jej znać, jeśli czegoś się dowiem.

- O tej drugiej?

- Tak. Musiała istnieć. Ktoś nadal o nim pamięta, kładzie kwiaty na jego grobie. Jeszcze wczoraj dałabym głowę, że to Patricia, ale przysięgła, że nie ma z tym nic wspólnego.

- Nie kłamała - szepnęła Carolyn.

Wzięła kieliszek, wstała, wyszła do kuchni i dołała sobie wina. Susanna podążyła za nią.

- Czyżbyś znała nazwisko tej osoby?

Carolyn stanęła naprzeciwko niej. Schyliła głowę, wbiła wzrok w podłogę.

- Tak. To ja.

Susanna zaniemówiła z wrażenia.

- Co takiego? - wykrztusiła, gdy nieco ochłoneła.

- Korespondowaliśmy ze sobą. Doug poprosił mnie w liście, bym nad tobą czuwała i przekazywała mu wiadomości o tobie. Spełniłam jego życzenie. Zawsze odpisywał. Utrzymywaliśmy kontakt listowny.

- Nawet słówkiem o tym nie pisałaś! - wykrzyknęła Susanna z urazą.

Miała żal, że Carolyn zataiła przed nią korespondencję z jej własnym bratem, podczas gdy ona bez oporów otworzyła przed nią serce. Dopiero teraz przypomniła sobie, że Carolyn czekała w internacie na pocztę równie niecierpliwie jak ona. Wtedy, zakochana po uszy w Jake'u, zaabsorbowana bez reszty własnymi kłopotami, nie zwracała uwagi na nastroje przyjaciółki.

- Wybacz - szepnęła Carolyn z zażenowaniem. - Nie zamierzałam cię oszukiwać, ale Doug prosił mnie o zachowanie naszej korespondencji w tajemnicy. Uszanowałam jego życzenie. A potem sprawy zaszły za daleko. Zabrakło mi odwagi, by wyznać prawdę.

- Jaką? Czyżbyście pokochali się na odległość?

- Można to tak ująć. Pamiętasz, jak rozpaczałam, gdy zginął?

Susanna bezradnie pokręciła głową. W tamtych tragicznych chwilach za bardzo cierpiała, by dostrzec cudzy ból.

- W ostatnim liście napisał, że powie o nas Patricii. Tamtej nocy, gdy zginął, zamierzał z nią zerwać.

Wróciły razem do salonu. Ponownie zajęły miejsca na sofie.

- Nadal nosisz w sercu żalobę?

- Co kilka tygodni sprzątam grób rodziców. Przy okazji zanoszę po wiązance dla Douga i Lily. Nie przypuszczałam, że i ty odwiedzisz cmentarz.

- Czy Doug napisał ci, że Jake wrócił do Sharon?

- Nie, ale prawie nigdy o nim nie wspominał.

Susanna uważnie obserwowała jej mimikę.

- Coś przede mną ukrywasz.

- Dał mi niezbyt jasno do zrozumienia, że jest wściekły na Jake'a, jednak nigdy nie wyjaśnił o co.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY**

Vivian miała lepsze i gorsze dni. Ten akurat należał do wyjątkowo udanych. Przed przyjazdem córki i wnuczki częściej przeżywała kryzysy. Dokładała wszelkich starań, żeby ukryć przed rodziną złe samopoczucie. A później została zesłana do więzienia, szpitala czy czegoś w tym rodzaju. Szczerze mówiąc, nie miała powodów do narzekania. Odkąd wrócił apetyt, posiłki zaczęły jej smakować. Ich jakość znacznie się poprawiła od dnia jej przybycia. Właściwie nie bywała głodna, jadła głównie z rozsądku.

Załamano ją tylko odkrycie, że personel zamyka na noc drzwi wejściowe na klucz. George - nie mąż, tylko ten drugi - uspokoił ją, że to dla bezpieczeństwa, by żaden przestępca nie dostał się do środka. Przyznała mu rację, że to rozsądny pomysł. Świat jest pełen drani, którzy tylko patrzą, by okraść starą wdowę. Niestety zabezpieczenie przed kradzieżą miało również swoje złe strony. Zamykało drogę George'owi, jej mężowi. Nie wiedziała, czy duchy potrafią przenikać przez ściany, ale wszystko wskazywało, że raczej nie, ponieważ nie odwiedził jej w nowym miejscu, przynajmniej do dzisiaj.

Tego dnia, gdy zbudziła się po popołudniowej drzemce, ujrzała go przed sobą w nieoświetlonym pokoju. Sprawił jej wspaniałą niespodziankę. Omal nie oszalała ze szczęścia. Wyglądał cudownie. Od poprzedniej wizyty minęło tak dużo czasu, że straciła nadzieję na następną. Spytała, czemu potrzebował tak wielu tygodni, żeby ją odnaleźć. Nie odpowiedział. Widocznie nie mógł. Zresztą nieważne, grunt, że był przy niej.

Przez chwilę siedzieli naprzeciwko, patrząc na siebie nawzajem. Łzy napłynęły jej do oczu. Nawet bez słów wyczuwała bezmiar jego miłości. Kiedy trochę ochłonęła, przypomniała sobie, że Susanna żywiła o coś do niego urazę, niestety nadal nie pamiętała o co. Gdy spytała, jaką przykrość sprawił córce, zmarszczył tylko brwi i pokręcił głową. Natychmiast pożałowała, że wyciąga jakąś nieprzyjemną sprawę z przeszłości.

Mimo wszystko odwiedziny męża dodały Vivian skrzydeł. Z przyjemnością zjadła kolację w jadalni w towarzystwie Sally i innych

nowych koleżanek. Wczesnym popołudniem wypłyły razem herbatę, co od pewnego czasu weszło im w zwyczaj. Vivian bardzo polubiła te spotkania, czekała na nie niecierpliwie. Żałowała tylko, że nowy znajomy, imiennik męża, nie przychodzi do jadalni; nie zapomniała, że jadał w swoim pokoju. Spłaszczowała całą porcję łososa w cieście i w dodatku miseczkę sałatki. Zostawiła tylko ryż. Uznała, że może go sobie darować, z pożytkiem dla zdrowia. Nie przepadała za daniami mącznymi.

Wsparta laską, wyruszyła na poszukiwanie George'a. Nie wątpiła, że go zastanie w sali bilardowej. Nie doznała zawodu. Tak jak pierwszej nocy używał kuli inwalidzkiej w charakterze kija. Na jej widok podniósł wzrok.

- Właśnie zastanawiałem się, co porabiasz - oznajmił swym burkliwym głosem.

- No to teraz już wiesz.

- Co cię wprowadziło w taki dobry humor? - spytał.

- Mąż mnie odwiedził. Siedział u mnie dość długo.

- Nie zauważyłem go.

- Nic dziwnego. Przecież nie żyje. Tylko mnie się ukazuje.

- A, prawda! Pewnie nie mówi zbyt wiele?

- Jasne, że nie. Jest martwy.

George potarł policzek, jakby sprawdzał, czy wymaga golenia.

- Zdradził przynajmniej, po co przyszedł?

- Sądzę, że czuwa nade mną. Sprawdza, jak mi się wiedzie.

Sprawił mi wielką radość.

- Pytałaś, czym uraził córkę?

- Tak. Wygląda na to, że niewiele go to obchodzi.

- Sądzę, że ją dziś widziałem.

- Z całą pewnością. - Vivian podeszła do sofy. Poczula zmęczenie przydługą konwersacją na stojąco. Powoli opadła na miękkie poduszki. - Rzeczywiście tu była.

- Niezbyt długo. Po pięciu minutach już wracała.

- Zaraz, zaraz... - Vivian zmarszczyła brwi, wyteżyła umysł. Zaciśnęła obydwie ręce na lasce. - Ach, tak. Zastała u mnie koleżanki. A potem nie chciała przeszkadzać w popołudniowej drzemce.

- Spałaś po południu?

Vivian nie potrafiła sobie przypomnieć, czy rzeczywiście usnęła. Nie zdradziła jednak swych wątpliwości.

- Może wiesz, kto dba o moje róże?

- Na pewno nie ja.

- Nieważne. Spytałam pielęgniarkę, jak przyniesie lekarstwa.

- Dobra myśl.

Vivian spróbowała wstać. W ostatniej chwili zmieniła zamiar.

- Odnoszę wrażenie, że Susanne nadal coś trapi - oznajmiła.

- Może nie potrafi panować nad emocjami? Też coś! - prychnęła

Vivian z oburzeniem.

- Uważasz moją córkę za osobę niezrównoważoną?

- To żaden wstyd, po prostu rodzinna przypadłość.



Tego już było za wiele. Wyprowadził ją z równowagi. Nie zamierzała wysłuchiwać dalszych obelg. Spróbowała wstać, ale nie dała rady.

- Niech mi ktoś pomoże! - zawołała w stronę otwartych drzwi, ignorując rozmówcę.

- Już idę. - George zaczął kuśtykać w jej stronę o kulach.

- Tylko nie ty! - warknęła z urazą.

- Prócz mnie nikogo tu nie ma - przypomniał. Stał naprzeciwko niej, zagradzając drogę ucieczki. - Nie pozostaje ci nic innego, jak zawrzeć ze mną pokój.

- Wezwać ochronę! - wykrzyknęła Vivian co sił w płucach.

George roześmiał się na całe gardło.

- Nie widzę powodu do śmiechu - warknęła.

- Dość tych dąsów, daj rękę. - Wyciągnął ku niej dłoń.

Vivian zabrakło siły woli, żeby ją odtrącić. Ponieważ bardzo chciała wrócić do swojego pokoju, postanowiła wielkodusznie wybaczyć mu nietakt, ale tylko ten jeden. Z pomocą laski i George'a z wielkim wysiłkiem stanęła na własnych nogach, przeklinając w duchu projektantów niefunkcjonalnych mebli.

- Cieszę się, że mąż cię odwiedził - powiedział łagodnym tonem George, gdy już dochodziła do drzwi.

- Był ważną osobistością, sędzią. Wysłał wielu łotrów do więzienia. Zasłużyli na karę. Nie tolerował łamania prawa.

- Bardzo słusznie. - George poważnie skinął głową.

Słowa uznania ułagodziły gniew Vivian, sprawiły jej wielką przyjemność.

- Powinien przychodzić w ciągu dnia.

- Dlaczego tak uważasz?

Dziwne pytanie! Że też nie rozumiał najprostszych rzeczy, chociaż sam ją uświadomił, że wieczorem personel zamyka drzwi.

- W dzień można tu wejść bez przeszkód - wyjaśniła jak małemu dziecku.

- A, prawda, zapomniałem.

Nieco zbyt skwapliwe usprawiedliwienie ponownie obudziło nieufność Vivian. Prychnęła z niesmakiem. Doszła do połowy korytarza, gdy George ją zatrzymał.

- Sądzę, że nie mówiłaś mężowi, że mnie po znałaś?

Vivian pokręciła głową.

- Jest zazdrosny?

- Mój mąż? Ależ skąd! No, może troszeczkę...

George podążył za nią.

- Grasz w brydża?

- Niestety nie.

- Wielka szkoda. Często potrzebujemy czwartego. A w tysiąca?

- Grywałam z wnukami, jak były młodsze, ale już dawno wyrosły z tego rodzaju rozrywek.

- Nie zechciałabyś znowu spróbować któregoś popołudnia?

Propozycja zabrzmiała kusząco. Vivian obawiała się jednak, że po latach przerwy nie potrafi obliczyć wartości kart.

- Być może. Umiesz grać w scrabble?

- Słabo. Mam za mały zasób słownictwa. - George wykonał nieokreślony gest za pomocą inwalidzkiej kuli.

- Ja też.

Uśmiechnął się. Ona również. Ze zdumieniem stwierdziła, że mają ze sobą więcej wspólnego, niż przypuszczała.

- Jutro organizują wycieczkę do indiańskiego kasyna w Spokane - kusił dalej. - Nie pojechałabyś?

- Bardzo chętnie - odparła po krótkim namyśle. Obliczyła, że wyprawa potrwa cały dzień, lecz czuła, że nie zabraknie jej sił. Ruszyła w kierunku drzwi. - Dobranoc.

George wyglądał na uradowanego.

- Dobranoc. Następnym razem, jak mąż wpadnie z wizytą, powiedz mu, że wyrosła mu konkurencja.

- Nie omieszkam - rzuciła Vivian przez ramię z rumieńcem na policzkach.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY**

W poniedziałek przypadał Dzień Niepodległości. Susanna wzięła udział w pikniku w ogrodach Altamiry. Później Carolyn towarzyszyła jej do gospody Na Rozdrożu, osiem kilometrów poza granicami miasta. Susanna w pierwszej chwili odrzuciła jej propozycję wspólnego wyjazdu, ale kiedy dojechały na miejsce, była wdzięczna przyjaciółce, że postawiła na swoim.

Gdyby przybyła tu sama, zawróciłaby na sam widok zapuszczonej, podupadłej speluny. Już sama fasada ostrzegła, że samotna kobieta nie powinna przekraczać tego progu. Wyobrażała sobie, jakie towarzystwo ujrzy w środku. W innych okolicznościach pewnie odpuściłaby sobie zwiedzanie tego rodzaju przybytku, lecz teraz za bardzo zależało jej na spotkaniu z Sharon. Chciała z nią szczerze porozmawiać, jak matka z matką, a także zdobyć numer telefonu Jake'a.

Zastała Carolyn w radosnym nastroju. Nie potrzebowała zdolności jasnowidzenia, by odgadnąć, że to za sprawą Dave'a. Odwiedził ją w sobotę wieczorem. Carolyn nie podała żadnych szczegółów, ale sama jej mina świadczyła o tym, że randka się udała.

- Patrzysz na mnie, jakbyś miała za chwilę parsknąć śmiechem - wytknęła Carolyn.

- Ale nie złośliwym - odparła Susanna. - Wyglądasz na uszczęśliwioną, co mnie bardzo cieszy. Masz romantyczne usposobienie.

- Ty też. Najgorsze, że Dave za bardzo dba o pozory. Dawniej wprawdzie bardzo zależało mi na opinii, ale ostatnio przestałam zważać na ludzkie gadanie

- Chce ci oszczędzić przykrości.

- Tłumaczył, że często zmienia miejsce pobytu, nie znosi stabilizacji. Zaakceptowałam go takim, jaki jest, w całości, wraz z duszą wędrowca. Przynależałam, że jeśli zechce odejść, nie będę go zatrzymywać.

- Nie przeszkadza ci już jego ewentualna kryminalna przeszłość?

- Przestała mi się wydawać prawdopodobna. Przez całe życie przebywałam wśród mężczyzn. Myślę, że potrafię ocenić człowieka. Nie posądzam go o konflikt z prawem. Nawiasem mówiąc, sprawdziłam wykazy sądowe ze wszystkich stanów, w których przebywał. Nigdzie nie znalazłam jego nazwiska.

- Trudno uwierzyć, że dotarłaś nawet do takich informacji! Ty wszystko potrafisz.

Carolyn z uśmiechem pokiwała głową.

- Spędziliśmy razem cudowne chwile. Dave piekł steki na rożnie, gawędziliśmy przez długie godziny. Nigdy nie czułam się tak wspaniale w towarzystwie żadnego mężczyzny. Jest ciepły, zabawny, ma specyficzne poczucie humoru. Potrafi mnie rozśmieszyć do łez. Jego obecność podnosi mnie na duchu. Po godzinach pracy staje się zupełnie inną osobą.

Susanna zastanawiała się, czy Carolyn zdaje sobie sprawę, jak wiele ryzykuje. Doświadczenia zdobyte podczas poszukiwania Jake'a nauczyły ją, że przy silnym zaangażowaniu emocjonalnym trudno o obiektywną ocenę sytuacji.

Pogrążone w rozmyślaniach przyjaciółki dotarły w milczeniu do gospody. Na parkingu stało kilka poobijanych furgonetek oraz przedziwnych wehikułów, jakby wywleczonych ze złomowiska. W jednym z nich brakowało drzwi od strony kierowcy.

- Niezła kolekcja - mruknęła Carolyn.

Ze środka dobiegała głośna muzyka. W pobliżu wejścia kręciło się paru typków spod ciemnej gwiazdy. Susanna z Carolyn przemaszerowały obok nich szybkim krokiem ze wzrokiem utkwionym przed siebie. Gdy wkroczyły do środka, wszyscy goście odwrócili głowy w ich kierunku. Na podłodze zalegała warstwa kurzu, w powietrzu wisiał gęsty dym. Całe szczęście, że ryk grającej szafy zagłuszył gwizdy i prawdopodobnie niewybredne komentarze na temat nowo przybyłych. Ignorując przykre wrażenia, Susanna ruszyła w stronę baru, za którym stała Sharon Nance. Dwaj mężczyźni ustąpili jej z drogi. Podziękowała skinieniem głowy.

- O, kogo ja widzę! Papużki nierozłączki! - wykrzyknęła barmanka na ich widok. Upięte w ciasny kok mocno utlenione włosy nie łagodziły drapieżnych rysów twarzy. Sharon oparła obie dłonie o bar. - W czym mogę pomóc?

- Witaj, Sharon. Skąd wiesz, czy nie wpadłyśmy na piwo? - odparła Susanna z pozornym spokojem, ignorując fałszywą uprzejmość Sharon.

Barmanka prychnęła lekceważąco.

- To raczej nie w waszym stylu. Nie wyglądacie na bywalczyńnię tego typu lokali. Nie wróżę wam dobrej zabawy, chociaż każdy z tych gości chętnie zawarłby z wami bliższą znajomość.

Susanna przemilczała złośliwą uwagę, w gruncie rzeczy niezbyt zaskakującą w tym miejscu. Aczkolwiek nie ceniła Sharon zbyt wysoko, mimo wszystko oczekiwała od osoby pracującej w usługach przynajmniej odrobiny kultury.

- Co jest grane? - Sharon obrzuciła Carolyn nieprzychylnym spojrzeniem. - Mowę ci odjęło czy kot ci odgryzł język?

- Dzień dobry, Sharon - pozdrowiła ją Carolyn pozornie lekkim tonem. - Jak idą interesy?

Kilka osób ponownie odwróciło głowy w ich stronę. Paru kierowców chwyciło kufle, opuściło stołki przy barze i zajęło mniej widoczne miejsca pod ścianą. Susanna nie potrafiła odgadnąć znaczenia tej pospiesznej przeprowadzki. Albo dyskretnie chronili barmankę, albo też dawali do zrozumienia, że nie będą wtykać nosa w nie swoje sprawy. Miała nadzieję, że ta druga wersja jest prawdziwa. Wolałyby uniknąć kolejnych kłopotów.

- Nie przypuszczam, żebyś poznała moją córkę, choć spędza większość czasu w towarzystwie twego syna - zaczęła ostrożnie Susanna. Usiłowała przybrać swobodny ton, lecz lekkie drżenie głosu zdradzało wewnętrzne napięcie.

- Chyba nie sądzisz, że zależy mi na znajomości z twoją córunką. - Sharon parsknęła sztucznym, ironicznym śmiechem. - Tu jej nie ma, słowo honoru. Zresztą nawet gdyby przyszła, to jej sprawa. Każdy ma prawo wpaść do knajpy, no nie?

Susanna bez przekonania skinęła głową.

- Idę o zakład, że umierasz ze strachu. W oczach Sharon pod grubą warstwą tuszu zamigotały złośliwe iskierki. - Moim zdaniem niepotrzebnie. Troy ani razu nie wymienił jej imienia, chociaż trzeba przyznać, że ma słabość do słodkich, naiwnych nastolatek. Na twoim miejscu na wszelki wypadek trzymałabym ją od niego z daleka.

- Ile ma lat?

- Co ci do tego?

- Chrissie ma zaledwie dziewiętnaście - poinformowała Susanna rzeczowo. Przemilczała, że za miesiąc skończy dwadzieścia.

- Chcesz nam narobić kłopotów?

- Nie, ale...

- Jeśli Troy zechce, sam ci o sobie opowie.

Susanna pojęła, że nic więcej nie zyska.

- Coś jeszcze? - Sharon uniosła wysoko mocno podkreślone ołówkiem brwi. - Och, prawda, jeszcze jedno. To akurat nie ma z tobą nic wspólnego, ale pewnie cię zainteresuje. - Skrzyżowała ramiona na piersiach, patrząc w oczy Susannie z szerokim uśmiechem.

- Słucham?

- Naprawdę się nie domyślasz? - spytała Sharon ze zdziwioną miną.

- Nie, a ty? - Susanna popatrzyła niepewnie na Carolyn.

Carolyn również nie miała pojęcia, jaką rewelację Sharon trzyma w zanadrzu.

- Nie zauważyłaś, że Troy bardzo przypomina swego ojca?

Sens ostatniej wypowiedzi nie od razu dotarł do Susanny.

- Sugerujesz, że Jake jest jego ojcem? - spytała po dość długim namyśle.

- A jak myślisz? - Sharon bez dalszych komentarzy wróciła do obsługiwania klientów.



Susanna rozważyła w duchu jej słowa. Dopiero teraz dostrzegła podobieństwo. Żołądek podszedł jej do gardła.

- Nadal chcesz jego numer telefonu? - rzuciła Sharon od niechcienia.

- No... - wykrztusiła Susanna. Więcej nie przeszło jej przez gardło. Odebrało jej mowę z wrażenia.

- Tak właśnie przypuszczałam. - Sharon parsknęła szyderczym śmiechem.

Carolyn ścisnęła ramię Susanny.

- Chodźmy stąd.

Susanna nadal stała jak wmurowana, szukając w myślach przyczyn niechęci Sharon. Nigdy nie żyły w wielkiej przyjaźni, ale też nie w konflikcie. Jeśli Jake zranił jej dumę, odchodząc do Susanny, jego powrót po wyjeździe rywalki do Francji powinien stanowić wystarczające zadośćuczynienie, zwłaszcza że przyjęła go z otwartymi rękami.

- Skąd w tobie tyle złości? - spytała wprost.

Sharon wybuchła gorzkim, ochryłym od papierosów śmiechem.

- Wszyscy jesteście jednakowi. Zauważacie mnie dopiero wtedy, kiedy czegoś chcecie. Następnego dnia już nie poznajecie na ulicy tak nędznej istoty jak ja. Twój braciszek postępował tak samo.

Zdecydowanie przesadzała. Susanna nigdy nie okazywała jej wyższości, a już na pewno nie omieszkałyby zamienić paru zdań podczas przypadkowego spotkania. niesprawiedliwy osąd oburzył ją do żywego.

- To co podać? Piwo czy płaszcz? - spytała Sharon ze znudzoną miną, ponownie krzyżując ręce na piersi.

- Co możesz nam powiedzieć o Jake'u Presleyu? - wtrąciła Carolyn, zanim Susanna zdążyła otworzyć usta.

- Nic. Gdyby chciał zobaczyć Susannę, sam by ją odnalazł. Przekażę mu od was pozdrowienia - zakończyła z ironią w głosie. - Aż dziwne, że nie pytasz o Douga Leary'ego.

- A co ma z tym wspólnego mój brat? - spytała Susanna, bezgranicznie zdumiona, że Sharon po raz drugi w ciągu paru minut wymieniła jego imię.

- Zawsze mnie dziwiło, że synek pana sędziego został dealerem. Fajna rodzinka, nie ma co.

- Mój brat? Niemożliwe! - wykrzyknęła Susanna z oburzeniem.

- Nikt ci nie każe wierzyć, ale to prawda. Wpadł w niezłe tarapaty.

- Chodźmy już. - Carolyn pociągnęła Susannę za ramię.

- Nigdy więcej nie waż się szargać dobrego imienia Douga - wycedziła Susanna przez zaciśnięte zęby.

Aż się trzęsła z oburzenia. Przysięgłaby, że Sharon rzuca bezpodstawne oskarżenia tylko po to, żeby jej dokuczyć, jednak nie potrafiła odgadnąć z jakiego powodu.

Sharon zajrzała w oczy Carolyn.

- Naprawdę was nie okłamuję. Handlował narkotykami. Nie wiedziałaś, że tej nocy, kiedy zginął, uciekał przed policją?

Susannie zaparło dech. Sharon przebrała miarę, plotła coraz gorsze bzdury. Jej ojciec podał jako przyczynę wypadku nadmierną prędkość na zakręcie. Według jego relacji Doug stracił panowanie nad kierownicą i uderzył w drzewo.

- Czy szeryf Dalton go ścigał? - spytała tylko po to, żeby udowodnić jej kłamstwo.

Wystarczyło bowiem nawiązać kontakt z emerytowanym stróżem prawa, żeby obalić jej zarzuty. Susanna ani przez chwilę nie wątpiła, że szeryf zaprzeczy jej wyssanym z palca rewelacjom.

- Nie, federalni.

Ostatnia wypowiedź utwierdziła Susannę w przekonaniu, że Sharon zmyśliła całą historię. Z pewnością miała w zanadrzu jeszcze więcej sensacji, których prawdziwość należało koniecznie podważyć. Susanna poprzysięgła w duchu zemstę intrygantce. Pozostało tylko wysłuchać jej do końca, podważyć oskarżenia, a potem wnieść do sądu pozew o zniesławienie.

- Z federalnymi lepiej nie zaczynać - stwierdziła Sharon ponurym tonem.

- Nie zamierzam więcej wysłuchiwać tych głupot - oświadczyła Susanna. - Wychodzimy.

- No i dobrze.

- Nie wiem, jaką krzywdę twoim zdaniem ci wyrządziłam, ale radzę ci o niej zapomnieć.

- Chodźmy - naciskała Carolyn.

- Doug nie był jedyny! - zawołała Sharon, gdy już prawie dotarli do drzwi.

- Co to znaczy?

- Sama się przekonasz - roześmiała się Sharon gardłowo.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY**

- Nie wierzę ani jednemu słowu - oświadczyła Carolyn po wyjściu z gospody. - Sharon nawet nie знаła Douga.

- Czy wspominał o tej sprawie w którymś z listów? No, mów - ponagliła Susanna na widok nie zdecydowanej miny przyjaciółki.

- Nie bezpośrednio, ale odnosiłam wrażenie, że zataił przede mną jakieś poważne problemy. Zachowałam całą korespondencję. Czasami do niej wracam w rocznicę jego śmierci.

- I co? Odkryłaś coś nowego? - wykrztusiła Susanna przez ściśnięte gardło.

Jej świat chwiał się w posadach. Ojciec prawdopodobnie miał kochankę, brata pomawiano o przestępczą działalność. Niczego już nie była pewna.

- W niektórych fragmentach nie odnajdywałam żadnego sensu, jakby pisał je człowiek rozdarty wewnątrz - wyznała Carolyn już przy samochodzie. - Odnosiłam wrażenie, że dręczą go potworne wyrzuty sumienia. Wtedy myślałam, że czuje się winny wobec Patricii, z którą zamierzał zerwać. Ale później...

- Co się wydarzyło? - ponagliła Susanna.

- Zaszło coś, co moim zdaniem miało związek z Jakiem.

- Niemożliwe! - Susanna zdecydowanie pokręciła głową.

Gdyby Jake zażywał lub sprzedawał narkotyki, nie ukryłby tego przed nią.

- Czy kiedy zaproponował ci wspólną ucieczkę, wyjaśnił, z czego będziecie żyć?

Susanna zastygła w bezruchu na środku parkingu, usiłując odtworzyć wydarzenia sprzed wielu lat. Ponieważ przeszkadzały jej w tym dochodzące z baru hałasy, zamknęła oczy. Scena ostatniego spotkania w oświetlonym blaskiem księżyca ogrodzie stanęła jej na nowo przed oczami, jakby rozegrała się zaledwie wczoraj. Jake ujął jej twarz w obie dłonie, zajrzał głęboko w oczy i poprosił, aby z nim uciekła. Obiecał, że wezmą ślub natychmiast, jak tylko znajdzie sędziego pokoju w Idaho.

Za każdym razem, gdy pytała, gdzie zamieszkają, z czego będą żyć, zamykał jej usta długim, słodkim pocałunkiem, po którym zapominała o wszelkich obawach. Samo dotknięcie jego ust uśmierzało wszystkie lęki. Oczywiście, poruszyła też kwestię pieniędzy. Nie posiadała wiele oszczędności. Ojciec wyznaczył jej bardzo skromne kieszonkowe. Jake zapewnił, że nie ma powodu do obaw, że sam zadba o sprawy finansowe.

- Powiedział, żebym się nie martwiła o pieniądze. Skąd je brał? - wyszeptała.

- Mam pewne podejrzenia - przyznała Carolyn.

- Ale dlaczego Doug miałby uczestniczyć w jego ciemnych interesach?

- Nie wiem i wątpię, czy kiedykolwiek się do wiemy - stwierdziła Carolyn, patrząc Susannie prosto w oczy. - Czy twoim zdaniem ta dziwna uwaga Sharon, że Doug nie był jedyny, dotyczy współudziału w rozprowadzaniu narkotyków?

- Czy to możliwe? - odpowiedziała Susanna pytaniem, skierowanym przede wszystkim do siebie.

Ogarnął ją lęk, jakby nagle straciła grunt pod nogami. Wbrew wcześniejszym zapewnieniom pojęła nagle, że nie można wykluczyć nawet najmniej prawdopodobnej wersji wydarzeń. Ostatnie odkrycia rozwiały wiele jej złudzeń, podważyły ugruntowane przekonania, podawały w wątpliwość pewniki. Troskliwie pielęgnowane wspomnienia okazały się mirażami. Z całego serca współczuła matce, zagubionej w mrocznej, pełnej sekretów, nieudomówień i przemilczeń atmosferze. Nic dziwnego, że straciła kontakt z rzeczywistością.

- Sharon zrobiłaby wszystko, żeby cię pogłębić - zauważyła Carolyn. - Trudno ocenić, ile prawdy, a ile kłamstwa zawierają jej rewelacje.

- Racja - przyznała Susanna bez przekonania.

- Myślisz, że Troy może być rzeczywiście synem Jake'a? - spytała ostrożnie.

Kiedy poznała Jake'a Presleya, był krnąbrny, zbuntowany. Natychmiast podbił jej serce. Grzeczna panienska z dobrego domu wyobraziła sobie, że jej miłość go odmieni. W poczuciu misji

zażądała, by zawrócił ze złej drogi. Ponieważ kochał ją całym sercem, dokładał wszelkich starań, żeby udowodnić jej, a zwłaszcza ojcu, że jest jej wart. Niestety potężny sędzia Leary nie docenił jego wysiłków. Nie życzył sobie żadnych kontaktów z kimś takim jak on.

Odkrycia ostatnich kilku tygodni rzuciły cień na wyidealizowany obraz ukochanego, jaki przechowywała w sercu, a także prawdopodobnie na nieskazitelny wizerunek uwielbianego brata. Po raz pierwszy od dnia przyjazdu do Colville zatęskniła za dawną, spokojną, pozbawioną większych emocji egzystencją w rodzinnym domu w Seattle. Zwykle spędzała lato w ogrodzie, czasami dokonywała w domu drobnych ulepszeń.

W ubiegłe wakacje ukończyła kurs tapicerski, sama obić krzesła w jadalni nowym materiałem i jeszcze w przypływie entuzjazmu położyła nową tapetę w kuchni. W nagrodę za zaoszczędzone pieniądze zafundowali sobie z Joem tygodniowy wypad na Hawaje. W przeciwieństwie do poprzedniego tegoroczne lato przypominało koszmar, ciągnący się w nieskończoność sen bez szans na przebudzenie.

Gdy wreszcie wsiadły do auta, Susanna zacisnęła mocno ręce na kierownicy.

- Nic już nie wiem - jęknęła. - Chciałabym wreszcie poznać prawdę.

- Musi istnieć jakiś klucz do rozwiązania tej łamigłówki - pocieszała Carolyn.

Susanna jednak nie była pewna, czy nadal pragnie go odnaleźć, czy nie lepiej, by kompromitujące jej najbliższych sekrety pozostały na zawsze pogrzebane w grobach ojca i brata. Podzieliła się swymi wątpliwościami z przyjaciółką. Ta zdecydowanie pokręciła głową.

- Wykluczone. Nie wolno ci zawrócić w połowie drogi, zwłaszcza po sugestii Sharon, że Doug wpadł w konflikt z prawem. Nawet jeśli teraz ogarnęło cię zniechęcenie, wcześniej czy później zechcesz pewnie sprawdzić, czy jej aluzje dotyczące Jake'a zawierają ziarno prawdy.

Susanna nagle doznała olśnienia.

- Wielkie nieba! - wykrzyknęła. - Shirl Remington prowadzi śledztwo w Kanadzie. Niewykluczone, że rzeczywiście uciekł tam przed policją.

- Wielu młodych ludzi wyrusza na północ, by umknąć przed wymiarem sprawiedliwości.

- Wątpię, czy go kiedykolwiek odnajdę, zwłaszcza jeśli zmienił nazwisko. - Ostatnia możliwość dopiero teraz przyszła jej do głowy. - Zresztą już mi na tym nie zależy. Wszystko wskazuje na to, że nie jest takim chłopcem, jakiego zapamiętałam, czy też takim mężczyzną, na jakiego wyrósł w mojej wyobraźni.

Carolyn skwitowała jej wynurzenia wzruszeniem ramion.

- Skoro już zapłaciłaś pani detektyw, co ci szkodzi wysłuchać jej relacji?

- Racja. - Susanna włączyła silnik, skręciła w drogę powrotną do miasta.



Dość długo jechały w milczeniu. Wreszcie Carolyn zapytała:

- Czy nie miałabyś nic przeciwko temu, gdybym odwiedziła ją razem z tobą?

- Świetny pomysł podchwyciła Susanna, wdzięczna za wsparcie. - Nie wiem, co zrobię, jeśli przy okazji wypłyną na światło dzienne jakieś ciemne sprawy Douga. Jeżeli Jake wciągnął go w jakąś nielegalną działalność, wolałabym raczej o niej nie wiedzieć.

- Nie chcesz poznać prawdy?

- Czasami lepiej jej nie znać. Żałuję, że znalazłam umowę pomiędzy ojcem a Allanem Presleyem. Otworzyłam puszkę Pandory, z której wypełzło na świat skrywane zło - westchnęła ciężko.

Kiedy podjechały nieoświetloną drogą w pobliże posesji Carolyn, ogarnęło ją zniechęcenie. Zarówno dom, jak i otoczenie wyglądały dokładnie tak samo pięknie jak w latach młodości, lecz teraz wydały jej się obce, niczym teatralna dekoracja do smutnej komedii pomyłek. Jedno przypadkowe spojrzenie za kulisy odsłoniło całą brzydotę rzeczywistości, rozwiało hodowane przez lata romantyczne rojenia. Nagle teraźniejszość i przeszłość zlały się w jedno, fundamenty jej spokojnej egzystencji runęły niczym zamki z piasku. Skręciła w długi podjazd, zatrzymała samochód. Carolyn wysiadła.

- O której jutro wyjeżdżamy? - spytała tak lekkim tonem, jakby umawiały się na herbatę.

Susanna przygryzła wargi, oszacowała w myślach odległość.

- Około wpół do dwunastej.

- Wpadnę po ciebie o jedenastej.

- Do zobaczenia.

Susanna odczekała, aż Carolyn wejdzie do środka i zapali światło. Dopiero wtedy zawróciła w kierunku Colville. Po drodze rozważała, czy mimo późnej pory nie zadzwonić do męża. Wyrzuty sumienia nie dawały jej spokoju, tym bardziej że nie znajdowała dla siebie żadnego usprawiedliwienia. W obłądnej pogoni za mrzonką zburzyła spokój całej rodziny.

Gdy dotarła na Chesnut Avenue, nie zastała światła w żadnym z okien, co oznaczało, że Chrissie jeszcze nie wróciła ze swej okrytej tajemnicą wyprawy. Susanna weszła na schody, otworzyła drzwi, odłożyła torebkę na podręczną szafkę w przedpokoju i zapaliła światło, cały czas zastanawiając się, czy dzwonić do męża. Szła właśnie do kuchni, gdy jej uszu dobiegł jakiś hałas z sypialni. Zastygła w bezruchu, wyteżyła słuch.

- To ty, Chrissie? - spytała.

Odpowiedziała jej cisza. Dreszcz przebiegł jej po plecach.

- Chrissie? - wykrztusiła przez ściśnięte strachem gardło.

Znowu nic.

Chwyciła torebkę, wybiegła na dwór. Pospiesznie wyciągnęła telefon komórkowy. Drżącymi palcami wystukała numer alarmowy 911.

- Ktoś włamał się do mojego domu. Proszę przyjechać natychmiast - wyszeptała, gdy zgłosił się operator.

Oficer dyżurny polecił jej czekać na zewnątrz na przyjazd radiowozu. Susanna usiłowała odejść jak najdalej od strefy

zagrożenia, ale nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Osunęła się bez sił na ziemię. Była pewna, że złoczyńca usłyszał jej wołanie i zdoła umknąć przed przyjazdem policji. Kilka minut później usłyszała warkot silnika. Przez ten czas zdążyła dojść do siebie. Wstała i ruszyła w kierunku samochodu, który zaparkował nieopodal. Wsiadło z niego dwóch funkcjonariuszy. Nazwiska na plakietkach nic jej nie mówiły. Pospiesznie zdała im relację.

- Zaraz sprawdzimy, czy ktoś tam jest - zapewnił jeden z policjantów.

Z zapaloną latarką obszedł dom od tyłu. Drugi ruszył ku frontowym drzwiom, których Susanna nie zamknęła za sobą.

Susanna pozostała na zewnątrz. Nie miałaby odwagi sama wejść do środka. Pomyślała, że pewnie wszyscy sąsiedzi obserwują ją dyskretnie zza firanek. Zwalczyła dziecinną pokusę, by pomachać im ręką. Niższy z oficerów wrócił pierwszy.

- Nie znaleźliśmy nikogo - oznajmił.

- Zechce pani sprawdzić, czy nic nie zginęło? - dodał drugi, który zaraz do niego dołączył.

Susanna skinęła głową. Skierowała kroki prosto do sypialni, skąd dobiegał hałas. Światło pozostało zapalone. Na pierwszy rzut oka niczego nie brakowało. Narobiła sobie wstydu. Dałaby głowę, że policjanci wzięli ją za jedną z tych niezrównoważonych osób, które podnoszą fałszywy alarm w środku nocy tylko po to, by ktoś zwrócił na nie uwagę. Spostrzegła, że okno jest lekko uchylone. Nie przypominała sobie, żeby je otwierała, ale w zdenerwowaniu mogła

przeoczyć taki drobiazg. Na biurku zastała wszystko w takim samym porządku jak przed wyjściem. Kartonowe pudła, zarówno te zamknięte, jak i otwarte, częściowo zapełnione, również wyglądały na nietknięte.

- Niewykluczone, że kot wskoczył przez otwarte okno - zasugerował niższy z oficerów.

- Nie. Z całą pewnością był tu człowiek. Opuścił pokój, kiedy mnie usłyszał - stwierdziła z całą mocą, choć nie była w stanie przedstawić żadnych dowodów.

- Jest pani pewna?

- Tak.

- Co tu się dzieje?! - zawołała od progu Chrissie, która wpadła jak burza do sypialni. Zamarła w bezruchu na widok dwóch mężczyzn w mundurach.

- Ktoś złożył nam nieproszoną wizytę - wyjaśniła Susanna, obejmując córkę drżącymi ramionami.

- Mamusiu, czy ty się dobrze czujesz?

Susanna pokręciła głową. Załkała.

## **ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY**

Carolyn przyjechała we wtorek o jedenastej. Zastała Susannę roztrzęsioną, zmęczoną, niewyspaną. Susanna przez całą noc umierała ze strachu przy najlżejszym skrzypnięciu podłogi. Żadna z

dotychczasowych nieproszonych wizyt nie rozstroiła jej tak bardzo jak ostatnia, pewnie dlatego, że po raz pierwszy zastała intruza w domu.

Chrissie poinformowała Joego o incydencie, co jeszcze pogorszyło sprawę. Był zły, jakby Susanna sama ściągnęła na siebie nieszczęście. Po dokładnym sprawdzeniu wyszło na jaw, że jednak brakuje paru rzeczy: jakichś papierów, niewielkiego zegara, starego wiecznego pióra. Co najdziwniejsze, zniknął również dziennik podróży, ten sam, w którym George Leary odnotowywał daty wyjazdów, miejscowości i sumy pieniędzy. Wyglądało na to, że złodziej zgarnął na chybił trafił wszystko, co leżało na wierzchu.

Joe uważał, że należy założyć alarm, Susanna przekonywała, że nie warto, ponieważ nie zostanie tu dłużej niż tydzień, najwyżej dziesięć dni. Ponad wszystko pragnęła wrócić jak najszybciej do Seattle, porozmawiać z mężem w cztery oczy, za wszelką cenę doprowadzić do zgody. Palił ją wstyd, że rozpoczęła poszukiwania Jake'a. Nic już do niego nie czuła. Nie rozumiała, po co za wszelką cenę usiłowała pochwycić cień przeszłości. Marzyła już tylko o powrocie do bezpiecznej przystani, do dawnego spokojnego życia. Zrobiłaby wszystko, by Joe jej wybaczył.

Carolyn przystanęła na najniższym stopniu schodów.

- Okropnie wyglądasz - stwierdziła na powitanie.

- Dziękuję za komplement - odrzekła Susanna z przekąsem w pełni świadoma, że przyjaciółka nie przesadza.

Miała podkrążone oczy. Prawie nie spała ostatniej nocy, budził ją najłżejszy szmer, wielokrotnie zrywała się na równe nogi. Krążyła po

wszystkich pomieszczeniach w poszukiwaniu złodzieja, półprzytomna ze strachu i niewyspania. Córka jeszcze dołożyła jej strapiień. Susanna czekała tylko odpowiedniej okazji, żeby przedyskutować nowy problem z mężem. Na razie sama dźwigała na swoich barkach zbyt wielki ciężar coraz liczniejszych zmartwień.

Zawróciła jeszcze od progu pod pretekstem zabrania torebki. Dopiero po ponownym sprawdzeniu wszystkich okien i drzwi dołączyła do przyjaciółki. Carolyn zaoferowała, że poprowadzi samochód. Susanna z wdzięcznością przyjęła propozycję. Jechała w milczeniu, z zamkniętymi oczami, cały czas rozmyślając o Chrissie.

Zaraz po wyjściu policjantów córka zadała jej kolejny cios, w samo serce. Oświadczyła, że rzuca studia i zostaje na stałe w Colville. Susanna osłupiała. W pierwszej chwili chciała ją natychmiast odesłać do Seattle. Gdy trochę ochłonęła, doszła do wniosku, że w ten sposób nic nie zyska. Skoro Chrissie przyjechała do Colville wbrew woli rodziców, po kryjomu, bez centa przy duszy, nie ulegało wątpliwości, że i tym razem wymyśli jakiś podstęp, by przeprowadzić swoją wolę.

Chociaż przysięgała, że pragnie zostać przy babci, Susanna była przekonana, że o wiele bardziej zależy jej na Troyu. Uświadomiła sobie, że jeden fałszywy krok może zniweczyć jakiegokolwiek szansę na osiągnięcie porozumienia. Należało działać bardzo rozważnie, co nie było łatwe, zważywszy zarówno obecny stan ducha Susanny, jak i zaślepienie Chrissie. Ponieważ do tej pory każda próba perswazji kończyła się awanturą, nic nie zapowiadało powodzenia.

Susanna kilkakrotnie czuła na sobie badawcze spojrzenie Carolyn. Nie otworzyła jednak oczu ani ust, póki nie dotarły do przedmieść Spokane. Dopiero wtedy Carolyn poprosiła, żeby Susanna pokazała jej dalszą drogę. Pilotowała ją aż do celu podróży. Gdy zaparkowały przed domem Shirl Remington, Susanna poczuła, że zwilgotniały jej dłonie. Chociaż nie potrafiła odgadnąć, co usłyszy, przewidywała, że nic przyjemnego. Wolałaby darować sobie tę wizytę. Straciła już dosyć złudzeń.

Zastały drzwi frontowe otwarte. Nacisnęły przycisk dzwonka, po czym weszły do środka. Shirl Remington wyszła im na spotkanie. Tym razem związała niesforne włosy w koński ogon. Susanna przedstawiła przyjaciółkę. Pani detektyw uścisnęła jej rękę i zaprosiła do biura, wskazując gestem oszklone drzwi.

Susanna i Carolyn usiadły na krzesłach dla interesantów, Shirl zajęła miejsce za biurkiem. Podziękowała za punktualne przybycie, po czym wzięła teczkę z wierzchu pokaźnej sterty. Serce Susanny przyspieszyło. Przesunęła się na brzeg krzesła. Miotaly nią sprzeczne uczucia: strach, wyrzuty sumienia, zaciekawienie. Shirl otworzyła teczkę. Powoli, niczym na filmie, w zwolnionym tempie pochyliła się do przodu, oparła dłonie o blat.

- Przeprowadziłam szczegółowe dochodzenie - zaczęła, patrząc Susannie prosto w oczy. - Niestety nie natrafiłam na żaden ślad pana Presleya od dnia opuszczenia Colville. Nie korzystał ze świadczeń medycznych w ramach ubezpieczenia społecznego, nie składał zeznań podatkowych.

Carolyn zmarszczyła brwi.

- Nie siedział również w więzieniu. Jego nazwisko nie figurowało w żadnym rejestrze.

- Może opuścił kraj?

- Niewykluczone. W grę wchodzi jedynie Kanada. Nigdy nie wydano mu paszportu. Natrafiłam za to na akt oskarżenia o handel narkotykami, stąd podejrzenie, że właśnie tam uciekł przed wymiarem sprawiedliwości. Ale jeśli się tam przeniósł, nie używał prawdziwego nazwiska.

- Sprzedawał narkotyki! - wyszeptała Susanna, kompletnie zdruzgotana. Skoro Sharon nie skłamała w tej sprawie, inne jej informacje też mogły okazać się prawdziwe.

- Jeśli popełnił przestępstwo w latach wczesnej młodości, to chyba już dawno minął termin przedawnienia - zauważyła Carolyn.

Shirl zdecydowanie pokręciła głową. Susanna w milczeniu czekała na dalszy ciąg.

- Wykroczenia przeciwko prawu federalnemu nie ulegają przedawnieniu. Moim zdaniem uciekł do Kanady, przybrał nowe nazwisko i rozpoczął nowe życie. Kilku moich tamtejszych informatorów prowadzi śledztwo, ale może trochę potrwać, nim trafią na jakiś ślad.

Susanna słuchała jak w transie. Elementy łamigłówki zaczęły się układać w jej głowie. Teoria Shirl tłumaczyła, dlaczego pojawiał się i znikał z życia Sharon. Za każdym razem, gdy przekraczał granicę Stanów Zjednoczonych, ryzykował utratę wolności.



- Odwiedziłyśmy z Susanna naszą koleżankę, Sharon Nance - wtrąciła Carolyn. - Twierdzi, że Jake odwiedzał ją w Colville i że brat Susanny, Doug Leary, był wraz z nim zamieszany w handel narkotykami.

Shirl zanotowała informację w zeszycie.

- Spróbuję to ustalić. Czy chciałyby panie jeszcze coś dodać?

- Susanna wczoraj wieczorem wypłoszyła z domu włamywacza.

- Nie sędzę, żeby miało to jakikolwiek związek ze sprawą - zaprotestowała Susanna.

- Nie wiadomo. To dość podejrzane. W takich sprawach jak ta nie wolno lekceważyć żadnych szczegółów - oświadczyła Shirl, skrętnie zapisując kolejny punkt w notesie. - Czy coś zginęło?

Susanna przedstawiła jej przebieg wydarzeń, wyliczyła skradzione przedmioty.

- Czy coś jeszcze panią zaniepokoiło?

Wszystko, od dnia przybycia do Colville aż do dzisiaj - pomyślała Susanna. Cały jej świat stanął na głowie. Nie wyraziła jednak głośno tej refleksji.

- To już czwarte włamanie w ciągu kilku tygodni. Wszystkie wyglądały tak samo. Ktoś zabiera drobiazgi, osobiste pamiątki, bezwartościowe dla osoby postronnej, na przykład harcerskie proporczyki brata czy dziennik podróży ojca. Wspomniałam wcześniej o umowie pomiędzy ojcem poszukiwanego a moim. Właśnie to odkrycie skłoniło mnie do skorzystania z pani usług.

- Nasze własne próby odszukania Jake'a zaprowadziły nas w ślepią uliczkę - dodała Carolyn.

- Ja również nie odniosłam wielkiego sukcesu - przyznała pani detektyw.

- W dodatku córka, która przyjechała mi pomóc w przeniesieniu mamy do domu opieki, oszalała na punkcie młodego człowieka o fatalnej reputacji, podobno syna Jake'a Presleya - westchnęła ciężko Susanna, przytłoczona nadmiarem strapiień.

Shirl pokiwała głową ze zrozumieniem.

- Chciałabym usłyszeć jeszcze parę słów na temat przyjaźni pani brata z Jakiem Presleyem.

Carolyn i Susanna wymieniły niepewne spojrzenia.

- Korespondowałam z Dougiem aż do jego śmierci - zaczęła Carolyn. - Wczoraj wieczorem jeszcze raz przeczytałam wszystkie listy w poszukiwaniu jakichś użytecznych informacji. Miałam nadzieję, że w świetle ostatnich odkryć wywnioskuję z nich coś więcej niż wtedy, gdy je otrzymywałam.

Susanna nadstawiła uszu, wyprostowała plecy. Czekwała na dalszy ciąg, w nadziei że otrzyma klucz do rozwiązania zagadki.

- Nie napisał tego wprost, ale z perspektywy czasu doszłam do wniosku, że próbował mi pomóc.

- W czym? W jaki sposób?! - wykrzyknęła Susanna.

- Trudno powiedzieć. W każdym razie Jake wpadł w konflikt z prawem. Miał nóż na gardle, ścigało go FBI.

- Pewnie myślisz, że ja coś wiem. Niestety, muszę cię rozczarować. Z początku Jake pisał do mnie, podobnie jak brat, później coraz rzadziej, wreszcie przestał.

- Przejdźmy do rzeczy. Czego pani ode mnie oczekuje? - spytała Shirl. - Mogę kontynuować poszukiwania pana Presleya. Przy wystarczającej ilości czasu i pieniędzy pewnie go wreszcie znajdę. Czy może woli pani, żebym prześledziła powiązania pomiędzy nim a pani bratem?

- Nie, chyba na tym skończymy - zdecydowała Susanna. - Sharon Nance, nasza... powiedzmy, koleżanka ze szkoły, twierdzi, że zna numer telefonu Jake'a, ale nie zamierzam nawet o niego prosić. Skoro nie życzy sobie kontaktu ze mną, nie będę go uszczęśliwiać na siłę. Już mnie nie obchodzi - dodała z pełnym przekonaniem.

Tropienie uciekiniera już ją zbyt drogo kosztowało, zarówno w sensie finansowym jak i emocjonalnym. Na każdym etapie śledztwa dokonywała przygnębiających odkryć. Wiadomość, że Jake przypuszczalnie mieszka za granicą pod fałszywym nazwiskiem, utwierdziła ją w przekonaniu, że najwyższa pora dać sobie z nim spokój.

## **ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY**

Kiedy Susanna wróciła ze Spokane, nie zastała Chrissie, co nawet jej nie zdziwiło. Sprawdziła tylko, czy jej walizki nadal stoją w sypialni. Na szczęście stały. Po oświadczeniu, że zostaje na stałe w

Colville, nie słuchała żadnych argumentów. Nie dopuściła do dyskusji. Oznajmiła, że podjęła ostateczną decyzję i nie zamierza jej zmieniać. Nie przeszkadzało jej nawet, że po wakacjach dom zostanie wystawiony na sprzedaż. Twierdziła, że Troy zaproponował, żeby z nim zamieszkała. Na koniec dała do zrozumienia, że skoro rodzina stawia ją w sytuacji bez wyjścia, skorzysta z zaproszenia.

Na tym etapie Susanna zakończyła rozmowę. Nie zamierzała pozwolić się szantażować. Zostawiła sobie czas do namysłu. Postanowiła odwiedzić matkę. Miała nadzieję, że Chrissie jej nie uprzedziła. Vivian z pewnością by ją poparła, nie widziała świata za wnuczką. Przyklasnęłaby najgłupszym pomysłem, byle ją przy sobie zatrzymać.

Gdy Susanna dotarła do Altamiry, zastała matkę przed telewizorem. Jak zwykle oglądała program kulinarny.

- Witaj, mamusiu.

Vivian wreszcie oderwała wzrok od ekranu. Jej twarz rozjaśnił szeroki uśmiech.

- Jak miło cię widzieć, Jean.

- Mamusiu, to ja, Susanna - przypomniała delikatnie, strapiona, że matka coraz częściej myli ją ze zmarłą ciocią.

- Przecież widzę - odburknęła starsza pani, patrząc na nią spode łba.

- Znajdziesz dla mnie parę minut? - spytała Susanna możliwie najłagodniejszym tonem.

Vivian ściszyła telewizor. Usiadła głębiej w fotelu, przechyliła na bok głowę, z zaciekawieniem obserwowała córkę.

- O co chodzi?

- Chciałabym ci zadać parę pytań na temat Douga - wykrztusiła Susanna przez ściśnięte z emocji gardło.

Vivian zamrugła, jakby nie skojarzyła imienia. Wtem jej oczy zwilgotniały. Łza spłynęła po policzku. Przypomniała sobie zmarłego syna. Susanna stanęła obok fotela. Otoczyła matkę ramieniem.

- Przepraszam, że przywołałam tragiczne wspomnienia - wyszeptała. - Nie chciałam ci sprawić bólu.

- Minęło tak wiele lat, że niewiele pamiętam. Co chciałabyś wiedzieć o tacie?

- Nie o tacie, o Dougu. Wszystko, co ci przyjdzie na myśl. Na przykład, czy wpadł przed śmiercią w tarapaty.

- Jakiego rodzaju?

- W konflikt z prawem - odrzekła Susanna w tonie swobodnej pogawędki, starannie ukrywając targające jej duszą emocje.

- Doug był grzecznym chłopcem. Wszyscy go kochali.

Susanna zwątpiła, czy dowie się czegokolwiek. Ojciec odsuwał żonę od wszystkich ważnych, zwłaszcza trudnych spraw. Nawet w przebłyskach świadomości prawdopodobnie potrafiła odtworzyć jedynie lukrowaną wersję wydarzeń, ponieważ innej jej nie przedstawiono.

- Matka nie powinna chować syna. - Vivian zamilkła, pogrążona we wspomnieniach. - Całe szczęście, że mnie odwiedziłaś po pogrzebie, Jean. Bez twojego wsparcia nie przeżyłabym tej tragedii.

Susanna poklepała dłoń matki. Pojęła, że popełniła błąd. Niepotrzebnie przywołała koszmar sprzed wielu lat. Poza tym martwiło ją, że Vivian przestała ją odróżniać od ciotki. Pewnie była do niej bardziej podobna, niż przypuszczała. Mimo wszystko nie dała za wygraną. Uklękła obok fotela.

- Znałaś jakichś kolegów Douga?

- Tak. Ronny'ego Peddersona. Mieszka teraz w Portland wraz z żoną. Jego matka opowiedziała mi wszystko o jego rodzinie. A Doug nie zdążył się ożenić - dodała. Zapuchnięte oczy ponownie zasły łzami.

- Wiem, mamusiu - szepnęła Susanna. Ona również знаła kolegę brata z drużyny skautów.

- Scotty'ego też bardzo lubił.

- Dajmy już sobie z tym spokój - mruknęła Susanna ze smutkiem.

- Czemu pytałaś o Douga? - załkała Vivian. - Przecież wiesz, że George zabronił mi o nim mówić. Gdy tylko wymieniłam jego imię, wpadał w złość, jakby mógł mnie zmusić, żebym zapomniała, że urodziłam syna. Nie umiałam udawać, że Doug nigdy nie istniał, tak jak sobie życzył mój mąż. Po jego śmierci umarło w nim wszystko co dobre, jakby pochował w jego grobie własną duszę.

- Bardzo ci współczuję, mamusiu.

- Byłaś moją jedyną radością - wyznała Vivian, gładząc córkę po twarzy. - Bardzo mnie bolało, że nie znalazłaś z ojcem wspólnego języka. Tłumaczyłam mu, że jego krytyczny stosunek do ciebie szkodzi wam obojgu, ale mnie nie słuchał.

- Nie wracajmy już do tych smutnych spraw - poprosiła Susanna, jeszcze bardziej przybita. Przebłyśki świadomości Vivian przyniosły opłakany skutek: przywołały bolesne wspomnienia, które na nowo ją załamały.

Vivian pokiwała głową, lecz nie przestała szlochać. Susannie pękało serce. Zdruzgotana, wyszła po dziesięciu minutach. Ponosiła jedną klęskę za drugą, każde posunięcie przynosiło opłakane skutki. Obłądny pomysł odszukania byłej sympatii okazał się kamieniem, który poruszył lawinę. Przygnieciona jej ciężarem, płaciła teraz wysoką, o wiele za wysoką cenę za własną lekkomyślność. Najgorsze, że jej najbliżsi również.

Wsiadłszy do samochodu, wyjęła z torebki telefon komórkowy. Po krótkiej chwili wahania wybrała numer gabinetu męża. Akurat przyjmował pacjenta, ale recepcjonistka, Miranda, obiecała, że skontaktuje się z nią za mniej więcej dziesięć minut.

Susanna zaparkowała nieopodal parku miejskiego, w pobliżu sadzawki. Dalej rozciągały się trawniki i obsadzone drzewami aleje. Czekając na telefon od męża, obserwowała zabawę matek z dziećmi, młodzież na rowerach, starsze małżeństwa, trzymające się za ręce podczas spaceru. Dzwonek telefonu zaskoczył ją, mimo że go

oczekiwała. Recepcjonistka oznajmiła, że łączy z gabinetem pana doktora.

- Cześć - wykrztusiła z trudem.

- Przekazano mi wiadomość - oświadczył Joe urzędowym, nadal pełnym urazy tonem.

- Odwiedziłam dziś rano panią detektyw - zaczęła Susanna ze ściśniętym sercem. Ponieważ odpowiedziało jej pełne wyrzutu milczenie, ciągnęła: - Nie trafiła na ślad Jake'a. No i bardzo dobrze. Nic mnie już nie obchodzi. Żałuję z całego serca, że niepotrzebnie narobiłam zamieszania. Wybacz mi, Joe. Popęłiłam wielkie głupstwo, a teraz doszły jeszcze kłopoty z Chrissie...

- Jakie?

- Oświadczyła, że przeprowadzi się do babci, do Colville. Zagroziła, że jeśli nie oddamy jej do dyspozycji domu, zamieszka z Troyem Nance'em.

- Co takiego?! - wykrzyknął Joe.

- Umieram ze strachu. Wygląda na to, że spełni swą groźbę.

- Mam nadzieję, że jej zabroniłaś? - spytał Joe podniesionym głosem. Nigdy wcześniej na nikogo nie krzyczał. Mimo spokojnego usposobienia tym razem stracił panowanie nad sobą. - Co się tam wyprawia, do wszystkich diabłów?!

- Ostrzegłam ją, że cię zawiadomię. Wcale się nie przejęła. Szantażuje nas. Boję się z nią zaczynać, bo każde nieopatrzne słowo może rzucić ją wprost w ramiona tego łajdaka.

Po drugiej stronie zapanowała cisza, jakby Joe rozważał jej słowa.



- Sama nie wiem, jak z nią postępować.

Joe nadal milczał.

- Co zrobimy? - naciskała Susanna.

- Trudno to tak od razu rozstrzygnąć. Chrissie rzeczywiście ma z babcią bardzo dobry kontakt. Może naprawdę wierzy, że jej obecność korzystnie na nią wpłynie?

- Bez wątplenia, ale niepokoi mnie jej zauroczenie Troyem. To jakiś podejrzany osobnik. Nigdzie nie pracuje, nie wiadomo, z czego żyje, pewnie prowadzi jakieś nielegalne interesy. - Susanna za milką. Przygryzła dolną wargę. Na wszelki wypadek pominęła kwestię ewentualnego ojcostwa Jake'a, żeby nie dolewać oliwy do ognia. - Spróbuj przemówić jej do rozsądku. Może ciebie prędzej posłucha - poprosiła na koniec.

- Dawno przestała mnie słuchać - odburknął Joe z goryczą.

- Nie pozwolimy jej przecież przerwać studiów. Ten nicpoń zmarnuje jej życie! - wykrzyknęła Susanna w przewidywaniu przyszłych kłopotów.

Całe miasteczko podejrzewało Troya o handel narkotykami. Gdyby go aresztowano, Chrissie zostałaby oskarżona o współudział.

- Co proponujesz?

- Nie mam pojęcia - przyznała Susanna. - To wszystko moja wina. Powinnam była ją odesłać do domu natychmiast po przyjeździe.

- Nie pora żałować tego, czego nie można zmienić. Samooskarżenia nic nam nie dadzą - upomniał ją. - Trzeba się skupić na opracowaniu właściwej strategii.

Susanna przyłożyła rękę do czoła, przeczesła palcami włosy. Usłyszała w słuchawce obcy, przytłumiony głos. Joe odpowiedział komuś w gabinecie, ale Susanna nie zrozumiała ani słowa.

- Muszę wracać do pacjentów. Zadzwoń później, dobrze?

- Zgoda.

Susanna odłożyła telefon. Bezwiednie zerknęła w okno. Nagle ujrzała w parku jakąś parę. Mężczyzna przyparł kobietę do drzewa, zaczął ją całować. Ruchliwe dłonie błędziły bez żenady po ciele partnerki w nieprzyzwoity, absolutnie niestosowny w publicznym miejscu sposób. Nagle go rozpoznała. Niebywałe! Troy Nance we własnej osobie, z obcą dziewczyną! Susanna wyteńczyła wzrok.

Nagle doznała olśnienia. Wśród wszystkich przeciwności los podarował jej szansę otworzenia córce oczu. Skoro Chrissie nie towarzyszyła Troyowi, prawdopodobnie była w domu. Nie zrobiła bez niego kroku. Pozostało tylko przywieźć ją do parku, żeby zobaczyła na własne oczy, że ją zdradza. Ewidentny dowód niewierności prędzej przemówi jej do rozsądku niż najbardziej wyszukane sposoby perswazji. Susanna natychmiast przeszła do czynu. Włączyła silnik, opuściła parking i ruszyła w stronę domu. Modliła się, żeby ją zastać.

Ale, jak było do przewidzenia, Chrissie gdzieś wyszła.

## **ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI**

Po przyjeździe ze Spokane Carolyn podrzuciła Susannę do Altamiry. Następnie wróciła do tartaku. Stamtąd zadzwoniła do Kettle

Falls Landscaping. Zostawiła dla Dave'a wiadomość, żeby się z nią skontaktował. Chciała go zaprosić na kolację.

Odwiedził ją w domu tylko raz. Ofiarował jej tyle ciepła, że samo wspomnienie rozgrzewało jej serce. Przeżyła najpiękniejszy, najbardziej romantyczny wieczór w życiu. Przebieg pierwszej randki pozostał jej słodką tajemnicą. Żaden mężczyzna przed nim nie dał jej tyle szczęścia. Chociaż prawie jej nie dotknął, czuła i odwzajemniała jego pragnienie. Jego wstrzemięźliwość nie wynikała z obojętności. Potrzebował całej siły woli, by przypadkowa iskra nie wywołała pożaru.

Carolyn również jeszcze nie do końca przełamała opory. Obawiała się stracić głowę dla wiecznego tułacza. Przewidywała, że pewnego dnia zniknie tak niespodziewanie, jak się pojawił. Nie zdradził jej, co go przygnało w te strony ani czego szukał w szerokim świecie. O jej życie również nie wypytywał. Mimo skrytego usposobienia pociągał ją coraz bardziej.

Gwizdek, obwieszczający koniec dnia pracy, wyrwał Carolyn z zadumy. Robotnicy spieszyli do bramy z pojemnikami śniadaniowymi w rękach. Tylko patrzeć, jak Dave również odłoży narzędzia. Gdy wróci do szatni, zostanie od niej wiadomość. Gdyby miał telefon komórkowy, przekazałaby ją osobiście. Ponieważ taka możliwość nie istniała, nie miała pewności, czy przyjmie zaproszenie. Została w biurze jeszcze pół godziny. Czekwała w napięciu, niepewna, czy nawiąże z nią kontakt. Gdy nie przyszedł ani nie zadzwonił, rozczarowana zdecydowała wrócić do domu.

Po drodze dopadło ją załamanie. Po latach samotności pierwszy raz aż do bólu tęskniła za bliskością mężczyzny, właśnie tego, konkretnego. Dave ostrzegał, że złamie jej serce, co najwyraźniej jego samego martwiło bardziej niż ją. Nagle pojęła, że nie przyjdzie, że postanowił zniknąć z jej życia, żeby jej do siebie nie przywiązywać. Nie mogła mu odmówić racji.

Wkrótce po przyjeździe wyszła do ogrodu boso, w czerwonych spodenkach i bluzce bez rękawów w czerwoną kratkę. Usiłowała skoncentrować się na urodzie otoczenia, w nadziei że przyjemne doznania przyniosą jej nieco ukojenia po spotkanym zawodzie. Podlewając trawnik, czuła pod stopami miękkość zielonego dywanu, na plecach ciepłą pieszczotę słońca, wdychała ciężki aromat przekwitających róż.

Na blacie w kuchni zostawiła dwa soczyste, surowe steki. Surówka z zielonej sałaty z własnego warzywnika z pomidorami, zieloną papryką i tartą marchewką czekała w lodówce na przyprawienie ziołowym sosem. Przepis podała jej matka, wypraktykowała go wielokrotnie. Nagle naszła ją chęć, by wyrzucić wszystko do kosza i poprzestać na kanapce z masłem orzechowym.

Na szczęście zanim zdążyła zrealizować zamysł, usłyszała na podjeździe warkot silnika. Obeszła dom dookoła. Przystanąwszy w patio, ujrzała auto Dave'a. Obserwowała z zapartym tchem, jak wysiadał, już wykąpany, w świeżych spodniach khaki i czarnym podkoszulku. Nie od razu ją dostrzegł.

- Myślałam, że nie przyjedziesz - zagadnęła.

- Ja też - odparł z uśmiechem, który rozgrzał jej duszę.
- Dobrze, że jesteś - wyszeptała z drżeniem serca.
- Walczyłem ze sobą, ale przegrałem. Nie po trafię trzymać się od ciebie z daleka.

Podszedł do niej blisko, bardzo blisko. Gdy wyciągnął ku niej rękę, przemożna siła przyciągania pchnęła ją w jego objęcia. Uznała za rzecz zupełnie naturalną, że otoczył ją ramionami. Podała mu usta do długiego, niewypowiedzianego czułego pocałunku. Chłonęła jego słodczy całą sobą. Dave ujął w dłoń jej warkocz, przesunął palcami wzdłuż całej długości. Całował ją. Wreszcie z ociąganiem rozluźnił uścisk.

- Steki czekają na upieczenie - oznajmiła.
- Chcesz, żebym je przyrządził?
- Bardzo proszę.

Zjedli kolację w patio, wypili po kieliszku wina do posiłku i po jeszcze jednym na deser, trochę pogawędzili. Więcej do szczęścia nie potrzebowali, wzajemna obecność w zupełności im wystarczyła. O zachodzie słońca sarny przyszyły na łąkę przy domu. Dave ujął Carolyn za rękę, składał niezliczone pocałunki kolejno na każdym palcu.

- Nigdy nie spędzałem w ten sposób czasu z kobietą - przyznał.
- Co masz na myśli?
- Trudno mi to wyjaśnić. - Pokręcił głową, jakby pilnował się, by nie powiedzieć o sobie za dużo.
- Moim zdaniem to nic trudnego.

- Chyba na mnie już czas. Powinienem iść.

Carolyn przełknęła słowa protestu. Stała obok niego. Dave znów objął ją i pocałował. Wyczuwała w nim pożądanie, tak silne jak jej własne, w oczach widziała ból i tęsknotę.

- Przeszkadza ci, że jestem właścicielką przedsiębiorstwa? - spytała.

- Prawdę mówiąc, trochę - przyznał po chwili wahania.

- Ale dlaczego?

Nie rozumiała jego oporów. Traktowała swe dziedzictwo jak rzecz zupełnie naturalną, a nie powód do dumy czy wywyższania się ponad innych. Tartak należał do Bronsonów od trzech pokoleń, stanowił część jej życia, jej tożsamości. Zdawała sobie sprawę, że z braku spadkobierców będzie musiała go sprzedać na starość, ale na razie odkładała myśl o rozstaniu ze spuścizną po przodkach na bliżej nieokreśloną przyszłość. Wolała wytyczać sobie kolejne, bliskie i realne, cele, dające poczucie spełnienia.

Dave pokręcił głową, jakby odpowiedź nie mogła mu przejść przez usta.

- Mnie twój status nie przeszkadza - wypomniała pod wpływem emocji. - Zresztą nieważne, przepraszam - szepnęła zawstydzona, że poruszyła tak osobisty, przypuszczalnie bolesny dla niego temat.

Odebrała od niego puste talerze, zniosła je do kuchni. Dave podążył za nią z kieliszkami w rękach. Wziął od niej resztę naczyń, ustawił je na kuchennym stole. Carolyn zajrzała mu w oczy. Ujrzała w nich tak wielki smutek, że z trudem powstrzymała łzy. Ostrożnie

uniosła rękę do jego policzka. Serce biło jej tak mocno, jakby chciało wyskoczyć z piersi.

- Robiłem, co mogłem, żeby z tobą zostać, nie zważając na plotki, ale nie wolno nam lekceważyć opinii publicznej. To do niczego dobrego nie prowadzi.

Carolyn już przewidywała dalszy ciąg. Nadchodziła pora pożegnania. Dave podnosił kotwicę, tylko patrzeć, jak chwyci wiatr w żagle i zniknie bez śladu. Nie wyobrażała sobie rozstania. Zappełnił pustkę w jej życiu. Ledwie traciła go z oczu, już zaczynała tęsknić. Nie wiedziałyby, jak dalej żyć bez nadziei na ponowne spotkanie. Nie chciała słuchać żadnych więcej argumentów, i tak nie trafiłyby jej do przekonania. Wolała chłonąć jego ciepło, póki przy niej był. Otoczyła go ramionami, przyciągnęła do siebie, wtopiła usta w gorące, wilgotne wargi. Ku jej zdziwieniu nie zaprotestował, nie próbował stawiać oporu.

Zachował jednak kontrolę nad sobą. Z całych sił tłumił pożądanie. Kiedy Dave ją puścił, z trudem chwytła powietrze. Stali zaledwie kilka centymetrów od siebie.

- Prawda wygląda tak, Carolyn: jestem najemnikiem, a ty właścicielką najlepiej prosperującego przedsiębiorstwa w mieście. Mieszkam w używanej przyczepie, a ty w pięknej willi. - Zatoczył ręką krąg. - Ludzie zaczną gadać, już szepczą za plecami. Czy sądzisz, że nasza zażyłość umknęła uwagi mieszkańców? Małe miasteczka mają bystre oczy, a ludzkie języki ranią gorzej od miecza. Nie chcę, żebyś przeze mnie cierpiała.

- Ale...
- Jutro składam wypowiedzenie z dwutygodniowym terminem.
- Nie! - wykrzyknęła w rozpaczy, w pełni świadoma, że w momencie rozwiązania stosunku pracy Dave opuści Colville na zawsze.

Dave jakby się zawahał.

- Znajdę inne zajęcie, w innej miejscowości - oznajmił po krótkiej chwili milczenia.

- Z czego będziesz żył do tego czasu?

- Niewiele mi potrzeba.

- Nie obchodzi mnie ludzkie gadanie - zapewniła z całą mocą.

- Ale mnie obchodzi - odrzekł z powagą. Poglądził ją po policzku.

- Byłoby mi przykro, gdyby całe miasto wzięło cię na języki.

Carolyn zrozumiała, że go nie przekona. Ponownie otoczyła go ramionami.

- Mam wyrzuty sumienia, że ponad wszystko pragnę cię przy sobie zatrzymać. To czysty egoizm z mojej strony.

- Nie. Ja także chcę przy tobie zostać. Na razie jeszcze cię nie opuszczam.

- Obiecujesz?

- Tak - wyszeptał z nieśmiałym uśmiechem.

Carolyn przysięgła sobie, że pozwoli mu odejść, gdy tego zapragnie. Gdzieś w głębi duszy płonął jednak nieśmiały płomyk nadziei, że siła jej miłości sprawi cud i zatrzyma go w Colville.



## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

W środę rano Susanna poczuła przemożną potrzebę powrotu do domu. Po rozmowie z Joem przeprowadziła rachunek sumienia. Zadzwoił ponownie poprzedniego wieczoru. Rozmawiali ponad godzinę. Wypomniął jej zmienność nastrojów i wieczny niepokój z początku wakacji. Nigdy nie wyjawiała, że w tym okresie nieustannie miała przed oczami obraz byłego chłopaka, że wizje przeszłości nawiedzały ją zarówno na jawie, jak i we śnie.

Nie wierzyła już, że kiedykolwiek go odnajdzie, ale też nie miała ochoty dalej szukać. Informacja, że uciekł z kraju pod fałszywym nazwiskiem skłoniła ją do zamknięcia niedokończonego rozdziału życia. Prawdopodobnie w latach siedemdziesiątych znacznie łatwiej było zmienić tożsamość niż obecnie. Nigdy nie przypuszczała, że przy okazji odkryje skazy na życiorysie uwielbianego brata. Nadal nie dawała wiary, że był zamieszany w handel narkotykami.

Przestępcza działalność jedyne go syna załamałaby ojca, zniszczyłaby na zawsze spokój rodziny, Susanna rozważała możliwość sprawdzenia prawdziwości tych pomówień w biurze szeryfa. Mimo że od tamtej pory minęło ponad trzydzieści lat, w archiwum z całą pewnością przechowywano akta dawnych spraw. Niewykluczone, że pewne informacje zamieszczono również w Internecie.

Ponieważ nie chciała przeszkadzać Carolyn w pracy, postanowiła skorzystać z komputera w bibliotece w centrum miasta. Nie poinformowała Chrissie, dokąd wychodzi. Córka wróciła

poprzedniego dnia bardzo późno. Susanna nie zdradziła, w jakiej sytuacji widziała Troya. Uznała, że lepiej zebrać wiadomości o rywalce Chrissie, zanim doprowadzi do konfrontacji.

Nawet z pomocą bibliotekarki nie odnalazła strony internetowej biura szeryfa. Następnie przejrzała archiwum lokalnej prasy. Wpisała do wyszukiwarki nazwisko Jake'a Presleya. Również bez rezultatu. Natomiast gdy wystukała nazwisko brata, na ekranie ukazał się artykuł na temat wypadku. Nie pamiętała, czy widziała go kiedykolwiek. Oczy Susanny zaszyły łzami. Napisano tam, że Doug zmarł na miejscu wskutek złamania kręgosłupa szyjnego. Odetchnęła z ulgą, że samochód nie stanął w płomieniach, a brat nie umierał w męczarniach. Sięgnęła do torebki po chusteczkę, otarła łzy. Kilka minut później wyłączyła komputer, podziękowała bibliotekarce za pomoc, po czym poszła do biura szeryfa.

W recepcji zastała młodziutką dziewczynę. Z całą pewnością nie pamiętała sędziego Leary'ego, który przeszedł na emeryturę wiele lat temu. Niecierpliwie zerknęła na zegar. Widać było, że wyczekuje przerwy jak zbawienia.

- W czym mogę pomóc? - spytała ze zmarszczonymi brwiami.  
- Chciałabym dotrzeć do aktu oskarżenia przeciwko Dougowi Leary'emu z wczesnych lat siedemdziesiątych.

- Zna pani datę?
- Siedemdziesiąty trzeci.

Panienska potrząsnęła głową, krótkie loczki zawirowały wokół twarzy.

- Wszystkie dokumenty sprzed siedemdziesiątego ósmego roku zostały przeniesione do magazynu w piwnicy.

- Czy ktoś mógłby je dla mnie wydostać?

- Chyba pani żartuje! - Urzędniczka wbiła w nią zdumione spojrzenie. - Ledwo nadążamy z bieżącą robotą. Dwie osoby poszły na urlop, brakuje ludzi.

- Przecież chyba kiedyś wróca?

- I tak nikt nie ma czasu grzebać w archiwach, chyba że trzeba wyciągnąć dokumenty, związane z jakimś bieżącym procesem.

- Sprawa dotyczy mojego brata. Zginął w wypadku. Ostatnio poinformowano mnie, że prawdopodobnie wpadł w tarapaty. Chciałabym poznać całą prawdę.

- Przykro mi, nie mogę pani pomóc. - Urzędniczka zmarszczyła brwi, pokręciła zdecydowanie głową.

- O ile pamiętam, w siedemdziesiątym trzecim roku funkcję szeryfa pełnił pan Dalton, dobry znajomy mojego ojca.

Dziewczyna odwróciła się do ściany, na której wisiał rząd fotografii.

- Zgadza się. Odszedł jednak przed moim przyjściem do pracy.

- Czy nadal mieszka gdzieś w okolicy?

Dziewczyna skinęła głową. W tym momencie podeszła do niej inna pracownica.

- Przypuszczam, że tak. Teraz wychodzę na przerwę. Jeśli ma pani jakieś pytania, zadzwonię po zastępstwo, o ile znajdę kogoś, kto dysponuje czasem.

- Dziękuję, nie trzeba.

Susanna przypomniała sobie, że emerytowany szeryf grywał niegdyś w brydża z jej ojcem co najmniej raz w tygodniu. Aby zdobyć jego adres, wystarczyło przejrzeć notes matki. Wróciła do domu. Odnalazła poszukiwane dane bez kłopotu. Mieszkał przy Old River Road, kilka kilometrów za miastem. Susanna nie anonsowała wizyty, zdała się na łut szczęścia. Natychmiast wyruszyła w drogę.

Jadąc błotnistym podjazdem, ujrzała tabliczkę z nazwiskiem „Dalton” na przydrożnej skrzynce pocztowej. Kiedy zaparkowała przed małym domkiem, otoczonym dobrze utrzymanym trawnikiem, starsza kobieta w wieku około siedemdziesięciu lat, o miłej powierzchowności, otworzyła oszklone drzwi. Miała siwe, kręcone włosy i lekko zaokrągloną, lecz proporcjonalną, przyjemną dla oka figurę.

Susanna wysiadła z samochodu.

- Pani Dalton? - spytała, ponieważ nie mogła sobie przypomnieć imienia.

- Tak. W czym mogę pomóc?

- Jestem Susanna Leary, po mężu Nelson.

- No jasne, Susanna! Miło cię widzieć, moje dziecko! - wykrzyknęła radośnie gospodyni. - Co słyhać u mamy? Zamierzałam ją odwiedzić po pogrzebie George'a, ale ciągle mam pełne ręce roboty, brakuje mi doby.

Susanna z nieśmiałym uśmiechem uścisnęła wyciągniętą rękę. Nawet teraz było jej trudno słuchać kondolencji. Wciąż nie wiedziała,

jak odpowiadać, więc po prostu podziękowała za pamięć. Po wymianie powitalnych grzeczności pani Dalton zaprosiła ją do środka.

- Czy mogłabym zadać panu Daltonowi kilka pytań? - zagadnęła Susanna z zakłopotaniem.

- Na jaki temat?

- Trafiłam ostatnio na pewne informacje dotyczące mojego brata. Pamięta pani Douga?

- O tak. Twoi rodzice nigdy nie doszli do siebie po jego śmierci. - Pani Dalton zmarszczyła brwi.

- Widzisz, mój mąż od pewnego czasu choruje na serce. Potrzebuje spokoju. Staram się oszczędzać mu stresów.

- Rozumiem. - Susanna skinęła głową. - Dołożę wszelkich starań, żeby go nie zdenerwować - zapewniła uroczyście.

Pani Dalton przez chwilę rozważała jej słowa, jakby nie dowierzała, że spełni obietnicę.

- Greg siedzi na słońcu na tarasie za domem - powiedziała po chwili wahania. - Idź do niego, przygotuję coś zimnego do picia.

Susanna podążyła za nią przez kuchnię, przeszła przez rozsunięte szklane drzwi na patio. Greg Dalton siedział przygarbiony, z rękami na kolanach i twarzą zwróconą ku słońcu. Wyglądało na to, że drzemie. Susanna nie chciała zakłócać mu spokoju. Tak cicho jak potrafiła odsunęła krzesło. Wystarczył jednak cichy szmer, by staruszek otworzył oczy. Rzucił jej gniewne spojrzenie.

- Przepraszam - wyszeptała.

- Kim pani jest?

Susanna wymieniła swoje imię i nazwisko. Gdy wspomniała brata, były szeryf wbił w nią zdumione spojrzenie.

- Jestem córką sędziego Leary'ego - dodała. - Pamięta pan moich rodziców?

- Oczywiście.

- A Douga? Zginął w wypadku przed wielu laty.

Pani Dalton przyniosła na tacy trzy szklanki różowej lemoniady. Susanna wzięła je i postawiła na stole. Pan Dalton ponownie wypytał Susannę o rodzinne powiązania.

- Chodzi o Douga Leary'ego - pospieszyła z pomocą jego żona. - Syna sędziego.

- Co za paskudna maniera powtarzać w kółko to samo! Ludzie marnują czas na gadanie po próżnicy - warknął były szeryf. - Oczywiście, że go pamiętam. Zginął przed trzydziestu paru laty.

- Chcesz lemoniady, Greg? - spytała pani Dalton pojednawczo. Równocześnie posłała Susannie znaczące spojrzenie.

Jej mąż pokręcił głową. Zamknął oczy, jakby nagle zmorzył go sen.

- To było do przewidzenia. Przykro mi, Susanno. Ostatnio przesypia pół dnia. Może ja spróbuję ci pomóc.

Susanna pożałowała, że tu przyjechała. Miała dość odgrzebywania ciemnych spraw z przeszłości. Nie wypadało jednak odrzucić oferty serdecznej gospodyni. Opisała w skrócie wszystkie działania, które doprowadziły do przypadkowego odkrycia skazy na wizerunku brata. Na koniec zaznaczyła, że uważa pomówienie o

działalność przestępczą za zwykłe oszczerstwo, ale ponieważ przeżyła wstrząs, postanowiła sprawdzić każdy ślad dla spokoju su-mienia.

- Minęło tak wiele lat... - zaczęła pani Dalton z ociąganiem.

- To prawda. Mieszkałam wtedy w internacie we Francji. Ponieważ przebywałam poza krajem, dotarły do mnie zaledwie strzępy informacji. Chciałabym uzupełnić wiedzę na temat mojego brata, a także, jeśli to możliwe, innego kolegi ze szkoły, Jake'a Presleya.

Pani Dalton usiadła obok Susanny. Zmarszczyła brwi.

- Pamięć mnie już zawodzi - zastrzegła na początek.

- Rozumiem. Będę wdzięczna choćby za parę słów.

- To było potworne! - wtrącił szeryf, nagle rozbudzony.

- Naprawdę pamiętasz tamte wydarzenia, Greg? - spytała starsza pani.

- No wiesz! Trudno zapomnieć taki skandal! Zresztą nie mam jeszcze sklerozy - ofuknął ją. - Ci młodzieńcy sami nawarzyli sobie piwa, wyjątkowo gorzkiego, słowo daję. Próbowałem interweniować, ale byłem bezsilny.

Susanna wstrzymała oddech. Nic nie mówiła w obawie, że jakiegokolwiek słowo przerwie tok jego myśli.

- Doug nie był złym chłopcem. Ten drugi też nie. Wdepnęli w bagno, z którego nie umieli wyjść. Wpadli w złe towarzystwo. Jeden z tych małomiasteczkowych łotrzyków był tajnym agentem. Kiedy ich wydał, akurat wyjechali do Idaho. Ale potem wrócili do Colville. Wtedy zaczęły się kłopoty. Ponieważ przekroczyli granicę stanu, ich

postępowanie zostało zakwalifikowane jako naruszenie prawa federalnego.

Susanna nie rozumiała zawłości prawnych. Chciała poprosić o bliższe wyjaśnienia.

- Czy to znaczy, że miejscowe władze...

- Nie miały nic do gadania - dokończył za nią pan Dalton. - Podlegali federalnemu wymiarowi sprawiedliwości, oskarżał ich federalny prokurator. George był załamany. Przedyskutowaliśmy wszelkie sposoby obrony. Niestety żadnego z nich nie mogliśmy w tym wypadku zastosować.

- Że też pamięta pan tyle szczegółów! - zawołała Susanna z podziwem.

- O tak, jakby to było wczoraj. Pani brat popełnił głupi błąd. Jego przyjaciel również. Tego typu przestępstw nie da się zatuszować. Gdy do akcji wkracza rząd federalny, nie sposób uniknąć kary. Nawet ojciec sędziego nie pomoże. - Pan Dalton patrzył w przestrzeń przed siebie. - Przybyłem pierwszy na miejsce wypadku. Znalazłem go martwego. Uderzył w drzewo. Z samochodu buchała para i dym. Otworzyłem drzwi od strony kierowcy. Ciało chłopca upadło wprost w moje ramiona. - Potrząsnął głową, jakby odpędzał koszmarnie wspomnienia.

- Greg oglądał wiele wypadków w ciągu lat pracy na stanowisku szeryfa - wtrąciła pani Dalton. - Ale po raz pierwszy w życiu przeżył tak wielki wstrząs. Doug był synem bliskiego przyjaciela. Mąż zadzwonił do mnie. Poprosił, żebym posiedziała z Vivian, póki



George nie zidentyfikuje ciała. George omal nie umarł z rozpaczy - zakończyła drżącym głosem.

Żal ścisnął Susannę za gardło. Patrzyła tępo w szklanekę z lemoniadą. Upiła zaledwie łyk napoju, wątpiła, czy przełknie następny.

- Ze względu na przyjaźń z George'em i jego pozycję mąż robił, co mógł, by utrudnić władzom federalnym wgląd w dokumentację. Załatwił formalności osobiście, tak dyskretnie, że niewiele osób wiedziało o całej sprawie.

- Czy wie pan może, co się stało z Jakiem Presleyem?

Pani Dalton pokręciła głową.

- Niestety nie.

- Zniknął. Wyparował jak kamfora - mruknął szeryf, nie otwierając oczu.

Susanna to właśnie podejrzewała. Odstawiła szklanekę.

- Czy uzyskała pani to, na czym pani zależało? - zapytał szeryf.

- Tak. Bardzo mi pan pomógł.

- To dobrze.

- Dziękuję, że zechciał mi pan poświęcić tyle czasu. - Susanna wstała. - Czy gdybym miała jeszcze jakieś pytania, wolno mi będzie zadzwonić?

Pani Dalton skinęła głową.

- Zrobimy, co w naszej mocy, żeby pani pomóc.

Susanna jeszcze raz wyraziła wdzięczność. Ze łzami w oczach wróciła do auta. Uzyskała odpowiedzi, których potrzebowała, ale z całą pewnością nie takie, jakie chciałyby usłyszeć.

## **ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY**

Gdy Susanna wróciła do domu, jak zwykle nie zastała Chrissie. Tym razem jednak wyjątkowo odczuła ulgę z tego powodu. Przeraziła ją perspektywa kolejnej utarczki, zwłaszcza teraz, po wizycie u szeryfa. Musiała najpierw choć trochę ochłonać przed kolejną batalią. Aczkolwiek trudno jej było utrzymać język za zębami, jeszcze nie zdradziła, że widziała Troya w niedwuznaczej sytuacji z inną. Wątpiła, czy córka jej uwierzy, zwłaszcza bez dowodów. Widziała w nim wyłącznie zalety.

Poczucie bezradności doprowadzało ją do rozpacz. W domu było gorąco. Otworzyła frontowe i tylne drzwi, żeby zrobić przeciąg. Później usiadła w ogrodzie. Zamknęła oczy, usiłując uporządkować myśli. Nie wiadomo kiedy zasnęła w cieniu sosny. Nic dziwnego. Ostatniej nocy spała zaledwie cztery godziny, a poprzedniej jeszcze mniej. Przygniatały ją rozliczne strapienia, ciężkie niczym gradowe chmury.

Działo się z nią coś niedobrego. Do tej pory zawsze zachowywała trzeźwy umysł, obiektywnie oceniała rzeczywistość. Chociaż wcześniej stanowczo zaprzeczała teorii Joego, po cichu przyznawała mu rację, że kryzys nastąpił w ubiegłym roku, po śmierci ojca. Teraz nie była już niczego pewna. Z niecierpliwością wyczekiwała powrotu

do domu, w nadziei że w znajomym otoczeniu jej życie wróci do normy.

Ostatnie słowo zabrzmiało jak gorzkie szyderstwo. Normalność oznaczała dla niej proste, uczciwe życie bez wstydliwych tajemnic, przekłamań czy niedomówień. Powrót do takiej właśnie nieskomplikowanej rzeczywistości, zdawałoby się odległej o tysiące lat świetlnych, przyniósłby jej ukojenie mimo przemęczenia i zniechęcenia.

Zamknęła oczy, odchyliła głowę do tyłu. Bez trudu przywołała obraz Jake'a sprzed trzydziestu lat, jakby właśnie stał przed nią w czarnej, skórzanej kurtce. Na samą myśl o nim serce przyspieszyło. Wtedy skoczyłaby za nim w ogień. Gdyby rodzice wiedzieli, jak często wymykała się z domu na nocne randki, chybaby ją wyklęli. Spotykali się w jej ulubionym zakątku, który Jake nazywał Ogrodem Susanny. Siadywali na otoczonej krzewami róż ławeczce, niewidocznej z okien domu.

Chociaż przysięgłaby na wszystkie świętości, że kochał równie mocno jak ona, czas pokazał, że jego uczucie nie było aż tak trwałe. Bolała ją ta świadomość. W tamtych czasach wierzyła bezgranicznie zarówno w niego, jak i w potęgę wzajemnej miłości, zdolnej skruszyć wszystkie przeszkody, przerzucić most nad każdą przepaścią. Błagała ojca, by nie wysyłał jej za ocean. Pozostał głuchy na wszelkie prośby, ślepy na łzy jedynej córki. Twierdził, że pewnego dnia podziękuje mu za tę stanowczość. Nie miał racji. Nigdy mu nie wybaczyła.

Trzaśnięcie drzwiami samochodu wyrwało Susanne z zadumy. Ujrzała Chrissie. Kroczyła ku frontowym drzwiom z zawziętą miną, w obcisłych dżinsach i jeszcze ciaśniejszej bluzeczce. Wyszła jej naprzeciw.

- Nie powstrzymasz mnie, mamó - oświadczyła twardo.

- Przed czym? - Susanna przetarła oczy.

- Przed przeprowadzką do Colville. Właśnie wracam od babci. Życzy sobie, żebym z nią została. Obiecała, że mnie utrzyma, póki nie znajdę pracy. Nie opuszczę jej. Potrzebuje mnie. Niepotrzebnie zaalarmowałaś tatę.

- Jeśli zamierzałaś go sama zawiadomić, zepsułam ci niespodziankę - zakpiła Susanna.

- I tak by mnie nie przekonał.

- Nie liczyłam na cud. - Susanna westchnęła głośno. - A więc zamierzasz mimo wszystko zostać...

- Mimo czego?

- Mimo że nie jesteś jedyną wybranką Troya. Widziałam go w parku z inną - wyrzuciła z siebie wbrew wcześniejszym postanowieniom.

- Bardziej żalosego argumentu nie mogłaś wymyślić - prychnęła pogardliwie Chrissie, obserwując twarz matki zwięzonymi oczami.

- Myśl sobie, co chcesz, ale to prawda. - Susanna demonstracyjnie wzruszyła ramionami.

- Od początku robiłaś wszystko, żeby nas rozdzielić, ale nie sądziłam, że posuniesz się do oszczerstw.

- Sama sprawdź. - Wskazała telefon w kuchni.
- Dobrze - oświadczyła Chrissie po chwili wahania.

Przedfilowała przez pokój energicznym krokiem z wysoko uniesioną głową. Susanna podążyła za nią do kuchni, ciekawa, jaką odpowiedź otrzyma od syna Jake'a Presleya. Przyłapała się na tym, że przestała kwestionować jego ojcostwo.

Chrissie usiadła na pokrytej linoleum podłodze z podkurczonymi nogami, oparła plecy o ścianę, a podbródek o kolana. Gdy Susanna przestąpiła próg, trzymała już w ręku słuchawkę. Na widok matki wzniosła oczy do sufitu. Susanna zignorowała znaczące spojrzenie. Usiadła na kuchennym blacie. Ani przez sekundę nie wierzyła, że Troy powie prawdę.

- Cześć - zagadnęła Chrissie, gdy Troy odebrał telefon. - Czy spotkałeś się wczoraj z kimś?

Przez chwilę ze spuszczoną głową słuchała jego wyjaśnień. Wreszcie podniosła wzrok na Susannę.

- Aha, z koleżanką z liceum, Jenny Sandberg, w parku. Rozumiem, dawno jej nie widziałeś - powtarzała każde słowo głośno, dobitnie, żeby dotarło do matki.

Jej naiwność załamała Susannę do reszty. Chrissie przekazywała słowa Troya bez cienia wątpliwości w jego prawdomówność, nie kryjąc przy tym triumfu. Zdaniem Susanny, śmiałe uściski w parku daleko wykraczały poza ramy koleżeńskich serdeczności.

- Mama podejrzewała, że mnie okłamujesz, ale ja w to nie wierzę.

Zdecydowanie przesadziła. Podobnie jak jej ukochany naginała fakty według własnego widzimisię. Susanna tylko poradziła jej, żeby sprawdziła prawdziwość informacji. Nie miała ochoty dalej słuchać. Odwróciwszy się na pięcie, opuściła kuchnię.

- Czemu miałabym mieć coś przeciwko temu? - ciągnęła Chrissie.  
- Tak, powiedziałam jej - dodała nieco ciszej, po czym znowu podniosła głos, tak żeby matka usłyszała ostatnie zdanie: - Jestem dorosła, musi zaakceptować mój wybór.

Susanna poczuła skurcz w żołądku. Bez trudu odgadła, że poruszyli sprawę wspólnego zamieszkania. Przeszła do salonu. Usiadła na jednym z pozostałych jeszcze krzeseł. Kilka minut później Chrissie wyszła z kuchni w kierunku sypialni.

- Kiedy zawiadomiłaś ojca o swojej decyzji? - zapytała Susanna.  
- Dzisiaj po południu.  
- I co on na to?  
- Nieważne. Najważniejsze, co mówił Troy. Kazał mi się przygotować na to, że dołożycie wszelkich starań, żeby nas rozdzielić. Twoje ostatnie intrygi tylko potwierdzają jego przypuszczenia.

- To nie intrygi. Mówiłam prawdę.  
- Troy też. Spotkał się z koleżanką ze szkoły. Wcale nie jestem zazdrosna.

Susanna nie przywiązywała wielkiej wagi do wypowiedzi Troya, za to zdecydowanie chciała poznać opinię męża. Ponownie poprosiła o powtórzenie popołudniowej rozmowy telefonicznej.

- Drażni mnie, że skarżysz na mnie przy każdej różnicy zdań - wytknęła Chrissie urażonym tonem.

- Ojciec powinien wiedzieć o poczynaniach córki. Człowiek po to zakłada rodzinę, by wspólnie z bliskimi rozwiązywać problemy.

- Żaden problem nie istnieje. To nie wasz interes. Przemyślałam wszystko. Nie zmienię zdania, bo go kocham.

- Prawie go nie znasz.

- Moim zdaniem znam go wystarczająco dobrze - orzekła Chrissie z naciskiem, chwyciła torebkę i wyszła na dwór, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

Susanna patrzyła bezradnie, z jakim zapałem wybiega naprzeciw nieszczęściu. Serce jej krwawiło, że nie potrafi ustrzec córki przed popełnieniem najpoważniejszego błędu w życiu. Kilka minut później szyby w oknach zadrżały od ryku silnika. Susanna zerknęła w okno. Chrissie właśnie wsiadała do zdezelowanej furgonetki Troya. Gdy odjechali, w domu zapanowała martwa cisza.

Susanna wróciła do swego pokoju. Siadła na brzegu łóżka, ukryła twarz w dłoniach. Póki nie uniosła głowy, nie zwróciła uwagi na leżącą na biurku kartkę. Gdy po nią sięgnęła, otworzyła szeroko oczy. Po przeczytaniu wiadomości zapało jej dech. Zawierała tylko jedno zdanie:

*Spotkajmy się na cmentarzu o siódmej wieczorem.*

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Po odkryciu listu Susanna wpadła w popłoch. Natychmiast zadzwoniła do najbliższej przyjaciółki. Nie potrafiła zebrać myśli ani tym bardziej odgadnąć, z jakiego powodu nieproszony gość wyznaczył jej spotkanie. Carolyn przyjechała najszybciej, jak mogła. Susanna czekała na nią na frontowych schodach.

- Co się stało? - spytała Carolyn, zamykając drzwi auta. - Nigdy wcześniej nie słyszałam aż takiego przestachu w twoim głosie - dodała, wstępując na schody.

Susanna zaprowadziła ją prosto do sypialni, którą zajmowała zarówno w dzieciństwie, jak i obecnie. Wskazała skrawek papieru na małym biurku.

Carolyn pochyliła nad nim głowę.

- Wiesz, kto to napisał? - spytała przez ramię po przeczytaniu.

- Nie mam bladego pojęcia.

Susanna usiadła na brzegu łóżka. W ciągu dziesięciu minut oczekiwania na przyjazd Carolyn nie doszła do żadnych konstruktywnych wniosków. Serce biło jej szybko, ręce zwilgotniały, dostała zawrotów głowy. Uprzytomniła sobie, że od rana nic nie wzięła do ust, ale mdliło ją na samą myśl o jedzeniu.

Jeszcze nie zdecydowała, czy pójdzie na cmentarz, chociaż o tej porze nadal było widno. Usiłowała wyobrazić sobie wszelkie możliwe konsekwencje każdej z ewentualnych decyzji. Carolyn zajęła miejsce obok.

- Nie sądzisz, że to Jake szuka z tobą kontaktu? - spytała szeptem.



- Nikt inny nie przychodzi mi do głowy - odparła Susanna.  
- Niewykluczone - myślała głośno Carolyn.  
- Wiadomo już, czemu po kryjomu opuścił Colville i dlaczego od tamtej pory nie widziano go w okolicy. Teraz musiał się dowiedzieć, że go szukasz.

- Tak, prawdopodobnie od Sharon - potwierdziła Susanna. - Obiecywała, że przekaże mu po zdrowienia.

- Pójdiesz? - spytała Carolyn.

- Jeszcze nie wiem.

- Chyba żartujesz! - Carolyn wbiła w nią zdumione spojrzenie. - Chcesz zrezygnować teraz, gdy masz go w zasięgu ręki, po tym jak straciłaś mnóstwo czasu i pieniędzy na poszukiwania? Przecież za wszelką cenę pragnęłaś go zobaczyć.

- Tak, kiedyś, ale teraz... nie jestem niczego pewna. Los zgotował mi ostatnio zbyt wiele niespodzianek - dodała, jakby na usprawiedliwienie swego wahania.

- Jeśli to Jake, podjął ogromne ryzyko - zauważyła Carolyn.

- To prawda - przyznała Susanna.

Więcej powiedzieć nie była w stanie. Roztrzęsiona, wyszła do kuchni. Przerażała ją sama myśl, że przyjazd Jake'a do Colville grozi procesem, a potem osadzeniem w więzieniu.

- Aż pobladłaś ze zmartwienia - zauważyła Carolyn.

- Niejednego. Zbyt wiele ich ostatnio na mnie spadło. Wczoraj wieczorem widziałam Troya w czułym uścisku z inną dziewczyną, ale

Chrissie zlekceważyła ostrzeżenie. Nie rozumiem, co w nim widzi. Straciła dla niego głowę - wyjaśniła Susanna z bólem serca.

Odnosiła wrażenie, że jej życie zatoczyło krąg, po którym wróciła do punktu wyjścia. Oto przeżywała na nowo własny koszmar z lat wczesnej młodości. Chrissie rzucała jej w twarz dokładnie te same zarzuty, które ona przed laty przedstawiała ojcu. Wciąż brzmiały jej w uszach niczym szydercze echo własnych słów.

Nagle wyobraziła sobie, co czuł George Leary, wysłuchując tego typu oskarżeń. Susannę paraliżował strach przed powtórzeniem jego błędów, tym większy, że istniało niemałe prawdopodobieństwo, że nikt inny jak tylko syn jej ukochanego zawrócił Chrissie w głowie. Los po latach spletał jej kolejnego okrutnego figla.

Z zamyślenia wyrwał ją gwizd czajnika. Napełniła obydwie kubki wrzątkiem.

- Nie poszłabyś ze mną? - spytała po długim wahaniu. - Autor nie zastrzegł, że mam być sama - dodała.

Miotały nią sprzeczne uczucia. Odczuwała równocześnie zaciekawienie, radosne podniecenie i wyrzuty sumienia wobec męża. Postanowiła bowiem zataić przed nim wieczorną wyprawę na cmentarz. Tłumaczyła sobie, że nie robi nic złego, spojrzy tylko raz w oczy byłemu chłopakowi, poprosi o wybaczenie za postępek ojca i na tym koniec.

W głębi duszy liczyła jednak na coś więcej. Czuła, że nie odzyska spokoju, póki nie przekona się, że Jake jest szczęśliwy, że George Leary nie zrujnował mu życia. Z całego serca życzyła mu

wszystkiego, co najlepsze. Poza tym chciała zamienić z nim parę słów na temat Troja. Liczyła na to, że ma jakiś wpływ na syna.

- Nie jestem pewna, czy powinnam ci towarzyszyć - oświadczyła Carolyn, kręcąc głową. - Moim zdaniem, nie prosił, żebyś przyszła sama tylko dlatego, że przez myśl mu nie przeszło, że zechcesz kogoś ze sobą wziąć.

- Racja. Ma wszelkie powody, by bać się ludzkich oczu i języków - przyznała Susanna. Wyciągnęła torebki z kubków, a następnie karton mleka z lodówki. - Dziwne tylko, że wybrał cmentarz, jak bohaterowie średniowiecznych romansów, które czytywałyśmy w liceum.

- Już widzę tę scenę: rycerz z opuszczoną przyłbicą stoi u boku damy w nocnej koszuli, w masce i ze świecą na brzegu urwiska. Wokoło panują egipskie ciemności - zażartowała Carolyn, dolewając mleka do herbaty.

- Nie zapominaj, że wiadomość została zaszyfrowana - podchwyciła Susanna z rozbawieniem.

Dowcipne skojarzenie Carolyn rozładowało nieco napięcie.

- Bardzo trafna uwaga - zauważyła Carolyn. Nagle spoważniała. - Właśnie, czy wyznaczając ci spotkanie na cmentarzu, nie dał przypadkiem do zrozumienia, że to, co było między wami, umarło na wieki?

Usiadły przy kuchennym stole. Susanna przez pewien czas w milczeniu rozważała słowa przyjaciółki. Nie podzielała jej obaw. Sądziła raczej, że Jake wybrał odludne miejsce w obawie przed

zdemaskowaniem. Nawet jeśli ktoś go przypadkiem zobaczy, uzna za krewnego jakiejś zmarłej osoby. Wyraziła głośno swoje zdanie na ten temat.

- Trudno wyczuć. W każdym razie żyje. Umarli nie pisują listów - podsumowała Carolyn.

Susanna zaczęła się zastanawiać, czy kiedykolwiek przedtem zaryzykował przekroczenie granicy Stanów Zjednoczonych. Z wypowiedzi Sharon wynikało, że raczej tak, albo też ona do niego dojeżdżała.

- Mogłabym zaczekać przy bramie, chociaż jeżeli on wybierze to samo miejsce, ucieknie na mój widok - wróciła do zasadniczego tematu Carolyn.

- Chyba nic mi nie grozi - orzekła Susanna po namyśle. Równocześnie zdecydowała, że poinformuje męża o wieczornej wyprawie na cmentarz. Uznała bowiem, że zasłużył sobie na szczerłość z jej strony.

- W takim razie zostanę u ciebie, póki nie wrócisz - zaproponowała Carolyn.

- Nie rób sobie kłopotu.

- Ktoś powinien znać miejsce twojego pobytu. Zresztą inaczej umarłabym chyba z ciekawości - dodała Carolyn, chichocząc jak pensjonarka.

Za dwadzieścia siódma Susanna poprawiła makijaż, rozczesała włosy. Rozważała nawet, czy nie włożyć czegoś bardziej kobiecego niż dzinsy i czarny bawełniany sweterek. Zrezygnowała jednak z

przebierania. Obróciła się tylko wokół własnej osi przed lustrem w przedpokoju, wciągając brzuch. Nie dało się ukryć, że w niczym nie przypomina siedemnastolatki, jaką zapamiętał Jake, ale przecież i na nim czas musiał odcisnąć swe piętno.

- Jak wyglądam? - spytała z drzeniem serca.

- Szczerze?

- Oczywiście - wyszeptała Susanna z duszą na ramieniu.

Przesadnie ostrożny wstęp nie zapowiadał pozytywnej oceny.

- Jakbyś miała zaraz zemdleć - orzekła Carolyn.

- Tak właśnie się czuję - odparła Susanna ze śmiechem.

Zadzwonił telefon. Susanna na moment zastygła w bezruchu. Ogarnął ją nieokreślony lęk. Z ociąganiem ruszyła w stronę kuchni. Po trzecim dzwonku Carolyn zaproponowała, że odbierze. Susanna z trudem odparła pokusę zrzucenia na nią kolejnego obowiązku. Jakiś wewnętrzny głos podpowiadał, że powinna zrobić to sama. Z niechęcią sięgnęła po słuchawkę.

- Jak dobrze, że panią zastałam - powitał ją nieznany, dość oschły, kobiecy głos. - Tu Michelle Larson z Altamiry. Przykro mi, ale pani mama przeżyła groźny upadek. Przewieźliśmy ją do Memorial Hospital.

- Doznała jakichś obrażeń?

- Wygląda na to, że złamała kość biodrową, ale trzeba poczekać na wynik badania. Z naszych ustaleń wynika, że udzieliła pani wszelkich pełnomocnictw.

- Tak - wyszeptała Susanna przez ściśnięte gardło.

Ostatnie zdanie wskazywało, że matka straciła przytomność.

- Prosimy o jak najszybsze przybycie do szpitala. Musi pani wypełnić dokumenty.

- Będę za pięć minut. - Susanna rzuciła słuchawkę.

Ruszyła pędem ku drzwiom, zapominając o obecności przyjaciółki.

Carolyn pobiegła za nią.

- Co się stało?

Susanna w skrócie przekazała jej słowa pielęgniarki, nagryzmoła szybko informację dla Chrissie i chwyciła torebkę. Gdy otwierała drzwi, Carolyn ponownie ją zatrzymała.

- A co z Jakiem?

Susanna zamrugła. Dopiero teraz przypomniała sobie o planowanym spotkaniu. Potrzebowała niecałej sekundy na rozstrzygnięcie dylematu.

- Idź za mnie.

- Ja? - Carolyn przyłożyła rękę do piersi.

- Nie mamy wyjścia, mama mnie potrzebuje.

Dręczyły ją wyrzuty sumienia, że nadużywa uprzejmości przyjaciółki, ale nikt inny nie mógł jej zastąpić.

Carolyn powoli kiwnęła głową.

- Będę miała u ciebie dług do spłacenia - powiedziała Susanna już w drodze do drzwi.

- Spotkamy się w szpitalu. - Carolyn podążyła za nią.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

Gdy Carolyn podjechała pod cmentarz, zastała zamkniętą bramę.

- No nie! - jęknęła, zatrzymując samochód.

Wysiadła, rozejrzała się po parkingu w poszukiwaniu innych pojazdów, ale żadnego nie dostrzegła w polu widzenia. Przeszła przez wąską furtkę. Mimo, że nie należała do osób strachliwych, ogarnął ją lęk. Samotne przebywanie wieczorem na cmentarzu nie należało do przyjemności. Zajmował wprawdzie niewielką powierzchnię, ale oferował sporo kryjówek.

Ponieważ autor listu nie podał konkretnego punktu spotkania, mógł nadejść z każdej strony. Carolyn ruszyła przed siebie ze skrzyżowanymi na piersiach rękami brukowaną środkową aleją. Logika podpowiadała, że najlepiej zaczekać przy grobie George'a Leary'ego. Odszukanie go nie sprawiło Carolyn większych trudności. Odczytała z płyty datę urodzenia i śmierci. Nie zamieszczono tam więcej żadnych inskrypcji. Widocznie ojciec Susanny, równie powściągliwy jak jej własny, nie życzył sobie żadnych ozdób czy cytatów.

Uniosła głowę. Westchnęła ciężko. Wokoło panowała martwa cisza. Uśmiechnęła się na myśl, że bezwiednie użyła najbardziej stosownego do miejsca wiecznego spoczynku określenia. Nie zauważyła w zasięgu wzroku nikogo z odwiedzających ani nawet ze służb porządkowych.

- To będzie wyjątkowo długa noc - powiedziała na głos do siebie.

Spojrzała na zegarek. Za pięć siódma. Wędrując pomiędzy rzędami nagrobków, nieustannie śledziła ruch wskazówek. Minuty ciągnęły się w nieskończoność. Ogarnęło ją zwątpienie. Doszła do wniosku, że niepotrzebnie traci czas. Ruszyła ku kwaterze rodziców. Przystanęła przed okazałą marmurową płytą, pogładziła chłodny kamień.

Nie była tu od kilku dni. Bukiety, które przyniosła dla rodziców, Lily i Douga widocznie już zdążyły zwiędnąć, skoro sprzątający je usunęli. Wiele płyt zdobiły sztuczne kwiaty. Carolyn zawsze stawiała żywe, z własnego ogrodu, zasadzone przez matkę przed łąty. Jej zdaniem, najlepiej wyrażały więź z tymi, którzy odeszli na zawsze.

O wpół do ósmej pojechała, że czeka na próżno. Przypuszczalnie Jake ją widział, ale nie ufał jej na tyle, by ryzykować utratę wolności. Zależało mu jedynie na spotkaniu z Susanną, z nikim innym. Wróciła na parking. Odczekała jeszcze piętnaście minut, po czym wsiadła do samochodu. Było jej przykro, że rozczaruje przyjaciółkę, ale nie mogła nic na to poradzić.

Kiedy przyjechała pod dom, nie zastała samochodu Susanny, co oznaczało, że nadal przebywa w szpitalu. Wobec tego bez zatrzymywania ruszyła w dalszą drogę. Zaparkowała przed głównym wejściem do trzykondygnacyjnego budynku z cegieł nieopodal parku miejskiego.

Szpital był najwyższą budowlą w całym hrabstwie i dumą Colville. Carolyn uczestniczyła w ceremonii oddania go do użytku, gdy miała pięć lub sześć lat. Doskonale pamiętała moment



uroczystego przecięcia wstęgi, występ szkolnego zespołu muzycznego i zwiedzanie sal. Największe wrażenie zrobił na niej poczęstunek dla dzieci, złożony z soków i ciasteczek.

Wysiadła z samochodu i ruszyła na poszukiwanie Susanny. Wolontariuszka z recepcji skierowała ją do niewielkiej poczekalni na drugim piętrze. Tam ją zobaczyła.

- Co z mamą? - zapytała z daleka.

- Jest na sali operacyjnej. Doznała skomplikowanego złamania, ma bardzo kruche kości. Doktor przewiduje, że będzie trzeba wstawić endoprotezę, jeśli się nie zrosną.

- O, nie! - jęknęła Carolyn.

Doskonale zdawała sobie sprawę, jak wielkie ryzyko niesie ze sobą tak trudna operacja w podeszłym wieku.

- Przyszedeł? - spytała Susanna po chwili milczenia.

Carolyn pokręciła głową.

- To było do przewidzenia. - Wzruszyła ramionami.

- Jednak mimo wszystko miałaś nadzieję?

Susanna znów odpowiedziała wzruszeniem ramion. Carolyn rozumiała ją bez słów. Poszukiwaniom Jake'a od początku towarzyszyły mieszane uczucia, a list wywołał jeszcze większy zamęt w jej głowie. Carolyn nie wykluczała, że Susanna poczuła ulgę na wieść, że Jake zrezygnował z dalszych prób nawiązania kontaktu.

- Sądysz, że to on odwiedzał dom mamy pod czas twojej nieobecności?

- Tak. Z początku myślałam, że dokonano włamania, a złodziej zgarnął, co mu w rękę wpadło, ale teraz jestem pewna, że to musiał być Jake.

- Z tego wniosek, że ukrywa się gdzieś w okolicy. Pewnie liczył na to, że zastanie cię w domu samą. Kiedy wykrył obecność Chrissie, wolał nie ryzykować, że go zdemaskuje.

- Chyba masz rację - stwierdziła Susanna po krótkim namyśle.

Nagle wszystkie elementy ułożyły się w głowie Carolyn w jedną całość. Była niemalże pewna, że Susanna wkrótce osiągnie wytyczony cel. Żałowała tylko, że zmarnowała masę pieniędzy na detektywa, podczas gdy poszukiwany przebywał w zasięgu ręki i w dodatku sam dążył do spotkania. Usiadła na brzegu sofy. Sięgnęła po egzemplarz kolorowego pisemka sprzed pół roku. Zbyt mocno współczuła Susannie, by zostawić ją samą w obliczu nieszczęścia, nawet jeśli nie miała nastroju do rozmowy.

Nagle od strony windy dobiegł okrzyk Chrissie:

- Mamusiu!

Susanna pospieszyła jej naprzeciw. Carolyn obserwowała, jak matka i córka padają sobie w objęcia. Złożyła gazetę. Uznała, że nie jest już potrzebna.

- Co z babcią? - spytała Chrissie ze łzami w oczach.

- Ma zabieg. Wygląda na to, że wszystko przebiega pomyślnie. - Zerknęła na zegarek - Chyba niedługo skończą.

- Biedulka! Jak doszło do wypadku?

- Wpadła tu do mnie na chwilę Michelle, pielęgniarka z Altamiry. Twierdzi, że babcia grała w bilard. Straciła równowagę, ponieważ używała laski zamiast kija. Podobno podczas upadku uderzyła głową o róg stołu, straciła przytomność.

- O nie! - jęknęła Chrissie, zakrywając twarz rękami.

- Człowiek, z którym grała, jest w szoku. Musiano mu podać środki uspokajające.

Wśród wielu niepomysłnych wiadomości Carolyn wychwyciła jedyną pozytywną: ucieszyło ją, że po początkowych kłopotach z adaptacją Vivian znalazła wreszcie przyjaciół. Jak na ironię, gdy zaakceptowała nowe otoczenie, uległa wypadkowi.

- Chyba już pójdę - powiedziała.

- Wybacz, zapomniałam o zasadach dobrego wychowania - przeprosiła ją Susanna. - Nie przedstawiłam ci córki.

Po dokonaniu wzajemnej prezentacji Chrissie wymamrotała parę uprzejmych słów. Carolyn pochwyciła jej badawcze spojrzenie.

- Chyba do końca życia ci się nie odwdzięczę - wyszeptała głęboko poruszona Susanna.

- Od czego człowiek ma przyjaciół?

Uściskały się serdecznie na pożegnanie, po czym Carolyn opuściła szpital. Na dworze panowały już ciemności. Nic dziwnego, dochodziła dziesiąta wieczorem. Ponieważ przyszło jej do głowy, że Jake mimo wszystko mógł się pojawić, skierowała samochód w przeciwną stronę, niż wiodła droga do domu. Ponownie podjechała

pod cmentarz. Jak było do przewidzenia, zastała bramę zamkniętą, a na parkingu ani jednego samochodu.

Zawróciła do miasta, wybierając okreśną drogę, koło tartaku. Jako że wolała naturalny przeciąg od klimatyzowanego powietrza, otworzyła szeroko okno. Już z daleka wyczuła przyjemną woń świeżo ściętego drewna. Z lubością wciągnęła ją w nozdrza. Podwórce zakładu wypełniały ułożone w sagi belki, nawilżane za pomocą nowoczesnych zraszaczy.

Po opuszczeniu okolic tartaku nacisnęła mocniej pedał gazu. Wkrótce wyprzedził ją pojazd jadący bez wątpienia z niedozwoloną prędkością. Natychmiast rozpoznała zarówno samochód, jak i kierowcę: Troya Nance'a. Ktoś mu towarzyszył.

Wyteżyła wzrok. W świetle reflektorów dostrzegła pasażerkę. Krótko ostrzyżona blondynka opierała głowę na ramieniu Troya. Carolyn przypomniała sobie, że Susanna także widziała go w towarzystwie jasnowłosej kobiety. Ponieważ rozsadzała ją ciekawość, skręciła w ślad za nimi w kierunku gospody Na Rozdrożu. Troy zatrzymał samochód na parkingu przed lokalem. Jego towarzyszka wysiadła.

Sądząc po ich zachowaniu, nie ulegało wątpliwości, że łączy ich coś więcej niż przyjaźń. Troy nie tracił czasu, zabawiał się z inną.

## **ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY**

Chrissie usiadła na sofie w poczekalni.

- Powiadomiłaś tatę?

Susanna pokręciła głową. Telefonowała do męża, ale nie zastała go w domu. Komórki również nie odbierał. Zostawiła mu wiadomość na sekretarce. Ponownie sięgnęła do torebki po telefon, lecz w tym samym momencie spostrzegła na przeciwległej ścianie tabliczkę: zakaz używania telefonów komórkowych. Ruszyła na poszukiwanie automatu. Na szczęście znalazła go trochę dalej w korytarzu. Chrissie deptała jej po piętach.

Odebrał Brian.

- Jest tata w domu? - spytała Susanna bez wstępów.

- O co chodzi? - odpowiedział pytaniem, jakby nie odsłuchiwał wiadomości. - Czy stało się coś złego?

- Gdzie tata? - Bardzo jej zależało na jak najszybszym kontakcie z mężem.

Odwróciła głowę w bok, żeby nie patrzeć na Chrissie, która obserwowała ją z wielkim zaciekawieniem, niczym biolog rzadki okaz pod mikroskopem.

- Zaczekaj, chyba go słyszę w garażu. Właśnie wraca z jakiegoś spotkania z kolegami po fachu - poinformował Brian, po czym zawołał ojca.

Gdy po mniej więcej minucie Susanna usłyszała głos męża, oczy jej zwilgotniały. Nagle potwornie za nim zatęskniła. Wyczerpała ją długa rozłąka. Poinformowała go o wypadku oraz o ewentualnych konsekwencjach.

- Obsługa Altamiry błyskawicznie interweniowała. Natychmiast przewieziono ją do szpitala, Strach pomyśleć, co by się stało, gdyby mieszkała sama - dodała na koniec.

Przerażające wizje połamanej, samotnej staruszki prześladowały ją od momentu, kiedy usiadła w poczekalni.

- Chcesz, żebym do was przyjechał?

- Na razie nie trzeba - odrzekła niepewnie.

Doskonale zdawała sobie sprawę, jak trudno byłoby mu w ostatniej chwili odwołać wizyty pacjentów.

- Czekamy na diagnozę.

- Jeśli będziecie potrzebowały pomocy, zadzwoń. Przyjadę najszybciej, jak to możliwe.

- Dziękuję, kochany - wyszeptała Susanna.

Więcej słów nie przeszło jej przez gardło. Wzruszenie odebrało jej mowę. Podziwiała gotowość Joego do poświęceń.

- Potrzebujesz czegoś? Co mógłbym dla ciebie zrobić?

- W tej chwili nic - odrzekła wbrew sobie.

W rzeczywistości bowiem bardzo potrzebowała wsparcia ze strony bliskiej osoby. Zbyt wiele ciężarów spadło na jej barki, by mogła je dalej sama dźwigać, zbyt wiele błędów popełniła, by ponownie zapanować nad sytuacją. Dopadło ją znużenie.

Ledwie odłożyła słuchawkę, z gabinetu wyszedł chirurg w zielonym uniformie. Przedstawił wyniki badań i zastosowane metody leczenia. Poinformował, że Vivian musi pozostać w szpitalu jeszcze co najmniej kilka dni. Później sugerował przeniesienie na okres

rekonwalescencji do domu opieki z intensywnym nadzorem medycznym. Chociaż przewidywał, że kości będą się zrastały bardzo powoli, zapewnił, że stan pacjentki rokuje powrót do zdrowia.

Susanna i Chrissie z ulgą wyruszyły w drogę powrotną. Susanna podziękowała córce za szybkie przybycie.

- Kiedy przeczytałam kartkę, wpadłam w popłoch. Troy podrzucił mnie do szpitala. Prosiłam, żeby wszedł razem ze mną, ale powiedział, że nie znosi zapachu środków dezynfekcyjnych.

Susanna przygryzła wargi. Pomyślała, że gdyby odwzajemniał uczucie Chrissie, tego typu drobiazgi nie przeszkadzałyby mu wspierać ją w najtrudniejszych chwilach. Przemilczała jednak tę uwagę.

- Serce mi krwawi na myśl o tym, jak bardzo babcia cierpi. Nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo ją kocham, póki nie uległa wypadkowi.

- Wiem, co czujesz - zapewniła Susanna. - Ale mogło być gorzej.

Gdy wróciły do domu, panowała w nim kompletna cisza i ciemności. Chrissie natychmiast zapaliła światło w przedpokoju. Obydwie nadstawiły uszu, wyteżyły wzrok w poszukiwaniu śladów obecności intruza. Na szczęście nie dostrzegły żadnej zmiany w otoczeniu, nie pochwyciły podejrzanych dźwięków.

Znalazły jedynie wetkniętą w drzwi wizytówkę agencji nieruchomości, już trzecią z kolei. Susanna podarła ją na strzępy, podobnie jak poprzednie. Oburzało ją natręctwo agentów.

Wystawienie domu na sprzedaż w obecnej sytuacji było ostatnią rzeczą, na jaką miałyby ochotę.

Pospieszyła do swej sypialni. Sprawdziła wszystkie zakamarki w poszukiwaniu nowego listu od Jake'a. Z całą pewnością nie wiedział, z jakiego powodu zrezygnowała z planowanego spotkania.

- Mamusiu! Carolyn dzwoni! - zawołała Chrissie z kuchni.

Zajęta poszukiwaniami Susanna nawet nie usłyszała dzwonka telefonu. Gdy tylko odebrała słuchawkę, Carolyn zapytała o stan matki. Susanna powtórzyła jej relację lekarza, podziękowała za troskę.

- Słuchaj, to nie moja sprawa, ale w drodze powrotnej widziałam Troya... - oznajmiła Carolyn. - Pojechał do gospody godzinę temu. Nie sam. Sądzę, że jeszcze tam jest.

- Rozumiem - mruknęła Susanna, zerkając dyskretnie na córkę.

Chrissie pojęła w lot, że rozmowa dotyczy jej osoby. Ledwie matka odłożyła słuchawkę, zażądała wyjaśnień.

- Miałabyś ochotę na krótką przejażdżkę? - odpowiedziała Susanna pytaniem.

Na wszelki wypadek postanowiła nie uprzedzać córki, co ją czeka.

- Skąd to nagle zamiłowanie do turystyki w środku nocy? - zadrwiła Chrissie.

- Nie przesadzaj, nie jest wcale tak późno.

- Pewnie trzymasz w zanadrzu jakąś sensację dotyczącą Troya.

Susanna bez słowa wzięła torebkę, przygotowała sobie kluczyki do samochodu, po czym wyszła na zewnątrz, nie obejrzawszy się na



córkę. Wyglądało na to, że Chrissie nie pójdzie w jej ślady. Widocznie jednak po namyśle zmieniła zdanie, bo kilka sekund później podeszła do auta z miną obrażonej królowny. Susanna włożyła kluczyk do stacyjki, Chrissie usiadła obok.

- Nic nie zyskasz - mruknęła. - Twoje intrygi nie robią na mnie wrażenia. Niezależnie od tego, co knujesz, zostanę w Colville z Troyem i babcią. - Demonstracyjnie odwróciła głowę ku oknu. Przez resztę drogi uparcie oglądała ciemności za szybą.

Dojechały w milczeniu na parking przed gospodą. Susanna omal nie zaklaskała w dłonie na widok znajomej furgonetki. Zaparkowała tuż obok.

- No i czego to ma dowodzić? - mruknęła Chrissie lekceważąco.

- Niczego. Mam ochotę się czegoś napić. A ty?

- Mamo, przestań.

- No dobrze. Idź sama. Ja zaczekam - zaproponowała Susanna sztucznie niefrasobliwym tonem.

- Jakich rewelacji oczekujesz?

- Sama zobacz. - Susanna z niewinną miną wzruszyła ramionami.

- Tu nie ma nic do oglądania. Lepiej wracajmy. Po tym, jak usiłowałaś pogrążyć Troya w moich oczach, uprzedził mnie, że nie znosi zazdrosnych kobiet. Oświadczył, że jestem jego jedyną dziewczyną, a jeśli mu nie ufam, powinnam odejść.

Susanna nie słuchała. Ze znudzonym wyrazem twarzy wskazała drzwi lokalu.

- Radzę ci jednak zajrzeć do środka.

Chrissie bez słowa wysiadła z samochodu, zatrzasnąwszy za sobą drzwi. Susanna zmarszczyła brwi. Wrogi nastawienie córki nie wróżyło porozumienia. Nie pozostało jej nic innego jak tylko czekać, aż Chrissie spojrzy prawdzie w oczy. Po pięciu nieskończone długich, pełnych napięcia minutach w drzwiach gospody stanęli czule objęci Troy z Chrissie. Szybkim krokiem podeszli do auta. Troy otworzył drzwi od strony kierowcy, wsadził głowę do środka.

- Co pani wyrabia?! - wykrzyknął. - To jakaś paranoja. Co pani sobie wyobraża? Chrissie jest moją jedyną dziewczyną! - oświadczył z chmurną miną, po czym obdarzył Chrissie uwodzicielskim uśmiechem.

- Nie pozwolę mamie nas rozdzielić - zapewniła żarliwie dziewczyna.

Jej mściwe spojrzenie załamało Susannę do reszty. Pojęła, że popełniła błąd. Przegrała z kretesem.

## **ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY**

Susanna zadzwoniła do szpitala z samego rana. Zapytana o stan matki pielęgniarka uspokoiła ją, że nastąpiła poprawa. Spragniona końskiej dawki kofeiny Susanna zaparzyła cały dzbanek kawy.

Poprzedniego dnia Chrissie nie odezwała się do niej ani słowem w drodze powrotnej z gospody. Siedziała sztywno wyprostowana, jakby kij połknęła, ze skrzyżowanymi na piersiach rękami i wzrokiem

utkwionym przed siebie. Niedwuznacznie dawała do zrozumienia, że toleruje towarzystwo matki jedynie z konieczności.

Pijąc kawę przy kuchennym stole, Susanna zastanawiała się, czy do rana jej gniew choć trochę osłabł. Chrissie nie kazała jej długo czekać na odpowiedź. Wyszła o ósmej z sypialni, ubrana jak do wyjścia. Wkroczyła do kuchni, lecz na widok Susanny zastygła w bezruchu, jakby ujrzała ducha.

- Dzień dobry - pozdrowiła ją Susanna możliwie neutralnym tonem.

Chrissie udała, że jej nie widzi.

- Skończ wreszcie te dąsy - upomniała ją Susanna.

- A ty przestań wtykać nos w moje sprawy - odburknęła Chrissie, patrząc na nią spod zmarszczonych brwi. Jej oczy rzucały gniewne błyski. - Kocham Troya, z wzajemnością.

- Znasz go zaledwie od dwóch tygodni.

- Podobno nie życzyłaś sobie kłótni - wypomniała Chrissie z fałszywą słodyczą w głosie. - W takim razie czemu zaczynasz dzień od kazania? Podważasz każdą moją decyzję, jesteś ze mnie wiecznie niezadowolona, podobnie jak ojciec. Zbrzydł mi wasz nieustanny nadzór. A szkoły nienawidzę. Przeżywam z Troyem najpiękniejsze chwile w życiu, a ty robisz wszystko, żeby nas poróżnić! - wyrzuciła z siebie z wściekłością.

- Nie jest dla ciebie odpowiednim partnerem - zaczęła Susanna ostrożnie.

- Na jakiej podstawie go osądzasz? Nawet nie dajesz mi szansy sprawdzić, która z nas ma rację - wypomniała z goryczą. Głos jej się załamał, jakby miała się zaraz rozplakać.

Susanna policzyła w myślach do dziesięciu, żeby nieco ochłonać. Spróbowała wyrównać przyspieszony oddech.

- Podaj mi przynajmniej jeden powód, dla którego go miałabym go lubić - powiedziała tak spokojnie jak potrafiła, gdy tylko trochę opanowała wzburzenie.

- Chociażby dlatego, że go kocham - odparowała Chrissie, zaciskając pięści.

Nie przekonała Susanny. Jej zdaniem ani fascynacja córki, ani wątpliwy urok osobisty Troya nie stanowiły wystarczającej przeciwwagi dla rozlicznych wad. Wyliczyła najbardziej rażące, w nadziei że otworzy córce oczy:

- Nigdzie nie pracuje, jest nieodpowiedzialny i w dodatku za stary dla ciebie.

- Mamo, daj spokój! - jęknęła Chrissie. - Nie obchodzi mnie jego zawód ani wiek. Wyszukujesz najdziwniejsze z możliwych powody do nienawiści.

- Nie nienawidzę go - zaprzeczyła Susanna.

Zaślepienie córki doprowadzało ją co prawda do rozpacz, ale bez trudu odgadła jego przyczyny. Chociaż według Carolyn Troy miał około trzydziestu lat, zachował psychikę rozpieszczonego dzieciaka. Nic dziwnego, że zawrócił w głowie równie niedojrzałej emocjonalnie dziewczynie. Susanna straciła nadzieję, że jakkolwiek logiczny

argument przemówi jej do rozsądku, tym bardziej że Chrissie właśnie uniosła ręce do góry w dramatycznym geście.

- Trudno z tobą wytrzymać! - wykrzyknęła.

Susanna mogłaby powiedzieć to samo. Chrissie nie należała do grzecznych dzieci. Już mając dwa lata, wykazywała nieprzejednany upór. Z wiekiem skłonność do buntu systematycznie narastała.

- Nie mam z tobą o czym rozmawiać - oświadczyła Chrissie, po czym opuściła kuchnię, rezygnując nawet z codziennej porannej kawy.

Susanna z ciężkim sercem usiadła przy stole. Kłótnia z córką przywołała przygnębiające wspomnienia. Podobne spory, zakończone trwałym rozłamem w rodzinie, toczyła wiele lat temu z ojcem na temat Jake'a. Miała nadzieję, że tym razem nie zaprzepaściła szansy na dojście do porozumienia.

Równocześnie uświadomiła sobie, jak ciężko przeżywał George Leary jej własny młodzieńczy bunt. Wtedy w poczuciu krzywdy nie brała jego uczuć pod uwagę, widziała w nim apodyktycznego sędziego o kamiennym sercu, którego nieprzejednana postawa zamknęła jej drogę do szczęścia. Jako nastolatka z głową pełną romantycznych ideałów wyobrażała sobie, że jej miłość sprawi cud i zawróci Jake'a ze złej drogi.

Teraz nie była już taka pewna, czy nie zawiódłby jej bezgranicznego zaufania. Chociaż w świetle ostatnich wydarzeń zrozumiała motywy ojca, nadal uważała, że popełnił niewybaczalny błąd, nie dając Jake'owi szansy udowodnienia swojej wartości.

Osądził go z góry, bez sprawdzenia uznał za niegodnego córeczki. Ponieważ kochała Jake'a do szaleństwa, każde słowo krytyki tylko umacniało to uczucie, równocześnie pogłębiając konflikt z ojcem. Przymknęła sobie, że nie pójdzie w jego ślady. Przełknawszy urazę, podeszła do drzwi sypialni córki i delikatnie zapukała.

- Kto tam? - zapytała Chrissie, jakby w domu przebywało na stałe co najmniej dziesięć osób.

Susanna wzniosła oczy do nieba.

- Mama.

Chrissie otworzyła drzwi. Stała w nich z ręką na klamce, dając do zrozumienia, że gotowa je w każdej chwili zatrzaskać przed nosem matki.

- Pewnie chcesz mi powiedzieć, że dziewczyna w moim wieku nie potrafi należycie ocenić człowieka?

- Nie. Przyznaję ci rację. Rzeczywiście nie dałam Troyowi szansy. Chrissie zmrużyła oczy, jakby podejrzewała podstęp.

- Następnym razem potraktuję go znacznie uprzejmiej - zapewniła Susanna.

- Naprawdę? - Chrissie nadal patrzyła na nią nieufnie. Wyglądało jednak na to, że pojednawcza deklaracja nieco uśmierzyła jej gniew. - To naprawdę świetny gość.

- Chyba tak, skoro oddałaś mu serce.

- Jest rewelacyjny! Zna mnóstwo ludzi, wszyscy go lubią. Gdziekolwiek pójdziemy, każdy do niego podchodzi, pozdrawia, wita z otwartymi ramionami.

Susanna przemilczała smutną refleksję, że jej zdaniem tak zwani przyjaciele czekają z utęsknieniem nie tyle na samego Troya, ile na oferowany przez niego towar. Innych powodów niezwyklej wręcz popularności nie potrafiła sobie wyobrazić. Przerazała ją naiwność Chrissie, która najwyraźniej uważała liczbę znajomych za miernik wartości człowieka. Jednakże gorzkie przemyślenia zaowocowały opracowaniem nowej strategii. Susanna postanowiła mianowicie doprowadzić do tego, by Chrissie sama przejrzała na oczy.

- Nie zechciałabyś go zaprosić dzisiaj na kolację? Zamówiłabym pizzę, posiedzielibyśmy, pogadali... - zaproponowała.

Chrissie obdarzyła ją promiennym uśmiechem, wdzięczna za dobrą wolę.

- Spróbuję, ale nie sądzę, by przyjął zaproszenie. Nie przepada za siedzeniem przy stole.

- Nie obrażę się, jeśli odmówi - uspokoiła ją Susanna. - Chcę tylko, żeby wiedział, że zależy mi na poprawie wzajemnych stosunków - dodała.

Prawdę mówiąc, wolałaby go nie oglądać. Raczej nie byłoby jej stać na udawanie sympatii przez kilka godzin.

- Dziękuję, mamusiu - wyszeptała wzruszona Chrissie.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odrzekła Susanna z wyszukaną uprzejmością.

- Jak babcia?

- Lepiej.

- Chciałabym ją teraz odwiedzić w szpitalu.

- Dobrze, przekaz jej, że wpadnę po południu - poprosiła Susanna. Żałowała, że nie może towarzyszyć córce, ale Joe zamówił ekipę z firmy ochroniarskiej, która pomiędzy ósmą a dwunastą miała założyć alarm antywłamaniowy. Bardzo martwiła się o matkę. - Po wizycie lekarskiej będzie wiadomo coś więcej - dodała.

- Dobrze, zaczekam na lekarza. Przekażę ci wszystkie informacje.

- Wspaniale. Bardzo ci dziękuję, kochanie - wyszeptała Susanna. Nie uniknęło bowiem jej uwagi, że córka również wyciągnęła rękę do zgody. W pełni doceniała jej starania.

Wkrótce Chrissie wyjechała do szpitala samochodem matki, a Susanna wróciła do kuchni, by dokończyć kawę. Po cichu pogratulowała sobie sukcesu. Gdyby jej ojciec wykazał przynajmniej połowę tej dobrej woli, co ona, szybko zażegnałby konflikt, a życie wszystkich zainteresowanych stron ułożyłoby się zupełnie inaczej. Zaledwie dziesięć czy piętnaście minut po wyjściu Chrissie zadzwonił dzwonek u drzwi. Susanna pakowała właśnie patelnie i garnki w kuchni. Zostawiła pudła na środku, żeby otworzyć elektrykom, chociaż zdziwiło ją, że tak wcześnie przybyli.

Lecz gdy otworzyła drzwi, nie ujrzała fachowców. Na schodach stał Troy Nance w poplamionym podkoszulku, dżinsach i butach do jazdy motocyklem, z włosami związanymi w koński ogon. Susanna nabrała pewności, że jest synem Jake'a. Przy każdym spotkaniu odnajdywała więcej wspólnych cech.

- Dzień dobry - zawołała tak przyjaźnie, jak potrafiła. - Chrissie pojechała odwiedzić babcię w szpitalu.



- Wiem, mówiła mi. - Troy nie okazał najmniejszego zdziwienia nadspodziewanie serdecznym powitaniem. - Ja do pani.

Susanna na moment oniemiała ze zdumienia. Otworzyła szeroko oszklone drzwi, ponieważ jednak nieproszony gość zignorował zaproszenie, wyszła do niego na schody.

- W czym mogę pomóc?

- Chrissie twierdzi, że zmieniła pani nastawienie do mnie.

- Miło mi, że pan przyszedł - odparła Susanna wymijająco.

Wolała zachować rzeczywistą opinię na jego temat dla siebie, przynajmniej na razie.

- Proszę nie udawać, że mnie pani polubiła - odburknął.

Chociaż szorstkim słowom towarzyszyło wrogie spojrzenie, Susanna poczuła ulgę, że uwolnił ją od przykrej konieczności udawania przyjaźni. Przynajmniej obydwójce wiedzieli, na czym stoją.

- W każdym razie próbuję doprowadzić do rozejmu.

- W jakim celu?

- Ponieważ nie chcę utracić córki z pana powodu - przyznała otwarcie.

- Mógłbym pani pomóc.

- Świetnie. - Susanna wydała westchnienie ulgi.

Troy odszedł na koniec ścieżki, w kierunku furtki.

- Chrissie oznajmiła, że jeśli nie pozwolą jej państwo zostać w domu babci, przeniesie się do mnie. Szczerze mówiąc, nie jestem zainteresowany. Nie przedyskutowałem z nią jeszcze tematu, ale odnoszę wrażenie, że pani również nie byłaby zachwycona.

Susanna miała ochotę go uściskać.

- Może jej pan spokojnie przedstawić swoje stanowisko.

- To nie takie proste. Zrobi okropną scenę, odegra obrażoną księżniczkę.

- No cóż, rzeczywiście jest trochę przewrażliwiona.

- Moim zdaniem rozpieszczona. Królewna z drewna.

Susanna zaniemówiła z oburzenia. W głębi duszy zgadzała się z jego oceną, ale tak bezlitosna krytyka z ust obiektu westchnień zakochanej dziewczyny sprawiła jej wielką przykrość. Nagle doznała olśnienia. Pojęła, że Troy odwiedził ją nie tylko po to, żeby ponarzekać. Gorzkie słowa musiały wyrażać coś więcej niż znudzenie. Spojrzała na niego podejrzliwie.

- Do czego pan zmierza?

- No, wreszcie pani załapała. - Usta Troya wykrzywił ironiczny grymas. Zimne oczy przewiercały Susannę na wskroś. - Nie potrzebuję wiele wysiłku, by Chrissie przyleciała do mnie jak na skrzydłach. - Pstryknął palcami dla zilustrowania swych słów. - A pani wiele by dała, żeby jej nie stracić, prawda?

Susanna w milczeniu skinęła głową.

- Szczerze mówiąc, Chrissie mnie już nudzi. Jest mało zabawna, rozkapryszona, za dużo wymaga, ale jakoś to zniosę jeszcze przez jakiś czas, jeśli zajdzie taka potrzeba.

- Co pan chce przez to powiedzieć? - zapytała Susanna w panice.

- Mogę z nią zrobić, co zechcę: uszczęśliwić albo złamać serce. Wiele zależy od tego, jak wysoko ją pani wycenia. Ile jest warte dla pani jej szczęście?

- Czego pan żąda? - wykrztusiła Susanna. Słowa Troya zabrzmiały jak okrutny żart, lecz groźba zabrzmiała poważnie. Po plecach przebiegł jej lodowaty dreszcz. - Próbuje mi pan odsprzedać rodzoną córkę?

- Prawdę mówiąc, cierpię ostatnio na brak gotówki. Za pięć tysięcy dolarów gotów jestem zniknąć z jej życia. Ot, zwykła wymiana uprzejmości, przysługa za przysługę.

Susanna zaniemówiła. Troy Nance nie żartował. Wymienił dokładnie tę samą kwotę, jaką jej ojciec zapłacił Allanowi Presleyowi za opuszczenie miasta.

- To jednorazowa oferta. Albo przyjmie ją pani teraz...

- Albo?

- Albo wytrzymam z Chrissie jeszcze trochę, przywiążę ją do siebie jeszcze mocniej, zapoznam z paroma kolegami. Chyba potrafi sobie pani wyobrazić dalszy scenariusz?

Susanna o mało nie zemdląca.

- Nie zależy panu na niej, prawda?

- Niespecjalnie. W każdym razie nie na dłuższą metę. Miło było ją trochę pobujać, to wszystko. - Odsłonił zęby w złośliwym uśmiechu. - Mama opowiadała, że w szkole okropnie zadzierała pani nosa. Jej zdaniem najwyższa pora, by ktoś go wreszcie utarł.

Susanna tylko patrzyła rozszerzonymi ze zgrozy oczami, niezdolna wykrztusić słowa.

- No co, wchodzi pani w ten układ?

Wyjątkowo perfidny - dodała w myślach Susanna, rozgoryczona, że z premedytacją igrał uczuciami naiwnej dziewczyny. Mimo że od początku miała o Troyu jak najgorsze zdanie, nawet nie przeszło jej przez myśl, że zechce prehandlować miłość Chrissie na żywą gotówkę. Chociaż mdliło ją z obrzydzenia, zdawała sobie sprawę, że przyszłość córki spoczywa w jej rękach. Musiała pertraktować z szantażystą, nie pozostawił jej wyboru. Spróbowała grać na zwłokę:

- Nie dysponuję tak dużą sumą.

- Niech pani weźmie od męża, tylko szybko.

- Nie wyrazi zgody.

- W takim razie sprawa zakończona. - Troy odwrócił się na pięcie.

Ruszył w kierunku furtki.

- Nie! Znajdę pieniądze! - krzyknęła za nim w rozpacz, w stu procentach pewna, że spełni groźbę, jeśli nie otrzyma zapłaty.

- Niech pani pomyśli o swej bogatej przyjaciółce - zasugerował Troy cynicznie.

- Nigdy w życiu nie poprosiłabym jej o tego rodzaju przysługę.

- Nawet dla ocalenia ukochanej córeczki? - drwił bez żenady. - Czekam o siódmej wieczór w gospodzie Na Rozdrożu. Albo przyniesie pani pieniądze, albo zabawa skończona - dodał lodowatym tonem.

Susanna nie nazwałaby tej brudnej gry zabawą.

- Nie wiem, czy zdążę - usiłowała jeszcze negocjować.
- To już pani problem - rzucił na odchodnym.

## **ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY**

Susanna nerwowo przemierzała pokoje, rozmyślając, skąd wziąć pieniądze. Pożyczka w banku nie wchodziła w grę, ze wspólnego konta nie mogła wyciągnąć tak dużej kwoty bez zgody męża. Rozważała jeszcze możliwość skorzystania z karty kredytowej, gdy usłyszała warkot silnika za oknem. Chrissie wróciła w doskonałym nastroju, pełna najlepszych intencji.

- Babcia wygląda wspaniale, jakby ubyło jej lat - zaszczębiotała radośnie od progu. - Tyle że pomyliła mnie z tobą. Pielęgniarka twierdzi, że to normalne, wkrótce dojdzie do siebie.

- A co mówił lekarz?

- Niewiele. Zapewniał, że nastąpiła poprawa.

Chrissie bacznie obserwowała jej minę.

- Nie martw się o babcię - usiłowała ją uspokoić. - Naprawdę dobrze się czuje.

Susanna z wysiłkiem kiwnęła głową. Chrissie zmarszczyła brwi.

- Widzę, że coś cię jeszcze trapi - zauważyła.

- Nic ważnego, same drobiazgi. Powinnam pozałatwiać różne sprawy, a muszę czekać na fachowców z firmy ochroniarskiej - skłamała Susanna.

W rzeczywistości nie miała nic do załatwienia prócz przedyskutowania z Carolyn strategii postępowania w obliczu szantażu.

- No to jedź. Ja zostanę w domu - zaproponowała Chrissie.

Jej chęć pomocy w równym stopniu ucieszyła, co zaniepokoiła Susannę. Uświadomiła sobie bowiem, że dziewczynie bardzo zależy na akceptacji otoczenia. Wystarczyło okazać jej odrobinę ciepła, by przylgnęła do człowieka, wybaczyła wszystkie urazy. Brała każde miłe słowo za dobrą monetę, co czyniło z niej łatwy łup dla wszelkiej maści oszustów.

Susanna zapłaciłaby każdą cenę, żeby uchronić ją od zguby. Z drugiej strony nie dowierzała, że Troy poprzestanie na wyłudzeniu pięciu tysięcy. Po namyśle postanowiła na początek wręczyć mu połowę żądanej sumy, o ile w ogóle ją zdobędzie.

Gdy podjechała pod tartak, Carolyn prowadziła właśnie negocjacje z kupcem. Susanna usiadła w niewielkiej poczekalni dla interesantów. Obserwowała przez okno rozległe podwórze, które wypełniały ułożone w sagi deski.

Kiedy gwizdek ogłosił przerwę na lunch, załoga przerwała pracę, maszyny umilkły. Mężczyźni różnej postury, niscy, wysocy, lecz mimo wszystko podobni do siebie dzięki jednakowym kombinezonom opuszczali budynki, łączyli się w grupy. Ojcowie, mężowie, bracia utrzymywali z pracy w tartaku całe rodziny. Susanna w pełni doceniała ekonomiczne znaczenie zakładu dla społeczności Colville.

Skrzypnęły drzwi. Później Susanna usłyszała pożegnalną wymianę grzeczności.

- Co cię tu sprowadza? - spytała Carolyn zza jej pleców.

Susanna oderwała wzrok od okna.

- Znajdziesz dla mnie chwilkę czasu?

- Oczywiście.

Carolyn zaprowadziła ją do biura, usiadła za biurkiem, obrzuciwszy przyjaciółkę badawczym spojrzeniem.

- Co się stało?

Susanna zajęła miejsce naprzeciwko. Wzięła głęboki oddech.

- Dziś rano odwiedził mnie Troy Nance.

- Nie sądzę, żeby wpadł z przyjacielską wizytą.

- Zdecydowanie nie określiłabym jej w ten sposób - stwierdziła Susanna z gorzką ironią. - Wczoraj wieczorem zabrałam Chrissie do gospody. Popełniłam błąd. Troy kazał mi za niego drogo zapłacić. Żąda pięciu tysięcy dolarów za zerwanie z moją córką.

- Co takiego?! - wykrztusiła Carolyn.

- To jeszcze nie wszystko. Najgorsze, że Sharon w pełni aprobuje jego nikczemne knowania.

Carolyn oniemiała ze zgrozy, podobnie jak wcześniej Susanna.

- Szuka zemsty - stwierdziła, gdy wreszcie odzyskała mowę. - Nigdy ci nie wybaczyła, że odbiłaś jej chłopaka.

Susanna przyznawała jej rację, zważywszy wszystkie uszczypliwości, których musiała wysłuchać w gospodzie. Nie umknęła jej uwagi triumfalna mina, z jaką Sharon poinformowała ją,

że Jake do niej wrócił, ani złośliwy błysk w oczach, kiedy sugerowała, że jest ojcem Troya.

- Co zrobisz?

- Jeszcze nie wiem. Rozsądek podpowiada, że najlepiej zapłacić i mieć go z głowy - powiedziała Susanna.

Nagle poczuła, że robi jej się słabo. Odnosiła wrażenie, że przeżywa na nowo własny dramat sprzed lat. Analogia pomiędzy zawartą przez ojca transakcją a tą, którą jej proponowano, nasuwała się sama.

- Tylko nie zemdlej! - krzyknęła Carolyn.

Susanna pokręciła głową.

- Właśnie przyszło mi na myśl, że Allan Presley mógł sam wystąpić z inicjatywą zapłaty za zniknięcie - wyjaśniła.

Wcześniej winiła jedynie ojca za zawarcie nikczemnej umowy. Wykluczała współdziałanie Jake'a. Serce podpowiadało jej bowiem, że nie byłby zdolny do takiej podłości. Zatopiona w rozważaniach na temat terażniejszości i przeszłości, dopiero po pewnym czasie uświadomiła sobie, że Carolyn coś do niej mówi.

- Co na to Joe?

- Nic nie wie. Za żadne skarby nie wyraziłby zgody. A ja nie mam wyjścia, muszę zapobiec nieszczęściu, póki nie jest za późno. Stawką jest przyszłość mojego dziecka. Odmowa może nas wszystkich znacznie drożej kosztować - zaszlochała w rozpacz.

Nie wątpiła, że jeśli odrzuci ofertę, łajdak bez skrupułów zrujnuje Chrissie życie. Przedstawi ją „przyjaciołom” z półświatka,



narkomanom, przestępcom, życiowym rozbitkom. Wcześniej czy później poczęstują ją kokainą czy innym świństwem, a ona nie odmówi, by nie zrażać do siebie ukochanego. Nie pozostało jej nic innego, jak odsunąć go od Chrissie za wszelką cenę, co oznaczało konieczność pożyczania żądanej sumy. Wzięła głęboki oddech.

- Rzecz w tym, że nie dysponuję taką kwotą. Pięć tysięcy nie leży na ulicy. Rozważałam możliwość zaciągnięcia kredytu w banku, ale wtedy trudno byłoby zachować całą sprawę w tajemnicy przed Joem - dodała pośpiesznie, żeby uprzedzić ewentualny komentarz.

Carolyn westchnęła głęboko.

- Moim zdaniem powinnaś przedstawić mu ten problem.

Lęk o przyszłość córki przeważał jednak nad poczuciem lojalności. Los Chrissie spoczywał w jej rękach. Szczerść wobec męża mogła ją zbyt drogo kosztować. Musiała ją ratować nawet za cenę kolejnego konfliktu w rodzinie. Z drugiej strony, kolejny sekret dodatkowo obciążał jej już i tak niezbyt czyste sumienie. Postanowiła, że wytłumaczy Joemu swoje motywy już po wszystkim.

Szczerze, punkt po punkcie, przedstawiła Carolyn swoje stanowisko. Następnie otworzyła torebkę. Wyciągnęła z niej pierścionek ze szmaragdem, który Joe podarował jej z okazji dwudziestej rocznicy ślubu. Kosztował dwa i pół tysiąca dolarów. Drugie zabezpieczenie stanowił sznur pereł mniej więcej zbliżonej wartości, który Vivian dała jej na przechowanie.

- Miałam nadzieję, że pożyczysz mi tę sumę - wykrztusiła z trudem przez ściśnięte gardło. Czuła, że ze wstydu płoną jej policzki.

Przychodząc do Carolyn, nie wyobrażała sobie, jak trudno będzie poprosić o pożyczkę. - Oddam ci w zastaw biżuterię - dodała ze spuszczoną głową.

- Moim zdaniem, popełniasz poważny błąd, nie informując męża, ale uszanuję twoją decyzję. Odetchnę z ulgą dopiero wtedy, gdy mu wszystko wyznasz.

- Przyrzekam, że to zrobię, ale jeszcze nie teraz.

Carolyn wypisała czek. Następnie wypełniła na komputerze formularz.

- Zatrzymaj biżuterię. Twój podpis wystarczy.

Susanna podpisała dokument, następnie schowała precjoza do torebki i podziękowała za wsparcie.

- Miejmy nadzieję, że Chrissie doceni twoje poświęcenie.

- Nie powiem jej o tym za żadne skarby! - wykrzyknęła Susanna.

- Oskarżyłaby mnie, że złamałam jej życie. Nigdy by mi nie wybaczyła.

- A co zrobisz, jeżeli Troy zażąda kolejnej sumy?

- Raczej tego nie zrobi. Chrissie już go znudziła. Nie ukrywa, że traktuje ją jak balast.

Zmarszczone brwi Carolyn świadczyły o tym, że podziela jej odrazę.

Susanna ruszyła w drogę powrotną. Zastała Chrissie w holu. Klęczała przed szafą z bielizną pościelową. Pakowała właśnie poszewki na poduszki.

- Był tu człowiek z firmy ochroniarskiej - poinformowała na powitanie. - Z tej samej, która zakładała alarm u nas w domu. Podałam im twój dzień, miesiąc i rok urodzenia jako kod.

- Doskonale - wymamrotała Susanna.

Powinna odczuć ulgę po zdobyciu pieniędzy, ale wcale jej nie czuła. Wręcz przeciwnie, popadła w jeszcze większe przygnębienie. Carolyn uświadomiła jej mankamenty podjętej decyzji, a równocześnie nie potrafiła podsunąć lepszego pomysłu.

- Czy wszystko w porządku, mamusiu? - spytała Chrissie, uważnie ją obserwując.

- Oczywiście - zapewniła wbrew prawdziwym odczuciom.

- Odnoszę wrażenie, że coś cię dręczy. Chyba nie chodzi o Troya?

W pierwszej chwili Susannie zaparło dech, zanim uświadomiła sobie, że córka nie wie o jego nikczemnej ofercie.

- Naprawdę doceniam twoje starania, mamusiu. Jestem ci bardzo wdzięczna.

- Robię, co mogę - mruknęła Susanna.

Chrissie skoczyła na równe nogi, padła matce w objęcia, uściskała ją i ucałowała z entuzjazmem.

- Nie pożałujesz, przyrzekam - zapewniła żarliwie.

Rzecz w tym, że Susanna już żałowała, zarówno tego, co ją już spotkało, jak i tego, co dopiero miała przynieść przyszłość.

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

Vivian była wyczerpana i obolała. Zdawała sobie sprawę, że przebywa w szpitalu. Nie potrafiła tylko określić pory dnia. Przypuszczała, że południe dawno minęło. Jak przez mgłę pamiętała tacę z jedzeniem, którego nawet nie tknęła. Ledwie starczyło jej sił, by utrzymać oczy otwarte. Dokładała wszelkich starań, żeby nie usnąć, w nadziei że George ją odwiedzi. Liczyła na to, że w jakiś sposób wyczuje, jak bardzo potrzebuje wsparcia. W końcu dopadło ją tak wielkie zmęczenie, że powieki same opadły.

- Vivian? - wyrwał ją z drzemki znajomy, burkliwy głos.

Gdy Vivian otworzyła oczy, ujrzała George'a Wakefielda z Altamiry, stojącego tuż przy łóżku. Pochylał się nad nią z troską, wsparty na kulach. Mimo że czekała nie na niego, lecz na imiennika, ucieszył ją ten widok. Posłała mu ciepły uśmiech. Nie zapomniała, że to podczas wspólnej gry w bilard upadła. Przypuszczała, że przeżył wstrząs.

- Jak się czujesz?

- Złamałam kość biodrową.

- Tak, już mnie poinformowano. A ostrzegałem, że nie wolno stosować laski w charakterze kija. Teraz widzisz, jakie to niebezpieczne.

- Sam nie świeciłeś przykładem, używałeś kuli.

George niemal się uśmiechnął, co Vivian poczytała sobie za sukces. Trudno było go rozbawić. Podobnie jak jej mąż, nie szafował zbyt hojnie uśmiechami.

- Jak tu dotarłeś? - spytała.

Nie wyobrażała sobie, że można niepostrzeżenie opuścić dom opieki, zważywszy, że personel kontrolował każdy krok pensjonariuszy.

- Wpisałem się do książki wyjść.

- Ale w jaki sposób się tu dostałeś?

- Ciekawa, co?

- Kto pyta, nie błądzi - roześmiała się Vivian. - Dobrze wiedzieć takie rzeczy, na wypadek gdybym i ja zechciała zrobić sobie wycieczkę.

- No dobrze, przyjechałem samochodem z Altamiry. Trzeba tylko złożyć zamówienie w recepcji.

- Aha - mruknęła. Czuła, że już najwyższa pora na kolejną tabletkę przeciwbólową.

- Czy mąż odwiedza cię jeszcze? - spytał George.

Odstawił kule pod ścianę, po czym usiadł wygodnie na jedynym krześle. Vivian pokręciła głową.

- Niestety nie. Bardzo liczyłam na kolejną wizytę. Doznałam zawodu.

- Mógł napotkać poważne trudności. Po tamtej stronie również obowiązują pewne ograniczenia.

Vivian przyznała mu rację, chociaż nie znała panujących w zaświatach reguł. Biblia dostarczała na ten temat niewiele informacji. Mąż też nie uzupełnił jej wiedzy. Nic dziwnego, zawsze milczał.

Pewnie tam, gdzie przebywał, obowiązywał zakaz rozmawiania z żywymi.

- Czy ktoś z mieszkańców Altamiry o mnie pytał?

- Kilka osób, między innymi twoja przyjaciółka Sally. Ponieważ żadna z pielęgniarek nie potrafiła mi udzielić informacji o twym stanie zdrowia, postanowiłem sam sprawdzić, jak się miewasz.

- To bardzo miło z twojej strony - odrzekła Vivian z rumieńcem na policzkach. Wzruszyła ją jego troska.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odrzekł z galanterią.

Coraz bardziej jej się podobał. Nagle zauważyła, że jest całkiem przystojny. Poza tym... Nie zdążyła dokończyć myśli, ponieważ w progu stanęła córka z wazonem pąsowych róż.

- Mamusiu...? - zagadnęła z niepewną miną, jakby nie wiedziała, czy powinna wejść do środka.

George wstał z mozołem. Następnie Vivian z zażenowaniem dokonała wzajemnej prezentacji. Dziwny wyraz twarzy córki wywołał u niej poczucie winy, mimo że nie zrobiła nic złego.

- Czy już kiedyś pana spotkałam? - zapytała Susanna.

- Nie, ale wiele o pani słyszałem.

- Rozumiem. - Postawiła wazon na podręcznej szafce, po czym ucałowała matkę w policzek.

- George nie jest moim chłopakiem czy jak wy tam to nazywacie - oświadczyła Vivian zdecydowanym tonem, żeby Susanna przyjęła informację do wiadomości, chociaż zdawała sobie sprawę, że w ich

wieku tego typu określenie brzmi raczej głupawo. Kilkadziesiąt lat wcześniej nazwałaby go zwyczajnie adoratorem czy też kawalerem.

- Naprawdę? - wtrącił George.

Nuta rozczarowania w jego głosie mile połechtła próżność Vivian.

- Przyjaźnimy się - uściśliła.

- To prawda - przyznał.

Informacja najwyraźniej ucieszyła Susanne, sądząc po uśmiechu.

- Lepiej już wróć do Altamiry - mruknął George, sięgając po kule.

- Mam nadzieję, że pana nie przepłoszyłam - powiedziała Susanna.

- Nie, kierowca czeka. Obiecałem, że nie zabawię długo. - Poklepał Vivian po ręce. - Dbaj o siebie, słyszysz?

- Dobrze - obiecała.

Następnie wyciągnęła rękę i dotknęła jego policzka w obawie, że zniknie nagle bez śladu jak jej mąż. Dostrzegła zdumienie w oczach George'a.

- Pora wracać. Będę za tobą tęsknić - wyszeptał, po czym opuścił pokój, z wprawą manewrując kulami.

- Mamusiu, czyżbyś naprawdę miała chłopaka? - spytała Susanna, gdy zamknął za sobą drzwi.

- Ależ skąd! - zaprzeczyła Vivian żarliwie. Odwróciła głowę w kierunku bukietu, jakby nic więcej jej nie interesowało. - Miło z twojej strony, że przyniosłaś mi róże.

- Nie zmieniaj tematu.  
- Nie chciałabym przysparzać ci trosk.  
- Co niby miałyby mnie zmartwić?  
- A bo ja wiem? Niedawno miałaś żal do ojca, chociaż nie przypominam sobie z jakiego powodu.

- Doszłam do wniosku, że chyba niesprawiedliwie go oceniałam - wyznała Susanna.

Ostatnie zdanie podziało jak kojący balsam na duszę Vivian.

- Obiecywałam, że zapytam, jaką przykrość ci sprawił, ale nie dał mi okazji. Nie przyszedł, chociaż czekałam pół nocy. Pewnie nie wie, że zmieniłam miejsce pobytu - wyrzuciła szybko z siebie cały żal.

Gdy podniosła wzrok, zauważyła łzy w oczach Susanny, co ją bardzo zmartwiło. Przeczula, że córka jeszcze przez nią zapłacze.

- Przepraszam - wymamrotała ze skruchą.

- Za co, mamusiu?

- Oszukałam cię. Zdradziłam George'owi, temu George'owi, którego dziś poznałaś, że żywisz o coś urazę do ojca i że obiecałam poprosić go o wyjaśnienia. Kiedy mój mąż nie przyszedł, George zwrócił mi uwagę, że mogę wykorzystać zbieżność imion, by cię uspokoić. Posłuchałam jego rady. To nie twój ojciec, tylko ten żywy George ułożył dla ciebie odpowiedź, że mój mąż narzucił ci swoją wolę dla twego dobra, z miłości.

- Już nie trzeba mnie o tym przekonywać. W ciągu ostatnich kilku dni wiele się dowiedziałam. Teraz sama się sobie dziwię, że



potrzebowałam tak wiele czasu, by przyjąć do wiadomości tak oczywistą prawdę.

- Nie całkiem cię okłamałam - wróciła Vivian do małej mistyfikacji, która obciążała jej sumienie. - Przemilczałam tylko, że nie rozmawiałam z twoim ojcem, lecz z jego imiennikiem.

- W porządku, mamusiu. Nie mam do ciebie pretensji.

- Całe szczęście - westchnęła Vivian.

Nagle poczuła, że po prawie całonocnym czuwaniu dopadło ją zmęczenie. Usiłowała nie robić sobie zbyt wielkich nadziei, że tym razem mąż ją odwiedzi.

- Chce mi się spać - szepnęła.

- Kolorowych snów.

- Będziesz tu jeszcze, gdy się obudzę?

- Jeśli wyjdę, to tylko po to, żeby coś załatwić.

- No to biegnij.

- Kocham cię, mamusiu.

Vivian posłała jej ciepły uśmiech, rada, że wreszcie wyznała prawdę. Kamień spadł jej z serca, że Susanna wybaczyła jej kłamstwo.

Chyba długo spała, bo gdy otworzyła oczy, w pokoju panowała cisza i ciemności. Tylko w łazience paliła się mała lampka. Nagle wyczuła w pobliżu czyjaś obecność. Odwróciła głowę. Obok łóżka stał George. Jej George. Przekroczył barierę pomiędzy światem żywych i umarłych, by wesprzeć ją w potrzebie.

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY

Susanna odczekała, aż matka zapadnie w głęboki sen. Dopiero później wyjechała sfinalizować umowę z Troyem. Gdy zatrzymała samochód przed gospodą Na Rozdrożu, z wnętrza dobiegały ochryple dźwięki jakiegoś utworu country. Mimo, że posiadała ustaloną kwotę, paraliżował ją lęk.

Podobnie jak podczas poprzedniej wizyty, lokal wypełniali przede wszystkim kierowcy ciężarówek. W powietrzu wisiał gęsty dym; odór alkoholu i spoconych ciał utrudniał oddychanie. Troy siedział przy stoliku z tą samą blondynką, z którą Susanna wcześniej go widziała, rzekomą koleżanką z dawnych lat, Jenny Jakaś-tam.

Wpatrzona w Troya jak w obraz, obejmowała go w pół. Nosiała ciasną bluzeczkę z tak głębokim dekoltem, że przy nieostrożnym ruchu piersi mogły wypaść na stół. Ledwie Susanna stanęła w progu, Troy odwrócił ku niej głowę. Nie odrywając od niej wzroku, szepnął coś do towarzyszki, po czym uwolnił się z jej objęć. Wskazał Susannie głową bar.

Tak jak poprzednio stała za nim Sharon, która zeszywniała na jej widok. Susanna również znieruchomiała. Troy leniwym krokiem podszedł do przeciwnego końca lady. Susanna na miękkich nogach podążyła ku niemu, nadal niepewna, czy podjęła właściwą decyzję.

- Ma pani pieniądze?

Skinęła głową, przyciskając torebkę do boku.

- Najpierw musimy uzgodnić parę szczegółów.

- Tylko bez wykrętów.

- Nie próbuję pana zwodzić, ale skoro płacę tak kolosalną sumę, potrzebuję gwarancji, że dotrzyma pan umowy. Skąd mam wiedzieć, że po zainkasowaniu pieniędzy nie zechce pan ponownie omotać dziewczyny?

- Spokojna głowa. Mam smaczniejsze rybki do usmażenia - prychnął lekceważąco.

- Czy to znaczy, że wyłudzenie pieniędzy od przerażonych rodziców należy do pana stałych obyczajów?

- Nie - odburknął, jakby temat go nudził. - Po prostu normalnie mi zbrzydła. Wyjedź do Seattle i po sprawie. Jak mówią: „co z oczu to z serca”.

Nie przekonał Susanny, chociaż wyraził głośno jej własne życzenie.

- Nie jestem pewna, czy Chrissie opuści Colville.

- Jasne, że tak. - Troy skwitował jej obawy zdawkowym kiwnięciem głową.

Znając upór córki, nie podzielała tej pewności. Gdyby mimo wszystko zdecydowała się zostać, cały plan spaliłby na panewce.

- Proszę nie zmieniać reguł gry - ostrzegł Troy.

- Nawet nie próbuję. Zależy mi jedynie na tym, żeby Chrissie wróciła tam, gdzie jej miejsce. Do domu i na uczelnię - uściśliła.

- Tym lepiej dla mnie. Do niczego mi niepotrzebna. - Troy obojętnie wzruszył ramionami. - Wolałbym, żeby przestała mi się płatać pod nogami. Bez obawy. Już moja w tym głowa, żeby wróciła do mamusi i tatusia jak grzeczna dziewczynka.

- Chyba nie poinformował jej pan o naszej umowie?

- A jak pani myśli?

Susanna uważała, że Troy zrobi wszystko, żeby uzyskać to, co chce, łącznie z wyjawieniem tajemnicy, jeśli tak będzie mu wygodnie. Mimo woli wróciła pamięcią do przeszłości. Zastanawiała się, czy George Leary żywił podobne obawy wobec Jake'a, czy przeżywał te same rozterki. Przypuszczała, że podobnie jak ona dzisiaj, do samego końca nie był pewien, czy słusznie postąpił.

- Absolutnie nie życzę sobie ujawnienia mojego udziału w tej sprawie - podkreśliła z mocą.

- Zgoda. A teraz kasa na stół.

- Za chwilę.

- Proszę posłuchać. Zaczynam tracić cierpliwość. Męczy mnie ta zabawa w kotka i myszkę. Albo natychmiast dostanę forszę, albo sprowadzę pani słodką dziewczynkę na manowce.

Susanna potraktowała groźbę poważnie. Ani przez sekundę nie wątpiła, że Troy bez najmniejszych skrupułów, ze złośliwą satysfakcją złamałby z zemsty życie naiwnej dziewczynie. Uznała, że przeciąganie negocjacji przyniesie więcej szkody niż pożytku. Położyła torebkę na blacie, rozsunęła zamek błyskawiczny, wyjęła plik banknotów i wręczyła szantażyście. Troy w milczeniu przeliczył pieniądze. Minutę później podniósł na nią wzrok.

- To tylko połowa ustalonej kwoty.

- Druga połowa została w domu. Otrzyma ją pan po wyjeździe Chrissie do Seattle - oświadczyła nieznoszącym sprzeciwu tonem.

Po długiej wewnętrznej walce oceniła, że mniej ryzykuje, zatrzymując część atutów w garści. Nie dawała wiary mitom o przestępczym honorze.

Troy wykrzywił twarz w grymasie niezadowolenia, ale rozważył jej słowa. Widocznie doszedł do wniosku, że lepszy wróbel w garści niż gołąb na dachu, i po długim namyśle skinął wreszcie głową.

- Zgoda, ale radzę dotrzymać słowa. - Wepchnął zwitek banknotów do przymocowanego łańcuszkiem do kieszeni dzinsów portfela.

Następnie bez słowa wrócił do swojego stolika, pociągnął za ramię przyjaciółkę, po czym obydwójce opuścili lokal. Kobieta szła ku drzwiom kocim krokiem, prowokująco kręcąc biodrami. Susanna pomyślała, że gdyby jej córka zachowywała się w tak wyzywający sposób, chyba spłonęłaby ze wstydu.

- Przystojniaczek z tego mojego chłopaka, co? - rzuciła Sharon zza lady. - Z każdym dniem bardziej przypomina ojca.

Susanna zignorowała ostatnią uwagę. Nie sprawiła jej przykrości, nie rozzłościła nawet. Sama odnajdowała coraz więcej podobieństw pomiędzy Troyem a Jakiem, już nie w wyglądzie, lecz w charakterze. Obydwu brakowało przymiotów, które najbardziej ceniła u mężczyzn: godności, poczucia honoru, klasy.

Gdy odkryła, że romantyczny bohater istniał jedynie w jej marzeniach, doznała gorzkiego rozczarowania. Przez całe lata wyobrażała sobie, że łączyła ich szczególna więź. Obserwując zawziętą minę córki, kiedy ze wszystkich sił broniła swych

romantycznych złudzeń, widziała niczym w krzywym zwierciadle własne odbicie sprzed lat.

Niegdyś to ona z uporem godnym lepszej sprawy skierowała całe rozgoryczenie z powodu zawiedzionej miłości przeciwko ojcu. Dziś życie oddało każdy cios, który mu kiedyś wymierzyła, taki sam ból, jaki mu kiedyś zadała, rozrywał jej serce. Przeżywała identyczne rozterki. Straciła pół życia na roztrząsanie rzekomych krzywd tylko po to, by wrócić do punktu wyjścia, zastosować takie same środki jak George Leary przed laty, z identycznego powodu: z miłości do dziecka. Błędne koło zamknęło się wokół niej.

- Jake wrócił do mnie natychmiast po twoim wyjeździe do Francji  
- oświadczyła Sharon.

- Nieprawda - odburknęła. Nadal wołała wierzyć w to, co do niej pisał.

- Za dużo sobie wyobrażałaś. Nigdy mu na tobie nie zależało - do dała. Sharon parsknęła pogardliwym śmiechem, co Susannę niewiele obeszło. - Myśl sobie, co chcesz. Troy jest najlepszym dowodem.

- Szkoda mi cię, Sharon. Sądzę, że Jake bardzo cię zranił, dlatego wylewasz całą gorycz na innych. - Z tymi słowami odwróciła się na pięcie i opuściła gospodę.

Wbrew hardym słowom utarczka z byłą rywalką odebrała jej resztki sił. Gdy nie musiała już udawać, nerwy puściły. Ręce drżały jej tak bardzo, że z trudem trafiła kluczykiem do zamka. Troy udzielił jej gorzkiej lekcji. Batalia o córkę uświadomiła jej, jaką drogę przez mękę przebył ojciec. Teraz to ona umierała ze strachu, że gdy prawda

wyjdzie na jaw, straci córkę na zawsze. Woląla nie myśleć, jak zareaguje Joe na wieść, że za jego plecami pertraktowała z szantażystą. Nie pozostało jej nic innego, jak modlić się o to, by zrozumiał jej motyw.

Tego lata spojrzała na swoje małżeństwo z nowego punktu widzenia, zaczęła je postrzegać jako najpiękniejszy dar losu. Mogła polegać na Joem, dzielić z nim troski i nadzieje, wspólnie snuć plany na przyszłość. Wspierał ją w każdej potrzebie. Romantyczny bohater dziewczęcych marzeń, chociaż posiadał rysy, głos i postać żywego, konkretnego człowieka, istniał tylko w jej wyobraźni. Teraz rozpląnął się w powietrzu jak zjawa z młodzieńczego snu.

Pogrążona w rozmyślaniach dotarła do domu. Panowały w nim kompletne ciemności. Susanna zastanawiała się, czy Chrissie wyszła na spotkanie z Troyem, a jeżeli tak, to czy właśnie łamie jej serce w zamian za dwa i pół tysiąca, tak jak obiecał.

Z wysiłkiem pokonała kilka stopni prowadzących na ganek. Niewiele widziała przez łyzy. Dręczyły ją wyrzuty sumienia, że przez całe życie raniła kochającego ojca. Nawet po śmierci mu nie wybaczyła, oskarżała, stojąc nad jego grobem. Za późno, o wiele za późno pojęła ogrom jego poświęcenia, bezmiar miłości, jaką ją obdarzał. Dopiero teraz, kiedy odszedł, potrafiła ją odwzajemnić. Zawsze go kochała.

Tylko dlatego, że nie wierzyła w jego miłość, podsycala w sobie żal i złość, pielęgnowała poczucie krzywdy, ponieważ nie umiała odnaleźć właściwych proporcji pośród sprzecznych emocji. Nagle w

pełni odczuła stratę. Wyrzucała sobie, że przez pół życia odsądzała od czci i wiary człowieka, który poświęcił wszystko, łącznie z jej miłością, by ocalić ją od zguby, przez całe lata bez słowa skargi znosił odrzucenie. Ponieważ już nie mogła mu wyznać, jak bardzo żałuje każdego złego słowa, ukryła twarz w dłoniach i pozostała w tej pozycji, póki nie wypłakała wszystkich łez.

Gdy trochę ochłonęła, wyszła do kuchni, chwyciła słuchawkę i wybrała numer Joego. Na szczęście odebrał osobiście.

- Przyjedź, proszę - załkała. - Już dłużej nie wytrzymam bez ciebie.

- Wyjadę za godzinę - zapewnił bez najmniejszego wahania, bez pytania o przyczynę.

Jego troska głęboko ją poruszyła.

- Joe... Joe, tak bardzo cię kocham...

- Wiem, ja ciebie też.

- Proszę, pospiesz się. Potrzebuję pomocy. Narobiłam głupstw.

- Tylko spokojnie. Już wyjeżdżam.

- Przedyskutujemy wszystko na miejscu. Na pewno wspólnie znajdziemy jakieś rozwiązanie.

Susanna odnalazła już drogę do swego dawnego ja. Ta jedyna i bezpieczna prowadziła prosto ku ukochanemu, godnemu zaufania mężowi.



## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI

Zanim Chrissie wróciła do domu, Susanna zdążyła nieco ochłonać. Zgodnie z jej przewidywaniami dziewczyna wbiegła do pokoju z głośnym łkaniem i natychmiast padła matce w objęcia. Susanna modliła się, by jej udział w całej sprawie nigdy nie wyszedł na jaw. Dokładała wszelkich starań, by Chrissie niczego się nie domyśliła. Z odpowiednio przerażoną miną zapytała o przyczynę rozpaczy. Po wysłuchaniu wyjaśnień okazała jej współczucie.

- Chciałabym umrzeć - szlochała Chrissie. - Wszyscy mnie porzucają, najpierw Jason, a teraz Troy. Chyba coś ze mną nie tak. Nikt mnie nie chce...

- Nie wolno ci myśleć w ten sposób. Po prostu jeszcze nie trafiłaś na odpowiedniego mężczyznę. Wszystko przed tobą, jesteś młoda, ładna, pełna wdzięku - pocieszała, tuląc jej głowę do piersi.

- Troy cały czas mnie zwodził, unikał tematu ewentualnej przeprowadzki do Colville, jakby usiłował mnie zniechęcić. Teraz rozumiem dlaczego. Bałamucił mnie, chociaż przez cały czas żył z kobietą, z tą Jenny. - Odsunęła się od matki, ukryła twarz w dłoniach.  
- Oszukiwał mnie. Co ja mam robić? - jęknęła.

Nie zaskoczyła Susanny. Dziwiło ją tylko, że stała kochanka Troya toleruje skoki w bok.

- Najlepiej wróć do domu. Tam szybciej o nim zapomnisz - poradziła ze szczerego serca.

Sama tęskniła za dawnym, ustabilizowanym życiem, które jeszcze miesiąc temu uważała za nudne. Teraz marzyła o powrocie do codziennej rutyny. Czekwała dnia wyjazdu jak zbawienia.

- Jak dojadę do Seattle?

- Tata cię zabierze. Przyjeżdża dziś wieczorem. Chrissie przetarła oczy. Krople łez jeszcze wisiały na długich rzęsach. Najwyraźniej wiadomość ją ucieszyła, bo posłała matce niepewny uśmiech.

- Pomoże nam spakować resztę rzeczy, a potem zatrudnię Marthę, żeby wysprzątała dom. Jeśli wolisz wyjechać wcześniej, oddam ci mój samochód, a ja dojadę później wraz z nim.

- Świetny pomysł. Tak właśnie zrobimy. Chrissie umilkła na chwilę. - Czy to znaczy, że zawarliście pokój?

- Tak. Przyznałam, że dałam mu powody do niezadowolenia, poprosiłam o wybaczenie. Wszyscy popełniamy błędy, córeczko. Sztuka życia polega na wyciąganiu wniosków ze złych doświadczeń, aby uniknąć podobnych w przyszłości.

- Przyrzekam, że wezmę sobie twoją radę do serca - zapewniła uroczyście Chrissie.

Susanna ponownie pochwyciła ją w objęcia.

- Jaka matka, taka córka - zacytowała.

Chrissie spróbowała się roześmiać, ale niespecjalnie jej to wyszło.

- To nie jest zabawne.

Susanna wcale nie zamierzała jej rozśmieszać. Chrissie wyszła do swojej sypialni nadal pociągając nosem. Chwilę później Susanna usłyszała, że rozmawia przez telefon komórkowy. Struchlała ze

strachu, czy nie nawiązała ponownie kontaktu z Troyem. Po kilku minutach odetchnęła z ulgą, gdy wymieniła imię koleżanki z Seattle. O dziesiątej zgasło światło. Kiedy wkrótce potem Susanna zajrzała do pokoju, Chrissie już spała.

Susanna nie położyła się spać. Czekwała na Joego. Przybył o wpół do trzeciej w nocy. Usłyszawszy warkot silnika na podjeździe, wyszła mu na spotkanie. Otworzyła drzwi w szlafroku. Joe wysiadł. Susanna zbiegła boso po schodach i padła mężowi w ramiona. Okrywała jego twarz niezliczonymi pocałunkami. Każde jej spojrzenie, dotknięcie, każdy gest wyrażał bezmiar miłości, wdzięczność i radość ze spotkania.

- Czemu zawdzięczam tak entuzjastyczne powitanie? - spytał ze śmiechem.

- Kocham cię, Joe.

- Mam nadzieję. Jesteśmy małżeństwem od dwudziestu pięciu lat.

- To prawda, ale jeszcze kilka tygodni temu nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo jesteś mi bliski. Ach, Joe, mam ci tak wiele do powiedzenia - westchnęła.

Ostrzegła, że nie wszystkie wiadomości go ucieszą, ale przysięgła sobie, że nie będzie nic więcej przed nim ukrywać, nawet najbardziej bolesnej prawdy. Na razie posadziła go na sofie, żeby odpoczął po długiej, męczącej jeździe. Gawędzili przeszło godzinę, popijając brandy. Joe powiedział, że kolega, emerytowany stomatolog, zgodził się zastąpić go w gabinecie. Susanna przedstawiła w skrócie

wydarzenia ostatnich tygodni. Uczciwie wyznała, że zapłaciła Troyowi za porzucenie Chrissie.

- Jak mogłaś! - wykrzyknął.

- Jutro oczekuje pozostałych dwóch i pół tysiąca.

- Nawet ich nie zobaczy - wycedził Joe przez zaciśnięte zęby.

- Ale ja...

- Spokojna głowa. Już ja się z nim rozmówię. Jeśli będzie trzeba, sprowadzę szeryfa. Zapewniam cię, że po spotkaniu ze mną zostawi naszą rodzinę w spokoju.

Słowa męża podziały na duszę Susanny jak kojący balsam. W pełni doceniała jego miłość i troskę. Żałowała, że podjęła jakiegokolwiek działania na własną rękę, w tajemnicy przed mężem. Stanowili rodzinę, jeden organizm, jedną całość, powinni na sobie nawzajem polegać.

- Jutro z samego rana oddasz resztę pieniędzy Carolyn - zarządził Joe. - Na pozostałą część długu wypiszesz jej czek. Załatwię w banku transfer potrzebnej kwoty.

- Dziękuję - wyszeptała Susanna z wdzięcznością.

Joe objął ją czule.

- Szkoda, że nie przyjechałem razem z tobą.

Susanna przygryzła wargę. Wzięła głęboki oddech.

- To jeszcze nie wszystko - wyznała z drzeniem serca. - Ale może odłożmy to na później...

Joe spochmurniał.

- Czy sprawa dotyczy twoich kontaktów z biurem detektywistycznym?

- Nie, Jake'a.

- Ach tak, wielkiej miłości twego życia - skomentował z gorzką ironią.

Susanna nie miała mu za złe kąśliwej uwagi. Dała mu wszelkie powody do zazdrości.

- Nie, ty jesteś moją jedyną wielką miłością - sprostowała z pełnym przekonaniem. Jake już nic ją nie obchodził. - Tylko ciebie jednego zawsze kochałam i Kocham, tylko na chwilę o tym zapomniałam. - Podkurczyła nogi pod siebie, oparła głowę na jego ramieniu.

- Lepiej od razu przejdź do rzeczy.

- Sharon Nance, matka Troya, twierdzi, że Jake jest jego ojcem.

Joe aż gwizdnął z wrażenia.

- Podobno utrzymuje z nim stały kontakt. Nie do końca jej wierzę, ale ponieważ wie, że przed wyjazdem dałam mu medalik, musiała się z nim widywać.

- Sądzę, że próbowała ci dokuczyć.

- Pewnie tak, ale nie sprawiła mi przykrości. Najważniejsze, że mam ciebie. Niczego więcej nie potrzebuję do szczęścia - zapewniła.

- Chyba już pora iść spać - zauważył Joe, ziewając.

- Racja. Nie spałam z mężem od bardzo dawna.

Joe zachichotał. Pomógł jej wstać. Mocno przytuleni przeszli do sąsiadującej z pokojem Chrissie sypialni. Córka, którą obudził odgłos

kroków czy też szmer rozmowy, otworzyła drzwi i wyszła na korytarz.

- Tatusiu! - zawołała na widok ojca. - Jak dobrze, że przyjechałeś.

- Dobry wieczór, słoneczko kochane.

Chrissie padła mu w objęcia, otoczyła go mocno ramionami w pasie tak jak wtedy, gdy była mała. Na widok jej zapuchniętych oczu Susannę zabolalo serce. Cierpiała wraz z nią, żałowała, że nie może jej w żaden sposób pocieszyć.

- Jak się czujesz? - spytała z troską.

- Chcę do domu - jęknęła dziewczyna.

- Możesz wyjechać jutro z samego rana.

- Doskonale.

Gdy Chrissie zamknęła za sobą drzwi, Joe wziął Susannę za rękę i zaprowadził do sypialni. Na widok osobnych łóżek Joe wydał pomruk niezadowolenia.

- Zsuniemy je - uspokoiła go, gładząc czule po szyi.

- Świetny pomysł. - Nagle zamilkł. Zastygł w bezruchu.

- Co się stało?

Joe wypuścił ją z objęć. Podeszedł do komody.

- Ktoś zostawił ci wiadomość.

Susanna ujrzała kartkę przyklejoną taśmą do ramy lustra.

Widniało na niej jedno zdanie:

*Spotkajmy się o dziesiątej rano na cmentarzu.*

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI

- Pójdiesz? - spytał Joe na drugi dzień zaraz po przebudzeniu, nadal trzymając żonę w ramionach.

Przespali w tej pozycji większą część nocy, jakby nie mogli dłużej znieść rozłąki, nawet na kilka sekund. Kochali się namiętnie jak w pierwszych latach małżeństwa, wspólnie odkrywali płynącą z wzajemnej bliskości radość.

- Muszę.

- W jaki sposób intruz wtargnął do domu? - rozmyślał głośno Joe.  
- Jeżeli to ten cały Jake...

- On już nic dla mnie nie znaczy - zapewniła Susanna.

Nie interesowała jej już nawet kwestia ewentualnego ojcostwa. Nie odczuwała też potrzeby przeproszenia za rzekome winy ojca, odkąd pojęła, że prawdziwy wizerunek byłego ukochanego daleko odbiega od ideału, jaki stworzyła jej wyobraźnia. Jake Presley definitywnie należał do przeszłości wraz ze swymi mrocznymi sekretami.

- Nie, nie mogę tego zrobić - wyszeptała po chwili, tuląc się mocno do męża.

Nie wybaczyłaby sobie, gdyby ponownie zraniła człowieka, który nie przestał jej kochać i wspierać nawet wtedy, gdy jej myśli krążyły wokół innego mężczyzny.

Joe ujął ją pod brodę, zajrzał głęboko w oczy.

- Jeśli zrezygnujesz, nigdy nie odzyskasz spokoju, zawsze będziesz żałować, że nie spojrziałaś prawdzie w oczy, rozważać, „co by było, gdyby...”. Lepiej do końca rozliczyć się z przeszłością i mieć to z głowy.

- Pójdiesz ze mną?

Joe dość długo rozważał jej propozycję, wyraźnie zdenerwowany. Szybki oddech unosił mu klatkę piersiową. Wreszcie skinął głową na znak zgody. Susanna odetchnęła z ulgą, przestała się obawiać własnej reakcji. Sama prośba już oznaczała przełom, skoro doszła do wniosku, że potrafi spojrzeć byłemu ukochanemu w twarz w obecności męża.

Zmieniła też plany względem Jake'a. Nie zamierzała go przeproszać, lecz zapewnić, że ojciec wyświadczył jej największą przysługę, doprowadzając do zerwania. Zrozumiała, że Jake był złym duchem jej rodziny. Z powodu afery narkotykowej George Leary stracił syna, a wskutek konfliktu wokół jego osoby - miłość Susanny.

O ósmej rano Chrissie wstała. Gdy zaczęła się pakować, Susanna weszła do jej sypialni. Przewidywała, że córka czuje potrzebę rozmowy.

- Naprawdę myślałam, że go kocham... - zaczęła Chrissie.

- Wiem, kochanie - odrzekła Susanna lakonicznie. Odparła pokusę, żeby dodać, że Troy nie był jej wart.

- Sądziłam, że moja miłość go odmieni.

- Pokochałaś własne marzenie, człowieka, którego pragnęłaś ukształtować, a nie rzeczywistą postać - odrzekła Susanna.



Usiadła wygodnie, podciągnęła kolana pod brodę i opasała je ramionami. Słowa córki brzmiały jej w uszach niczym echo własnych nadziei z lat młodości.

Joe przyniósł im po filiżance kawy, ale zaraz wyszedł, żeby nie przeszkadzać.

- Byłam na ciebie zła, że nie chcesz widzieć w Troyu tych zalet, które ja dostrzegałam. Teraz wiem, że gdybym spojrzała na niego z twojego punktu widzenia, łatwiej by mi było obiektywnie go ocenić.

Ostatnia wypowiedź uspokoiła Susanne. Miała nadzieję, że Chrissie znacznie szybciej niż ona dojdzie do siebie po miłosnym zawodzie. Potrzebowała znacznie mniej czasu, by przejrzeć na oczy.

- Postępowałam tak jedynie z miłości do ciebie - wyznała ze łzami w oczach.

- Teraz już jestem o tym przekonana - zapewniła Chrissie. Podeszła do matki, otoczyła ją ramionami.

O wpół do dziesiątej Joe zaniósł bagaże do samochodu. Później stanął wraz z żoną przed domem. Czule objęci patrzyli, jak Chrissie odjeżdża, najpierw do szpitala, by pożegnać się z babcią, a następnie do Seattle. Ponieważ wcześniej Susanna przedstawiła matce w skrócie sercowe kłopoty Chrissie, Vivian również uznała, że najlepiej, aby Chrissie opuściła Colville.

- Dostała twardą szkołę, ale wiele się nauczyła - podsumował Joe.  
- Wyjdzie jej to na dobre.

- Tak - mruknęła Susanna.

Doświadczenie nauczyło ją, że dorastanie bywa bolesne.

- Jesteś gotowa? Chyba już pora wyruszyć na cmentarz.

Zadał jej trudne pytanie. Nie przypuszczała, że kiedykolwiek będzie gotowa na tego rodzaju konfrontację.

- Obiecasz, że zostaniesz przy mnie, cokolwiek się wydarzy?

- Jeśli ten pajac myśli, że sprzątnie mi żonę sprzed nosa, to ja już mu pokażę, gdzie raki zimują.

Śmieszyło ją, że Joe w ogóle rozważa taką możliwość. Nie chciała nikogo innego, nie widziała swego szczęścia gdzie indziej niż przy boku męża. W milczeniu wyjechali poza granice miasta. Zastali bramę cmentarza otwartą. Ponieważ w liście nie podano dokładnego miejsca spotkania, Joe zatrzymał samochód niedaleko grobu teścia, w pobliżu mauzoleum. Pozostało im jeszcze pięć minut, czekali więc przed samochodem, trzymając się za ręce.

Inaczej niż poprzednim razem, widok nagrobka nie wzbudził w Susannie gniewu, lecz szczerą skruchę. Uśmiechnęła się smutno, spoglądając na kamienną płytę. Dopiero teraz w pełni odczuła, że straciła ojca, nie w dniu śmierci, lecz całe dziesięciolecia wcześniej, gdy odsądziła go od czci i wiary. Joe przyciągnął ją mocniej do siebie.

Gdy uniosła głowę, zaparło jej dech. Na ułamek sekundy serce przestało bić, świat zawirował wokół niej. Pomyślała, że dostała halucynacji, ponieważ jej myśli od wielu dni nieustannie krążyły wokół ojca. Zza budynku mauzoleum prosto w jej kierunku zmierzał George Leary we własnej osobie, tylko młodszy, zdrowszy, przystojniejszy niż w ostatnich latach życia.

- Tato? - wyszeptała wyschniętymi wargami.

- Nie, Susanno, to ja, Doug, twój brat.

- Doug...? - powtórzyła. - Niemożliwe! - Łzy napłynęły jej do oczu, nogi odmówiły posłuszeństwa.

Gdyby Joe jej nie podtrzymał, runęłaby jak długa na ziemię.

- Przepraszam, że cię wystraszyłem, ale nie widziałem innego sposobu, żeby się z tobą spotkać.

- Jak... dlaczego... kiedy... - wykrztusiła prawie bez tchu.

- Proponuję wrócić do domu. Tam wyjaśnimy wszystko na spokojnie - zasugerował Joe.

Doug zmarszczył brwi. Wyraz jego twarzy zdradzał wahanie.

- Jest z wami córka?

- Wróciła do Seattle.

- To dobrze. Jedźcie, dojdę tam do was.

Susanna drżała przez całą drogę powrotną. Uświadomiła sobie, że matka nie miała urojeń. Naprawdę widziała na własne oczy młodszą wersję zmarłego męża. Własnego syna. Nic dziwnego, że zwiódło ją łudzące podobieństwo. Pograżona w żalu, uwierzyła, że ukochany George wrócił z zaświatów, by wesprzeć ją w trudnych chwilach. Ogarnęły ją wyrzuty sumienia, że podejrzewała ją o chorobę umysłową.

Doug przybył do domu pięć minut po Susannie i Joem. Susanna zaparzyła dzbanek mocnej kawy. Gdyby było nieco później, pewnie sięgnęłaby po kieliszek jakiegoś trunku. Potrzebowała pokrzepienia po przebytych wstrząsach.

- Myślałam, że to Jake szuka ze mną kontaktu - zaczęła, zanim Doug zajął miejsce przy stole. - Jak wszedłeś do środka, gdy alarm był włączony?

- Wyłączyłem go - wyjaśnił jej brat z uśmiechem. - To nic trudnego. Znam twoją datę urodzenia. Odgadłem, że użyjesz jej jako kodu. A klucz znalazłem w schowku za obłuzowaną cegłą. Wybacz, że napędziłem ci strachu. Przypuszczałem, że będziesz podejrzewać Jake'a.

Susanna dopiero teraz przypomniała sobie, że Chrissie również skorzystała z zapasowego klucza ze skrytki na tylnej ścianie domu. Odłożyła go potem na miejsce i wszyscy o nim zapomnieli. Jednak najważniejsza część zagadki nadal pozostała nierozwiązana.

- Skoro żyjesz, to... kogo włożono zamiast ciebie do trumny? I czego poszukiwałeś w domu podczas tych potajemnych wizyt? Bo to ty tu przychodziłeś, gdy nas nie było, prawda?

Doug powstrzymał dalszy strumień pytań ruchem ręki.

- Może lepiej zacznę od początku.

- Bardzo proszę - wtrącił Joe.

Doug przystanął przy oknie. Patrzył niewidzącym wzrokiem w dal.

- Tuż przed twoim wyjazdem do Francji odwiedził mnie twój chłopak. Ubzdurał sobie, że cię porwie, poślubi i zapewni utrzymanie. Znalazł nawet sposób na szybkie zdobycie gotówki, niestety niezgodny z prawem. Zaczął handlować narkotykami. Ciemne interesy zawiodły go aż do Idaho, gdzie nawiązał kontakt z jakimiś

typami spod ciemnej gwiazdy. W końcu gdy wpadł w poważne tarapaty, poprosił mnie o pomoc. Nie wiem, czego się po mnie spodziewał, ale pojechałem po niego, w nadziei, że wydostanę go z przestępczego środowiska.

- Czy ty też sprzedawałeś narkotyki?

- Nie, nigdy - zapewnił Doug. - Pod wpływem impulsu podjąłem pochopną decyzję. Nie wiedziałem, w co się pakuję. Jake chyba też nie do końca zdawał sobie sprawę z konsekwencji. Wpadliśmy w policyjną pułapkę, zastawioną na szefów narkotykowego gangu. Chodziło o złapanie grubych ryb, a przy okazji w misterną sieć wpadło kilka drobnych płotek, takich jak my. W każdym razie władze wydały nakaz aresztowania nas obojgu.

- Więc uciekliście - podsumowała Susanna, chociaż nie rozumiała, czemu Doug po prostu nie stanął przed sądem, skoro nie uczestniczył w narkotykowych interesach. Była przekonana, że uzyskałby wyrok uniewinniający.

- Popelniliśmy błąd najgłupszy z możliwych, za który płacę przez całe życie - przyznał. - Nie zdawałem sobie sprawy, że przekroczenie granicy stanu zmienia prawną klasyfikację czynu. Gdy wróciliśmy do stanu Waszyngton, nasze wykroczenie stało się przestępstwem przeciwko prawu federalnemu. Nie przyszło mi do głowy nic mądrzejszego niż wyznać wszystko ojcu i prosić o pomoc.

Susanna nadal nie pojmowała, jak to możliwe, że z dnia na dzień sytuacja wymknęła się spod kontroli.

- Byłem nawet gotów odbyć karę. Tego wieczoru, gdy wróciliśmy do domu, byłem umówiony z Patricią, ale Jake wpadł w panikę. Poszukał ratunku u Sharon Nance. Widocznie nie chciała albo też nie mogła mu pomóc, więc ukradł mój samochód.

- Czy to prawda, że wrócił do niej zaraz po moim wyjeździe do Francji?

- Nie.

- W takim razie później, skoro urodziła mu syna.

- Wykluczone. Nie miał kiedy. Sytuacja nie sprzyjała miłosnym igraszkom, a zaraz po wizycie u niej usiłował uciec moim autem.

- W którym zginął - dokończył za niego Joe, który wcześniej niż żona odgadł zakończenie całej historii.

- Jake... nie żyje? - wykrztusiła bezgranicznie zdumiona Susanna.

- Nie do wiary! Sharon twierdzi, że jest ojcem Troya i że pozostaje z nim w kontakcie.

- Kłamie - zapewnił jej brat ze smutnym uśmiechem.

- Ale w jakim celu?

- Moim zdaniem z niewiadomych powodów żywi do ciebie urazę - wtrącił Joe. - Ostatni raz widziała go żywego, gdy szukał u niej ratunku. Gdy dowiedziała się, że go poszukujesz, nagadała ci bzdur wyłącznie z zemsty, że ją dla ciebie rzucił. Z tego wniosek, że Troy nie jest jego synem.

Chociaż prawda powoli docierała do świadomości Susanny, wiadomość, że Jake pozostał jej wierny, przyniosła jej pewną ulgę. Doug dokończył kawę, po czym wrócił do swej opowieści:

- Gdy zginął jedyny świadek, który mógł potwierdzić, że nie byłem zamieszany w handel narkotykami, groziło mi więzienie. Tata od lat przyjaźnił się z szeryfem Daltonem, ale i on nie mógł nic dla nas zrobić, bo sprawę przejęło FBI. Kiedy tata pojął, że nie mam szans na uniewinnienie, wpadł na pomysł zidentyfikowania zwłok Jake'a jako moich. Ponieważ wysłał wielu drani do więzienia, zrobił wszystko, żebym nie trafił do celi z kryminalistami - dokończył półgłosem.

- Czy wtajemniczył w swój plan Allana Presleya?

- O ile wiem nie. Gdy Jake dowiedział się, że zażądał pieniędzy za wywiezienie go poza granice stanu, odmówił przeprowadzki. Doszło do konfliktu, zakończonego zerwaniem wszelkich kontaktów. Allan wyjechał do Oregonu sam. Jake naprawdę chciał na ciebie zasłużyć, Susanno. Niestety, los mu nie sprzyjał.

Mimo niemoralnego postępowania Allana Presleya Susanna szczerze mu współczuła, że przeżył własnego syna, nawet o tym nie wiedząc.

- Jak to możliwe, że pochowano Jake'a jako ciebie?

- Szeryf Dalton zapakował ciało w pokrowiec do transportu zwłok na miejscu wypadku i od razu przewiózł je do stryja Henry'ego.

- Do kogo? - zapytał Joe.

- Brat ojca był właścicielem miejskiej kostnicy - wyjaśniła Susanna. - Po jego śmierci przed wielu laty została sprzedana.

- Ze względu na stan ciała po wypadku pochowano je w zaplombowanej trumnie, co nikogo nie dziwiło. Jake nie żył, a ja

również musiałem zniknąć ze świata żywych. Na szczęście ojciec wykorzystał swoje rozliczne koneksje, żeby wyrobić mi fałszywe dokumenty oraz nową polisę ubezpieczeniową na nazwisko mojego rówieśnika, który zmarł jako półroczne niemowlę. W ten sposób zostałem Dave'em Langevinem.

- Mama przez cały czas myślała, że odwiedza ją duch męża.

- Wiem - westchnął ze smutkiem Doug. - Ale nie mogłem wyprowadzić jej z błędu. Pewnie przypominam ojca w średnim wieku.

- Nie zauważyła różnicy.

- Nie zamierzałem się jej pokazywać, lecz pewnego wieczoru spotkałem ją w parku, kompletnie zagubioną. Siedziała bezradnie na ławce, jakby nie wiedziała, dokąd pójść, więc zaprowadziłem ją do domu. Wtedy nabrała przekonania, że ukazał jej się tata. Nie miałem sumienia wyjaśniać pomyłki. Narobiłbym jej tylko jeszcze większego zamętu w głowie.

- Czy złożyłeś jej ponowną wizytę?

- Tak. Raz w Altamirze i raz w szpitalu. Wyglądało na to, że sprawiłem jej przyjemność. Nie wiedziała, że żyję. Ojciec uznał, że nie byłaby w stanie utrzymać tajemnicy, dlatego nie wyjawiał jej prawdy. Z początku zaaprobowalem tę decyzję, czego później bardzo żałowałem. Ojciec przyjeżdżał do mnie, wspomagał mnie finansowo. Pracowałem fizycznie w kilku stanach.

- Poczekaj! - wykrzyknęła Susanna, która nagle pojęła, że znów niesprawiedliwie oceniła ojca. - Znalazłam dzienniczek, w którym



odnotowywał miejscowości i kwoty. Podejrzewałam, że wydawał je na utrzymanie, że ograbiał mamę dla jakiejś obcej kobiety.

- Ja również znalazłem ten notes. Przewidywałem, że posądzisz go o romans, dlatego go zabrałem. Jak widać, za późno - dodał z goryczą.

- No nie!

- Działając w popłochu, nie sposób uniknąć błędów. Z pewnością tata żałował niektórych decyzji, podobnie jak ja. Nie można było jednak nic zmienić, żeby go nie narażać. Wielokrotnie złamał prawo, by mnie ocalić. Aż strach pomyśleć, jakie konsekwencje by poniósł, gdyby mistyfikacja wyszła na jaw. Obydwaj wpadliśmy w pułapkę bez wyjścia.

Susanne nie trzeba było więcej tłumaczyć, że gdyby wykryto oszustwo, George Leary trafiłby wraz z bratem i szeryfem na ławę oskarżonych, a potem najprawdopodobniej do więzienia. Nic dziwnego, że brat zrobił wszystko, żeby ich ochronić.

- Podejrzewałam mamę o zaburzenia umysłowe, gdy przysięgała, że ojciec ją odwiedził.

- Nie rób sobie wyrzutów. - Joe uściśnął rękę Susanny dla dodania otuchy. - Posłuchajmy lepiej dalszego ciągu.

Doug spuścił głowę, wpatrzył się w filiżankę z kawą.

- Tata dał mi tyle pieniędzy, ile mógł. Wyruszyłem do Kanady. Wiele lat mieszkałem w Kolumbii Brytyjskiej. Pracowałem nawet w tartakach w kilku miastach. Pamiętasz, że kiedyś dostałem pracę u Bronsonów na wakacje?

- Nie założyłeś rodziny?

- Nie. Nie miałem sumienia łamać życia niewinnym osobom.

- Biedaku!

- W końcu wróciłem do Stanów. Pracowałem w różnych miejscach w całym kraju. Wędrowałem od miasta do miasta, ze stanu do stanu. Nigdzie nie zagrzałem miejsca. Starłem się żyć jak przyzwoity człowiek.

- Dlaczego wróciłeś do Colville?

- Prawdopodobnie popełniłem kolejne szaleństwo, ale uznałem, że po tylu latach wszyscy o mnie zapomnieli. Czas wycisnął na mnie swoje piętno, jak sama widzisz. Poza tym... ustaliliśmy sobie z tatą dość skomplikowany system porozumiewania. Kiedy ubiegłej wiosny nie dostałem odpowiedzi, wystraszyłem się, że coś mu się stało. Przyjechałem to sprawdzić. - Głos mu się załamał. - Jestem zmęczony nieustanną tułaczką, wieloletnim udawaniem...

- Gdzie się ukrywałeś przez ten czas?

- Właściwie nigdzie. Pracowałem w Kettle Falls Landscaping.

- Przypomnij mi nazwisko - wykrztusiła Susanna, patrząc na brata rozszerzonymi ze zdumienia oczami. - Langevin? Dave?

- Tak. - Tym razem Doug zrobił zdziwioną minę.

- To ty jesteś Dave! Ten Dave od Carolyn! - wykrzyknęła Susanna.

O mało nie zemdlą z wrażenia. Przez chwilę przetrawiała usłyszaną rewelację.

Doug z zakłopotaniem potarł policzek.

- Skoro Carolyn mnie nie rozpoznała, doszedłem do wniosku, że nikt inny nie odkryje mojej prawdziwej tożsamości.

- Czy już wie?

- Nie. Postanowiłem, że najpierw wyznam prawdę tobie.

- Od jak dawna mieszkasz w Colville?

- Około czterech miesięcy. Spotykam się z Carolyn od pewnego czasu... Sądzę, że to zły pomysł.

- Nieprawda! - zaprotestowała gwałtownie Susanna. - Ona za tobą szaleje.

- Kocham ją - odrzekł Doug prosto z mostu. - Przez całe lata zabraniałem sobie zaangażowania emocjonalnego, ale uczucie zwyciężyło. Zdaję sobie jednak sprawę, że zasługuje na kogoś lepszego niż ja. Niestety nie potrafię odejść. Zostawiłem jej kartkę ze słowami pożegnania. Zamierzałem zerwać znajomość, ale teraz... sam nie wiem, co robić.

- Czemu teraz zdecydowałeś się ujawnić? - spytał Joe.

- Z powodu Carolyn, a także ze względu na was. Gdy opowiedziała mi o poszukiwaniach Jake'a, uznałem, że najwyższa pora wyjawić prawdę. Obawiałem się, że jeśli poznasz ją z innych źródeł podczas swojego śledztwa, przeżyjesz wstrząs. Nie pozostało mi nic innego, jak zaufać wam i Carolyn. Muszę wreszcie podjąć jakieś decyzje dotyczące przyszłości.

- Moim zdaniem najwyższy czas wyznać jej wszystko - wtrąciła Susanna.

Zanim Doug zdążył zaprotestować, podeszła do telefonu. Bez zaglądania do notesu wybrała numer tartaku. W ciągu ostatnich dwóch tygodni dzwoniła tam tak często, że znała go na pamięć. Gdy przyjaciółka odebrała, poprosiła, żeby jak najprędzej do niej przyjechała.

- Czy coś się stało? - spytała zaniepokojona Carolyn.

- Powiem ci na miejscu. Tylko się pospiesz - ponagliła Susanna, z największym trudem ukrywając emocje.

- Będę za dziesięć minut - odparła jak zwykle niezawodna Carolyn.

Po raz pierwszy od momentu spotkania Doug okazał zdenerwowanie. Obszedł stół dookoła, zajrzał siostrze w oczy z niepokojem.

- Jesteś pewna, że to dobry pomysł?

- Nie mam najmniejszych wątpliwości. Ufam Carolyn bardziej niż sobie samej. Poza tym ona cię kocha.

- Powiedziała ci to?

- Nie musiała. To widać gołym okiem.

- Nie wyjaśniłeś jeszcze, po co włamywałeś się do domu - wtrącił Joe. - Rozumiem, że chciałeś ukryć dziennik podróży ojca, ale po co ci były pozostałe przedmioty?

- To szaleństwo, ale pragnąłem zachować przynajmniej szczątki przeszłości, ślady mojego prawdziwego ja, Douga Leary'ego, mieszkańca tego domu. Wziąłem sobie proporczyki, szkolny

mundurek, kilka drobiazgów po ojcu. Szukałem jeszcze sygnetu, który zawsze mi się podobał, ale go nie znalazłem.

- Wielkie nieba! Chrissie go zabrała. Spytała, czy może go sobie zawiesić na łańcuszku na szyi, a ja jej pozwoliłam.

- Nie szkodzi. Samo przeglądanie zawartości paczek, dotykanie pamiątek z dzieciństwa sprawiło mi wielką przyjemność. Powrót do korzeni wypełnił pustkę, w której tkwiłem przez lata, przywrócił mi tożsamość, poczucie przynależności. Chociaż zdawałem sobie sprawę, ile ryzykuję, nie potrafiłem odeprzeć pokusy.

- To ty pielęgnowałeś ogród mamy?

Doug bez słowa skinął głową.

- A gdybym cię zobaczyła albo, co gorsza, ktoś z sąsiadów, na przykład Rachel...?

- Niewiele brakowało. Ledwie zdążyłem uciec tego wieczoru, kiedy wezwałaś policję. Mimo ryzyka nie potrafiłem zrezygnować z powrotu do przeszłości. Wróciłem nawet po zainstalowaniu alarmu.

Gawędzili jeszcze kilka minut w oczekiwaniu na przyjazd Carolyn. Joe wyjął z portfela zdjęcia, żeby zaznajomić szwagra z pozostałymi członkami rodziny. Jednak Doug niezbyt uważnie słuchał wyjaśnień. Jego zdenerwowanie rosło z każdą minutą. Gdy usłyszał dzwonek u drzwi, skoczył na równe nogi.

- Lepiej ją delikatnie przygotuj - doradził Joe.

Susanna wzięła sobie jego słowa do serca. Najpierw zaprowadziła przyjaciółkę do salonu. Carolyn wyglądała okropnie z bladą, zmęczoną twarzą, jakby przepłakała całe godziny. Gdy tylko Susanna

posadziła ją na jednym z pozostałych jeszcze krzeseł, Carolyn otarła załzawione oczy.

- Dave wyjeżdża - załkała. - Zostawił mi kartkę. Usiłowałam go przekonać, dzwoniłam, ale go nie zastałam. Jestem pewna, że już opuścił Colville. Nie potrafię sobie znaleźć miejsca. Tak bardzo chciałam, żeby został. Cóż, jakoś to przeżyję, pewnie kiedyś dojdę do siebie...

Susanna ujęła ją za rękę.

- Właśnie z powodu Dave'a Langevina cię tu zaprosiłam.

- Jak to? - wykrztusiła Carolyn z przerażeniem.

- Jest tutaj.

- Tutaj? - powtórzyła Carolyn, rozglądając się po pokoju.

Ponieważ nie dostrzegła nikogo, zwróciła zdumione spojrzenie ku Susannie.

- Dave to przybrane imię.

- Co takiego?!

- Cześć, Carolyn - przywitał ją Doug, który właśnie stanął w drzwiach.

- Dave...?

- Znałaś mnie niegdyś pod innym nazwiskiem.

- Nie sądzę - odparła Carolyn, zupełnie zbita z tropu. - O co w tym wszystkim chodzi? - spytała, patrząc raz na niego, raz na Susannę.

- Pozwól, że przedstawię ci mojego zaginionego, uznanego za zmarłego brata, Douga - powiedziała Susanna, obejmując go w pasie.

Carolyn zasłoniła ręką usta. Cała krew odpłynęła jej z twarzy.

- Doug... - wyszeptała prawie bezgłośnie.

- Zamierzałem sam ci powiedzieć. Przykro mi, że nie ode mnie usłyszałaś prawdę.

Carolyn nie słuchała dalej. Podbiegła do niego i padła mu w ramiona. Doug zamknął ją w czułym uścisku.

Joe stanął obok Susanny, również otoczył ją ramieniem. Chociaż wieść o śmierci Jake'a zasmuciła ją bardzo, cieszyła się, że ukochany brat pozostał przy życiu. Nie tak dawno przybyła do rodzinnego domu zagubiona i nieszczęśliwa. W ciągu jednego miesiąca odnalazła właściwą drogę - drogę do własnego domu, do prawdziwej tożsamości, prawdziwego życia. Nie wiedziała jeszcze, co przyszłość przyniesie bratu i Carolyn, ale wierzyła, że ułożą sobie życie.

- Chyba jeszcze nie ochłonełaś po tych wszystkich wstrząsach - szepnął jej Joe do ucha.

Tylko częściowo miał rację. Przebyła krętą, wyboistą drogę, zanim na nowo odnalazła samą siebie. Za każdym zakrętem czekały ją niespodzianki. Odnalezienie brata, odkrycie, że ojciec kochał ją całym sercem, oraz pojednanie z mężem.

## **ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWARTY**

Gdy Carolyn została sam na sam z Dougiem, nie mogła powstrzymać łez. Zabrała go do siebie, żeby porozmawiać w cztery oczy. Ledwie wstawiła samochód do garażu, rozplakała się. Przechodzili właśnie przez przylegającą do garażu pralnię, gdy nogi

odmówiły jej posłuszeństwa. Pewnie by zasłała, gdyby Doug jej nie przytrzymał.

- Wybacz, najdroższa. Wiele bym dał, żeby oszczędzić ci szoku, ale najpierw musiałem wyznać prawdę Susannie i mojej rodzinie.

- Rozumiem - zaszlochała Carolyn, kryjąc twarz w jego ramionach.

Doug gładził ją po głowie, tulił do siebie, wciąż niesyty wzajemnej bliskości. Jego dotyk dodawał jej otuchy, przynosił ukojenie.

- Zawsze cię kochałam - wyznała z twarzą moką od łez. - Do tej pory przechowuję wszystkie listy. Gdy otrzymałam wiadomość o twojej śmierci, też chciałam umrzeć.

- Ja również cię pokochałem - wyszeptał Doug, okrywając pocałunkami jej skroń. - Byłem rozdarty wewnątrz. Dręczyły mnie wyrzuty sumienia, że pisząc do ciebie, nadal spotykam się z Patricią. Wyrzucałem sobie nieuczciwość. Postanowiłem z nią zerwać.

- Pisałam prawie codziennie - przypomniała.

- Ceniłem sobie każdy list jak największy skarb. - Przytulił ją jeszcze mocniej. - Z początku rozważałem możliwość wyjazdu do Paryża. Chciałem cię namówić na wspólną ucieczkę, na ukrywanie się razem ze mną.

- Nie musiałbyś mnie długo przekonywać. Poszłabym za tobą nawet do piekła - odparła z pełnym przekonaniem. - Ale nie przyjechałeś, nie poprosiłeś - dodała z wyrzutem.

Mimo że uznawała jego racje, gorzko żałowała straconych lat.



- Nie mógłbym zrobić tego ani tobie, ani twoim rodzicom. Ponieważ kochałem cię całym sercem, nie chciałem cię skrzywdzić, skazać na los banity. Kiedy wróciłem do Colville, przyrzekłem sobie, że się z tobą nie spotkam. - Uśmiechnął się smutno. - A potem zlecono mi pielęgnację trawników przy tartaku i wreszcie obok twojego domu. Nawet sobie nie wyobrażasz, jakie rozterki przeżywałem... Gdy tylko cię zobaczyłem, wiedziałem już, że przegrałem wewnętrzną walkę, że żadna siła nie oderwie mnie od ciebie.

Carolyn gładziła go po plecach przez cienki materiał podkoszulka, bezgranicznie szczęśliwa, wdzięczna za każdą wspólną chwilę. Chłoneła jego bliskość całą sobą.

- Tego ranka, gdy nie przyszedłeś do pracy, wpadłam w popłoch, że wyjechałeś. Świat znowu przestał dla mnie istnieć.

- Nie mógłbym cię opuścić.

- Nawet nie wiem, jak cię nazywać - wykrztusiła przez ściśnięte gardło.

- Dave. Przywykłem przez lata do nowego imienia.

Carolyn drżała w jego ramionach, szczęśliwa, że go odzyskała. Imię nie miało dla niej żadnego znaczenia. Uświadomiła sobie, że rzeczywiście dłużej był Dave'em niż Dougiem. Nagłe wpadła w popłoch. Przypomniała sobie, co mu grozi, gdyby ktokolwiek prócz najbliższych go rozpoznał.

- Co zrobimy?! - wykrzyknęła w panice.

- Jeszcze nie mam konkretnego planu. Wiem tylko, że cię nie opuszczę. Nie chcę już więcej uciekać.

Jego zapewnienie podziało na Carolyn kojąco, ale nie rozwiązywało problemu. Należało znaleźć bezpieczne miejsce, gdzie nikt ich nie znał, co oznaczało konieczność wyjazdu z Colville.

- Sprzedam tartak i wyjedziemy stąd... - zaczęła.

- Wykluczone! - przerwał. - Nawet o tym nie myśl. Żyłem w Colville przez kilka miesięcy jako Dave Langevin, nie wzbudzając najmniejszych podejrzeń. Doug zginął i został pogrzebany. Przestał istnieć. W niczym nam już nie zagraża.

- Ale...

- Oczywiście, że sporo ryzykujemy. Szeryf Dalton był wmieszany w sprawę, trzeba go chronić. A gdyby mama poznała prawdę, wstrząs mógłby ją zabić.

- Och, Dave, tak bardzo mi jej żal. Oczywiście, że jej nie wtajemniczymy, ale obiecuję, że o nią zadbam. Będę ją odwiedzać.

Dave położył jej palec na ustach.

- Dziękuję. Miejmy nadzieję, że nie zostanę zdemaskowany, póki obydwójce żyją. Później odwiedzę adwokata i spróbuję znaleźć sposób na uporządkowanie swojego życia.

- Nie pozwalam! - wykrzyknęła. - Nie chcę, żeby cię zamknęli w więzieniu.

- Przez ostatnie trzydzieści lat i tak byłem więźniem własnej przeszłości.

- Chyba przyszła żona też powinna mieć prawo głosu w tak zasadniczej sprawie - zaproponowała.

Dave osłupiał. Odstąpił krok do tyłu, przytrzymując Carolyn na odległość ramienia.

- Przyszła żona? - powtórzył, gdy wreszcie odzyskał mowę.

W oczach Carolyn rozbłysły łzy. Widziała jego ukochaną twarz jak przez mgłę. Pogłaskała go po policzku, po czym skinęła głową z nieśmiałym uśmiechem.

- Tak, właśnie usłyszałeś oświadczyły. Jeżeli masz choć odrobinę rozsądku, to je przyjmiesz.

- Ale...

- Po prostu powiedz: tak. Czekałam na ciebie przez całe życie.

- Ależ Carolyn...

- Nie słyszałeś, co mówiłam? Kocham cię i nie przyjmę do wiadomości odmowy!

Dave posmutniał.

- Ale ja nie mam nawet własnego garnka. Nic, prócz starego auta z przyczepą.

Carolyn nie przewidziała, że będzie robił takie trudności. Intuicja podpowiedziała jej, jak go przekonać. Zarzuciła mu ręce na szyję i całowała do utraty tchu. Przyłgnęła do niego całym ciałem, nie pozostawiając wątpliwości, jak bardzo go potrzebuje. Obydwoje z trudem łapali oddech. Dave oparł się o pralkę, jakby nie był w stanie o własnych siłach utrzymać równowagi. Carolyn przemknęło przez

głowę, że najważniejsza decyzja w jej życiu zapadła w przydomowej pralni.

- Potrzebujesz jeszcze więcej argumentów? - spytała, łapiąc oddech. - Naprawdę potrafiłbyś teraz odejść? - dodała.

- Raczej nie - odrzekł po krótkiej wewnętrznej walce.

- Następne pytanie: czy długo jeszcze wytrzymamy z dala od sypialni? Nie musisz odpowiadać. Obydwoje wiemy, że nie.

Dave roześmiał się serdecznie.

- Och, Carolyn, kocham cię do szaleństwa. Nie istnieje żaden powód, żeby tak wspaniała kobieta zechciała poślubić banitę, ale jeśli mnie chcesz, uczynisz mnie najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi.

- Chyba nie wątpisz w moje uczucie. Tak bardzo cię kocham, że nie wyobrażam sobie, jak wytrzymam te przepisowe trzy dni oczekiwania w urzędzie stanu cywilnego - roześmiała się przez łzy.

Nie wierzyła własnemu szczęściu. Zmarły ukochany powrócił do niej cały i zdrowy. Nie, niedokładnie: Doug został pogrzebany, a Dave żył i odwzajemniał jej miłość.

Joe zaparkował samochód przed szpitalem. Gdy wraz z Susanną wszedł do pokoju Vivian, jego teściowa zajadała lunch z wielkim apetytem. Na jej policzki powrócił rumieniec. Wyglądała znacznie lepiej niż w ciągu kilku ostatnich tygodni. Susanna oczekiwała tej wizyty z niecierpliwością. Wcześniej odbyła z mężem dyskusję, podczas której podjęła ważną życiową decyzję. Postanowiła mianowicie odejść ze szkoły. Odczuwała już znużenie długo

wykonywanym zawodem, zapragnęła odmiany. Uznała, że najwyższa pora zakończyć pewien etap życia, a rozpocząć nowy. Wspólnie zdecydowali, że poinformują Vivian o swoich planach.

- Dzień dobry, mamusiu. Zobacz, kogo ci przyprowadziłam - zagadnęła Susanna na przywitanie. - Mam dla ciebie małą niespodziankę - dodała, wkładając do wazonu bukiet białych i różowych róż z ogrodu.

Postawiła bukiet na parapecie.

Vivian odłożyła widelec. Jej twarz rozjaśnił promienny uśmiech. Wyciągnęła ramiona w kierunku zięcia.

- Joe! - wykrzyknęła radośnie, jakby nagle odmłodziła o wiele lat. - Jak dobrze cię znowu widzieć. Chrissie mówiła, że przyjechałeś.

Joe pochwycił teściową w objęcia.

- Jak się czujesz? - zapytał.

- Teraz, kiedy cię widzę, już znacznie lepiej. A kwiaty są cudowne. - Przeniosła wzrok na córkę.

- Masz taką minę jak w dzieciństwie, kiedy nie mogłaś się doczekać, żeby powierzyć mi jakąś ważną tajemnicę.

- Naprawdę? - zachichotała Susanna z zakłopotaniem.

- Chyba możemy jej powiedzieć - zdecydował Joe.

Obdarzył żonę czułym uśmiechem, patrząc na nią z miłością. Susanna nabrała powietrza w płuca.

- Zakładam kwiaciarnię - oznajmiła.

- Co takiego? - Oczy Vivian rozszerzyły się ze zdumienia.

- Od kilku tygodni odczuwałam potrzebę zmian. Praca nauczycielki mnie znużyła. Czuję się wypalona. Przed wyjazdem Joe zobaczył na wystawie kwiaciarni na Blossom Street w Seattle ogłoszenie „Do sprzedania”. Wszedł tam, by zadać kilka pytań. Sama jeszcze tam nie byłam, ale odpowiadają mi warunki. Dyskutowaliśmy z Joem przez całą noc. Czuję, że podejmę to wyzwanie, mam na to wielką ochotę.

- Widzę, że wspierasz moją upartą córeczkę we wszelkich poczynaniach. Bardzo cię potrzebuje. - Vivian obdarzyła Joego serdecznym uśmiechem.

- Dokładam wszelkich starań, żeby ją o tym przekonać. - Mrugnął okiem do Susanny.

- Co mówił lekarz? - zapytał Joe.

- Ostrzegał, że przede mną długa droga, ale jeszcze stanę na własnych nogach - zapewniła Vivian z przekonaniem.

- Nie wątpię - zapewnił Joe. - Będziemy cię z Susanną często odwiedzać - obiecał.

- Wspaniale. Nie zapomnijcie przywieźć mi kwiatów. Zamilkła, wytarła usta serwetką. - Wprawdzie trudno mi było opuścić dom, ale z perspektywy czasu widzę, że przeprowadzka wyszła mi na dobre. Doskonale rozumiem, że ty, Susanno, również potrzebujesz nowych bodźców. Jestem pewna, że nie pożałujesz zmiany zawodu. Od lat nie widziałam cię tak radosnej - zauważyła Vivian.

- Bo jestem szczęśliwa, jakby nagle wyrosły mi skrzydła - wyznała Susanna.

Odnosiła wrażenie, że umysł matki pracuje lepiej, co ją bardzo cieszyło. Nie poruszyła tematu ojca. Nie musiała. Matka wiedziała i bez tego, że nie tkwi już myślami w przeszłości, lecz z nadzieją patrzy w przyszłość.

- Wspaniale - ucieszyła się Vivian. - George mnie odwiedził - dodała nieoczekiwanie.

- Tata? - Susanna posłała mężowi porozumiewawczy uśmiech.

- Nie, kolega z Altamiry. Nie zabawił długo, ale sprawił mi miłą niespodziankę. - Na policzki Vivian wystąpił rumieniec. - Tylko nie wyobrażajcie sobie za dużo, po prostu się przyjaźnimy. Zachowasz starą nazwę kwiaciarni czy wymyśliłaś własną? - zmieniła pośpiesznie temat.

- Jeszcze o tym nie myślałam - przyznała Susanna.

- Może nazwij ją „Ogród Susanny” - zaproponowała Vivian z błyskiem w oku.

- Ładnie brzmi - pochwaliła córka.

- Obok jest sklep z włóczką - wtrącił Joe. - Organizują tam kursy dziewiarskie.

Ostatnia wiadomość bardzo ucieszyła Susannę. Matka uczyła ją robić na drutach wiele lat temu, ale podejrzewała, że już wszystko zapomniała. Chętnie przypomniałaby sobie dawne umiejętności.

Vivian, wyraźnie zmęczona, opadła na poduszki.

- Zostawimy cię teraz, żebyś odpoczęła, ale wpadniemy później jeszcze raz - zapewniła Susanna, całując matkę w policzek.

- Joe bardzo cię kocha - szepnęła jej Vivian do ucha.

- Z wzajemnością - odrzekła Susanna, również szeptem.

Już przy windzie Joe skradł żonie pocałunek, zanim nacisnął przycisk. Weszli do kabiny czule objęci.

- Chyba wiesz, jak bardzo cię kocham - powiedziała Susanna.

Całowali się tak namiętnie, że nawet nie zauważyli, kiedy zjechali na parter.

- Popatrz, mamusiu, nowożeńcy! - zawołała mała dziewczynka czekająca przed otwartymi już drzwiami windy.

Zawstydzeni małżonkowie odskoczyli od siebie jak para przyłapanych na gorącym uczynku nastolatków. Osobno wyszli na korytarz.

- Jesteście młodą parą? - dopytywała się dziewczynka.

- W pewnym sensie tak - zachichotał Joe, ujmując rękę żony.

Susanna nie zaprzeczyła. Tego lata, które całkiem odmieniło jej życie, odnalazła na nowo miłość - swego męża.